

De. 11 1.
TOM CCLXXXVIII.

ROK 72.

ZESZYT 864.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

GRUDZIEŃ.

1912.

TOM IV.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1912.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. GŁÓWNE PROBLEMY „NIEBOSKIEJ KOMEDYI“,—przez <i>d-ra Józefa Ujejskiego</i>	417
2. GALLUS I KADŁUBEK,—przez <i>d-ra Z. Bujakowskiego</i>	440
3. TRAGIZM SŁOWACKIEGO,—przez <i>Władysława Kłyszewskiego</i>	470
4. GENERAŁ-MAJOR ZIEMI CZERSKIEJ,—przez <i>A. W.</i>	511
5. KRONIKA LITERACKA,—przez <i>Henryka Gallego</i>	534
6. WYSTAWA ARCHITEKTONICZNA W KRAKOWIE,—przez <i>Maryana Dienstla</i>	572
7. JAN JAKÓB ROUSSEAU JAKO MUZYK,—przez <i>d-ra Józefa Władysława Reissa</i>	581
8. PIŚMIENICTWO:	
WŁ. A. MUŚNICKE: „O domach towarowych czyli zmodernizowanym handlu detalicznym,“—przez <i>W. D.</i>	594
DR. FLORYAN ZNANIECKI: „Humanizm i poznanie,“—przez <i>d-ra Adama Zielińczyka</i>	596
EDWARD SCHURÉ: „Wielcy wtajemniczeni,“—przez <i>d-ra A. Z.</i>	602
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Z polityki zagranicznej.—Zatarg bałkański i wojna europejska.—Styczne do rzeczy polskich.—Żłudne marzenia i szkodliwe poczynania. — Wybór warszawski i jego następstwa. — Bojkot ekonomiczny- Żydów.—O miłości i nienawiści.—Jubileusz Korzona	605
10. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Stanisław Krzemiński	613
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	615



De. I. 1.

Główne problemy „Nieboskiej Komedyi“

I.

Kiedy Krasiński donosił 21 listopada 1833 r. Gaszyńskiemu, że „na nowy dramat, dotyczący się wieku naszego“ i że „walka w nim dwóch principiów: arystokracji i demokracji“,—dodawał: „Jest to obrona tego, na co się targa wielu hołyszów: religii i chwały przeszłości“. Stwierdzał tym dodatkiem, że za najdonioślejszy problem tego poematu uważał nie tyle walkę społeczną, jako taką, ile przedewszystkiem—wyłaniającą się z tej walki społecznej—walkę dwóch poglądów na świat.

Wierzył głęboko, że rozwiązanie tego problemu stanowcze—przyniesie niedługo rzeczywistość dziejowa, tembardziej więc pragnął to rozwiązanie przewidzieć, aby wyjść z dręczącej niepewności. Dręczącą zaś była ta niepewność w stopniu tem wyższym, że problem narzucał się tu nietylko rozumowi; przede wszystkim sercu. Wszak cytowane słowa wystarczą na dowód, że nie miał być Krasiński obojętnym i chłodnym widzem, że miał coś w tej walce do stracenia, że pragnął nawet czynnym być obrońcą jednej z walczących zasad. Niepokój był tem straszniejszy, że na pierwszy rzut oka widoki zwycięstwa dla obozu, w którym siebie widział, były tak jak żadne. Nie łatwo jednak jest człowiekowi uwierzyć nawet żelaznej logice, jeżeli na końcu jej rozumowania czyta wyrok śmierci na to, co kochał i co w dodatku przywykł uważać za nieśmiertelne. Dlatego Krasiński przed tym pierwszym rzutem oka nie mógł tak łatwo broni złożyć i musiał go poddać szczegółowej rewizji. Rewizja taka mogła postępować drogami pytań, jak te: Czy *naprawdę* konieczne jest

starcie? Czy starcie klas społecznych będzie *naprawdę* starciem dwu poglądów na świat? Dalej—jakie siły materyalne i duchowe walczących obozów? Jakie siły duchowe samych walczących zasad? I wreszcie czy materyalne, czy duchowe ostatecznie rozstrzygną?

Przejdźmy po kolei odpowiedzi, które na te pytania daje „Nieboska Komedia“.

Co do pierwszego, to o konieczności starcia jest Krasiński przekonany jaknajmocniej. „Przed sto laty, przed dwoma wiekami—mówi przez usta hr. Henryka — polubowna ugoda mogła jeszcze... ale teraz wiem—teraz trza mordować się nawzajem—bo im chodzi tylko o zmianę plemienia“. Cóż go mogło tak stanowczo w tem przeświadczeniu utwierdzić? Szerzący się wówczas coraz rozgłośniej Saint-Simonizm, który wielką nienawiść w Krasińskim budził, nie mógł—nie powinien był przynajmniej—sam przez się budzić tych czarnych przeczuć, bo rewolucję potępiał i jedynie apostołską propagandę za drogę do swego niewątpliwego zwycięstwa ogłaszał. Ale właśnie przeciw tym teoryom zdawały się mówić Krasińskiemu, niezależnie od nich, fakta: krwawy strajk w fabrykach jedwabiu w Lyonie, wrzenie w Anglii, o którym donosił mu przyjaciel Reeve, wprost rewolucję robotniczą zapowiadając, wreszcie ojcowskie oświecenie listopadowego powstania. Generał bowiem, chcąc uspokoić sumienie syna, wmawiał w niego, że walka narodowa w r. 1831 była tylko płaszczykiem socyalnej, że już „Narodowości poznikały. Dwa kolory rządzą światem: porządek i rozruch, a to na to, żeby ci co posiadają nie posiadali, a ci co nie posiadają, żeby posiadali“. I dodawał, że gdyby Zygmunt poszedł do powstania to albo stałby się był „uczestnikiem nowych Dantonów i Robespierrow, albo ich ofiarą“.

Jeżeli prócz tego będziemy pamiętali, że Krasiński z całej atmosfery duchowej swego wieku wchłonał przeczucie, że ten wiek jest wiekiem przełomu, że zatem szczególnie oko miał zwrócone na te fakty i ich oświecenia, które to przeczucie zdawały się uzasadniać, to wówczas jego przekonanie o konieczności starcia zrozumiemy. Dodać wypada, że nie uchodził też uwagi Krasińskiego wzrastający ucisk kapitalizmu, że wiek swój często wiekiem kupców i bankierów gnębieli nazywał¹⁾. Sądził więc, że

¹⁾ Ce siècle est le siècle des oppresseurs et des banquiers (korespondencya z Reevem I; str. 188).

to musi starcie przyspieszyć i już widział w wyobraźni stosy trupów pod stosem bankowych biletów. Zapewnienia zaś pokojowe St.-Simonistów nie uspakajały go bynajmniej. Oparcie ideowe całej doktryny było tego rodzaju, że jemu przynajmniej nie pozwalało wierzyć w szczerłość tych zapewnień, a w każdym razie nie w trwałą wobec nich lojalność. Że zaś musiał ich uważać za jedyną potęgę umysłową, na którejby się ruch rewolucyjno-socjalny mógł wesprzeć, przeto widział w nich przyszłych tego ruchu wodzów. I w tem właśnie leży punkt wyjścia dla tej oceny owego ruchu, jaką w „Nieboskiej Komedyi“ znajdujemy. Raz jeszcze bowiem: położmy nacisk na to, że klasowa strona przyszłej walki—choć naturalnie obchodzić musiała Krasińskiego z powodu jego rodu i majątku, to przecież nie była dla niego wcale rzeczą główną, a nawet istotną. W sierpniu 1831 r. pisał do Reeve'a, że kupców i bankierów jest „za wiele na tym świecie, że prawa Bożej miłości na tem cierpią“. Przyznawał zatem nawet ruchowi robotniczemu w zasadzie słuszność. Bez porównania bardziej przerażał go przewidywany przewrót społeczny swoją stroną — jeśli można tak górnie powiedzieć — metafizyczną; a właśnie to drugie nasze pytanie: czy i o ile walka klasowa będzie zarazem walką dwóch, różnych całkiem, na różnych zupełnie metafizykach opartych, poglądów na świat, było dla Krasińskiego rozstrzygnięte już przez samo uznanie St.-Simonizmu za naturalne teoretyczne podłoże ruchu upośledzonych mas. Rozstrzygnięcie zaś tego właśnie pytania było dla osobistego stanowiska poety najzupełniej decydującem. Bo przecież nie była to dla niego kwestya spekulacyi rozumowych oderwanego od życia teoretyka, ale kwestya rzeczywistego bytu całej ludzkości i wartości tego bytu. Pogląd na świat był dla niego o tyle coś wart, o ile stanowił naprawdę stos pacierzowy moralnego postępu, a za taki tylko swój sposób pojmowania rzeczy uważał. Na czem się on u niego wspierał—wiemy. Wszak jest „Nieboska Komedia“ „obroną religii i chwalej przeszłości“. Wszelkie dotychczasowe wysiłki myślicielskie kończyły się u Krasińskiego afirmacją chrześcijańskiego spirytualizmu, bo też o to głównie tym wysiłkom chodziło. Kult przeszłości łączył się z taką metafizyką przynajmniej o tyle o ile ta przeszłość się na niej opierała. To też w jego wyobraźni żyje przedewszystkiem „przeszłość zbrojna w stal, powiewna rycerskimi pióry“—na tle „gotyckich wież“ i w „cieniu katedr świątynnych“. Tę kochał a natomiast dla starożytności, zwłaszcza rzymskiej miał—jak pamiętamy z rozmowy Frydyona z Ulpianem—zu-

pełną pogardę. Nie trzeba też zapominać, że Krasiński był potomkiem historycznego rodu i... romantykiem. Krótko mówiąc, patrzył na świat najchętniej przez gotycki witraż „czucia i wiary“. Tymczasem ile razy skierował wzrok duszy ku przyszłej walce dwu porządków społecznych, zawsze widział krwawe widmo wielkiej rewolucyi francuskiej, powracające na ziemię za rydwanem—nie już bogini rozumu—ale, co na jedno wyjdzie, za rydwanem ojca *Enfantina*, proroka *St.-Simonistów*, który trzymał wprawdzie w ręku tablice praw człowieka, ale, w Krasińskiego przekonaniu, tratował rozbite tablice praw boskich. A na gruzach gotyckich świątyń widział wznoszące się fabryki; a na gruzach rodziny wolną miłość; a na gruzach Boga samego—wyuzdaną parę kapłańską. Czy wyobraźnią zresztą czy także i rozumem i doświadczeniem historycznym—zawsze dochodził do tego samego wyniku, że jego chrześcijańskiemu spirytualizmowi i kultowi przeszłości przeciwstawi się w nowym ruchu społecznym ateistyczny lub panteistyczny (to dla niego nie mogło przedstawiać różnicy) materializm i zupełne — o ile to wogóle dla człowieka możliwe — zerwanie wszelkich nici łączących człowieka z przeszłością. Nawiasem mówiąc, także poezyi przeciwstawi się—zupełna proza; a to dla romantyka rzecz wcale nie podrzędna.

Skoro jednak w ten sposób raz wiemy, że zbliżającą się walkę społeczną uważał Krasiński zarazem za walkę dwu, na każdym punkcie sprzecznych poglądów na świat, a równocześnie wiemy i to, że jeden z tych poglądów uważał za bezwzględnie prawdziwy a drugi za bezwzględnie fałszywy, to teraz wniosek nasz mógłby być taki: Zwyciężyć musi to, co jest prawdziwe. Krasiński, wierząc w prawdę swego sposobu myślenia powinien też być z góry być pewnym jego, ostatecznego przynajmniej, zwycięstwa. Jeżeli bowiem dręczyła go niepewność o zwycięstwo, to wniosek drugi: że chyba musiała go dręczyć także i niepewność, które z walczących principiów jest prawdziwe.

Otóż Krasiński byłby najchętniej istotnie rozumował w myśl pierwszego wniosku i ostatecznie w zakończeniu poematu w tym duchu problem rozstrzygnął. Zanim się to jednak stało próbował metody innej. Był to człowiek, którego oś umysłową stanowiła wprawdzie zawsze wiara, ale który przecież pragnął tę wiarę podpierać rozumową interpretacją faktów. I oto dlaczego naprzód w myśli swojej, a potem w poemacie ustawił naprzeciw siebie walczące obozy i rozpatrywał siły obu, co stanowi dla nas odpowiedź na pytanie trzecie.

Co do sił materyalnych, widział poeta, że w końcu musi tu decydować liczba, a o tej znów dola i niedola życiowa a nie principia. Skoro przeciwnicy tego poglądu na świat, który wyznawał Krasiński, przyrzekali chleb i wolność, to samo przez się rozumiało się, że liczba ich zwolenników musiała być o tyle większą od jego obozu, o ile więcej głodnych i uciśnionych od sytych i swobodnych, choćby ci głodni w głębi duszy wierzyli nawet tak jak on. Kwestya podziału sił fizycznych nie mogła więc nasuwać żadnych zgoda wątpliwości. Okopy św. Trójcy to garstka, obóz Pankracego to ocean. Ale z większą daleko goryczą musiał Krasiński stwierdzać fakt, że i moralnej potęgi żadnej niema w oficjalnych przedstawicielach tego, co on kochał i w co wierzył. Treść ich życia ogromnie odległa od sztandarów, które wywieszają. W całym szeregu scen IV części poematu i wcześniej jeszcze na chrzcinach Orcia, odśłania Krasiński bez litości całą ich pustkę i małość wewnętrzną, frakiem obłudy towarzyskiej nie dobrze zakrywaną. Nie mają czystego sumienia, bo naprawdę gnębili i żyli wyłącznie z pracy drugich. Co gorsza, nie drżą oni właściwie jak Krasiński o ten sztandar, około którego los ich przypadkiem skupił, drżą tylko o marne życie swoje, gotowi nawet jak ojciec chrzestny dla drugiego pierwszy poświęcić. „Przeszłość zbrojua w stal“ to tylko mgliste wspomnienie, „tego już nigdy nie będzie“—skarży się Krasiński we wstępie do części III. A nawet jako pamiątka, drogą naprawdę jest ona już tylko ich wodzowi i to nie jako człowiekowi, tylko jako romantykowi-poecie; nie sercu jego drogą, tylko wyobraźni. Bo ten wódz, choć to człowiek większy od nich—rozumem, odwagą, poczuciem honoru—to przecież równocześnie człowiek, który „nie kochał, nic nie czeił prócz siebie i myśli swoich“, to prócz tego sceptyk w gruncie rzeczy i bankrut życiowy. Stoi on po tej stronie dlatego tylko, że tu poetyczniej niż tam, że tu lepszy materiał do dramatu, w który całe swe życie układa. Poetycznie jest bronić dumnie posterunku, choć się wie, że on na zagładę skazany, poetycznie „być panem życia i śmierci tych, co mi przed chwilą byli równi“. Co do samych zasad, których broni: religii i chwały przodków, to wartości ich bezwzględnej nie jest hrabia Henryk bynajmniej pewny; ale znowu wystarczy mu to, że w zasady Pankracego wierzy jeszcze mniej, a jego poetyczniejsze są napewno. Tamte to wstrętne proza. Zresztą skoro życie straciło dla niego wszelką wartość, chce przynajmniej zginać — poetycznie. Krasiński nie wątpi, że wszyscy ci ludzie, i arystokra-

cya i bankierzy i kler nawet (o którym tu wstrzymuje się jakby od zdania, ale je już dawniej we francuskim artykule „Sur le clergé“ dość ostro wypowiedział) zasłużyli na los, który ich czeka. Tym sądem nad nimi upewnił się sam w swojej bezstronności, z jaką chciał przystąpić do oceny siły moralnej obozu przeciwnego.

Pomiar jej musiał się odbyć pod kątem pytania: jakie rekojnie daje ten obóz, że naprawdę usunie z ziemi *raz na zawsze* głód i niewolę. Krasiński szkicuje przed wzrokiem wyobraźni czytelnika szereg obrazów jakby z rewolucyi francuskiej, to znów z posiedzeń St.-Simonistów. Ostatnie w karykaturze tego zwyrodnienia, jakie w jego opinii niechybnie czekało sektę *Enfantina Basard'a* i *Rodrigues'a*. Co jednak szczególnie mocno podkreśla, to zarodki przyszłej arystokracji w tym obozie. Ci kapłani, artyści i filozofowie, ci lokaje małpujący swoich panów, mający prezesa i mówiący o honorze, ten generał *Bianchetti* wreszcie — wszystko to świadczy Krasińskiemu jasno jak na dłoni, że ci ludzie prędzej czy później ukształtują się w taki sam porządek społeczny jak ten, który dziś w imię niezrozumianych przez siebie zasad swych kierowników, zwalczają. Zdaje mu się, że już widzi najwyraźniej przyszłych wyzyskiwanych i przyszłych wyzyskujących, którzy z pracy tamtych żyć będą. Utrwalało go zapewne w tem przekonaniu wytworzenie się we Francyi stanu czwartego zaraz jak tylko trzeci zwyciężył i rządy ujął. Zapewne już to samo wystarczało Krasińskiemu, aby ten ruch jako bezowocny potępić, a siebie przekonać nie tylko o tem, że ten ich pogląd na świat nie niesie poprawy doli ludzkiej na świecie, ale także o tem, że *jego* pogląd na świat, żadnej za obecną niedolę nie ponosi winy, bo ona tylko nędzy moralnej samych ludzi jest wynikiem. Tę nędzę moralną usunąć trzeba, aby materialnej zapobiedz. Ale zanim takie przekonanie zostanie wypowiedziane, trzeba jeszcze rozmówić się z *Pankracym*. On, ten niby wcielony pogląd na świat tych mas zgłodniałych, które go zresztą nierozumieją — może on właśnie będzie umiał w przyszłości tę nędzę moralną usunąć, może ukrywa gdzieś na dnie duszy czarowny talizman wewnętrznej przemiany człowieka. Obecny stan moralny jego obozu świadczy, że nie, ale może to tylko pozór, może stan przejściowy tylko? Cóż tedy *Pankracy* sam myśli o przyszłości rodzaju ludzkiego, którą on zbuduje? Oto odpowiedź: „Świat mój jeszcze nie rozparł się w polu—zgoda—nie wyrósł na olbrzyma — łaknie do tąd chleba i wygod—ale przyjdą czasy. Ale przyjdą czasy, w któ-

rych on zrozumie siebie i powie o sobie: Jestem — a nie będzie drugiego głosu na świecie, coby mógł także odpowiedzieć: Jestem. Z pokolenia, które piastuję w sile woli mojej, narodzi się plemię ostatecznie najwyższe, najdzielniejsze. Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów. Oni są ludźmi wolnymi, panami jej od bieguna. Ona cała jednym miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu⁴. Więc tylko tyle? Ależ w takim razie—pomijając już, że w całej tej deklamacji są ideały wyłącznie czysto materialne, a brak zupełny ideału moralnego — to prócz tego jest ona nawskroś utopijna. To poezya. A z tą Pankracemu wprost nie do twarzy. „Słowa twoje kłamia — ale twarz twoja niewzruszona, błada, udać nie umie natchnienia“, mówi mu słusznie Henryk. Bo skąd może wiedzieć Pankracy jakie plemię wyrośnie z jego pokolenia? Dlaczego właśnie ma wyrosć takie, jakiego on sobie życzy? Jakie są tego zadatki? Wierzy? Przeczuwa? Jakże może przeczuciem, czy wiarą prostą kierować się człowiek, który uznaje tylko rozum, którego rozum jest jedyną potęgą, który tym rozumem właśnie świat opanował? To też Pankracy, dzięki rozumowi temu, w rzeczywistości nie wierzy. Słów wyżej przytoczonych nie wypowiedział dotąd przed nikim, bo się ich wstydził; tutaj zaryzykował je, licząc na to, że ma przed sobą poetę. A sam łamał się ze sobą dopiero co. Wierzy tylko w rozum. Tymczasem ten rozum służył mu wierze i nieomylnie tylko tak długo jak długo jego działanie było przeczeniem tego co jest; wypowiada mu posłuszeństwo, gdy to działanie ma sprowadzić to, co być powinno. „Myśli moja, czyż nie zdołasz ludzi siebie, jako drugich ludzisz—wstydz się, przecie ty znasz swój cel, ty jesteś myślą—panią ludu—w tobie zeszła się wola i potęga wszystkich i co zbrodnią dla innych, to chwałą dla ciebie—ludziom podłym, nieznanym nadałaś imiona—ludziom bez czucia wiarę nadałaś—świat na podobieństwo swoje—świat nowy utworzyłaś naokoło siebie—a sama błąkasz się i nie wiesz czem jesteś. Nie, nie, nie,—ty jesteś wielką“. Biedny Pankracy musi się uciekać do autosugestji. To jest bankructwo duchowe, do którego, zdaniem Krasińskiego, musi z czasem dojść wódz nowego kierunku dziejów, jeżeli będzie naprawdę wielki i naprawdę rozumny. Rátować się będzie musiał ucieczką przed ostatecznymi konsekwencyami rozumowania do krainy wiary i nadziei, do krainy poezji. Henryk w rozmowie z nim pobija go właśnie rozumem, jego własną bronią, bo on, Henryk, konsekwentnie w nic nie wierzy. „Daremne marzenia,—kto ich dopełni? Adam skołał

na pustyni — my nie wrócim do raju“. Następuje wprost zamiana broni. Pankracy staje się poetą, Henryk rozumnym.

Tak się tedy przedstawiał Krasińskiemu bilans sił obu walczących obozów. O ile chodzi o siły fizyczne wypadł on oczywiście na korzyść obozu Pankracego, o ile o duchowe na niczyją. Bo choć pozornie ludzie nowi górują nad obrońcami okopów św. Trójcy wiarą w swoją ideę jak fanatyk Leonard, w swój geniusz jak Bianchetti, w swój talmud jak przechrzty, wreszcie w rację swego pustego żołądka jak całe ich *servile imitatorum pecus*, podczas gdy tamci w nic naprawdę nie wierzą — to przecież cóż im z tego, gdy to wszystko tylko na zburzenie tego co jest wystarczy, ale nie starczy na zbudowanie niczego naprawdę lepszego. Co gorsza—tu już nie ludzie tylko, jak w Okopach—tu kompromituje się sama wartość moralna zasady, która jest ich motorem. Wszakże ta zasada już w życie była przez nich wcielona i nagle pokazało się, że nic lepszego nad stan terażniejszy zbudować na niej nie można. Tymczasem zasada, której broni naprawdę Krasiński, a niby bronią także oblężeni w Okopach—religia chrześcijańska—ta nie była dotąd życiem urzeczywistniona, ona tylko czczą nalepką Okopów św. Trójcy, ona skompromitowaną dotąd nie jest. Kto wie, może właśnie tu tajemnica całej nikczemności starego porządku rzeczy, całego jego upadku, że ta zasada za sztandar procesyjny mu tylko służyła, a nie za treść życia? Krasiński właśnie nie wątpi, że tak jest. W tej bowiem tylko zasadzie jest jedyne źródło twórczej siły moralnej, prawdziwie boski pierwiastek: Serce i miłość. W przeciwnej zasadzie brak tego pierwiastka zupełny. Tam jest tylko: „błogosławieństwo wielkiego rozumu—nie serca—precz z sercem, z przesądami“. Tu jednak trzeba sobie zadać pytanie, czy sprawiedliwym był Krasiński, czy sobie sofistycznie zwycięstwa dyalektycznego nie ułatwiał, przypisując przeciwnikom z góry brak serca i pogardliwe odrzucenie zasady miłości. Mickiewicz, unosząc się nad postacią Pankracego dodawał jednak: „jest tylko przesadzonym i fałszywym z tego względu, że autor obdarzył go jedynie siłą rozumu: rozum sam jeden nie wystarcza do podbicia ludzi, nie porywa mas“. Skądinąd zaś wiemy, że ten St.-Simonizm, który Krasiński za główne podłoże duchowe nowego ruchu społecznego uważał, że ten St.-Simonizm właśnie chrześcijańską etykę miłości obiecywał sobie na świecie w czyn wprowadzić, mawiał, że Bóg jest Miłość, a stosunki w t. zw. Rodzinie St.-Simonistycznej panujące wcale kłamu tym teoryom nie zadawały. Otóż aby tę niesprawiedliwość zrozumieć, trzeba przypomnieć, że jest ona tyl-

ko wynikiem poprzedniej. Widzieliśmy wyżej, że Krasieński umieścił w swej wyobraźni St.-Simonistów na czele przyszłego krwawego przewrotu mimo ich ciągłych zapewnień pokojowych. Nie umiał bowiem odróżnić etyki chrześcijańskiej od chrześcijańskiej dogmatyki, a tę ostatnią oni odrzucali zupełnie. Był zatem przekonany, że jeżeli nie dzisiejsze to przyszłe pokolenie koniecznie musi odrzucić i samą etykę, bo ona tylko na pozaświatowym nakazie oparta, może się w swej mocy nad ludźmi utrzymać. Skoro zaś raz ujrzał ich w swej wyobraźni na czele mas dyszących mordem i uwierzył, że będą tym mordem kierować w imię swej doktryny i święcenia zbójcekie rozdawać—to już wtedy całkiem logicznie mógł Pankracemu narzucać hasło: precz z sercem, a czyniąc go wielkim—dać mu tylko wielki rozum. Ten dar zaś wspinałomyślny dogadzał mu jeszcze z innych względów. Wszak dowodzić, że rozum sam jest tylko pierwiastkiem rozkładowym, nigdy zaś twórczym, że on postęp moralny ludzkości tylko hamuje i zabija, nigdy zaś go nie posuwa, że doprowadzony do ostatecznych konsekwencji sam sobie w końcu zaprzeczyc musi—to było głównym i ulubionym wysiłkiem wojującego w imię uczucia romantyzmu. Krasieński dwa—najpiękniejsze może ustępy swej twórczości uczynił wielkim sądem Bożym dla pozwanego przez siebie rozumu: rozmowę Henryka z Pankracym i Irydyona z Ulpianem. Prokuratorem w obu tych scenach był właściwie sam, adwokatów w obu sfingował; w ten sposób oczywiście i tryumf dyalektyczny sobie z góry zapewniał, bo adwokat temi tylko argumentami mógł rozporządzać, które mu prokurator sam ofiarował. Od początku jak tylko zaczynają się w głowie Krasieńskiego formować koncepcje historyozoficzne—wszelkie zło dziejowe utożsamia się w nich z rozumem. Rozpoczął rozum to działanie szatańskie już w raję podsuwając człowiekowi owoc wiadomości i podszeptując: eritis sicut deus bona et mala scientes. A Massynissa „szatan historyczny“ powie: „Ty nie wiesz, że każdy z was zdołałby zostać Wszchemocnym myślą własną, nieubłąganą, zażartą—ale Wróg przewidział i zawiesił w łonie waszem serce—bojaźń, ułudę, podłość, którą tulicie jak niewolniki, którzy przystali na hańbę—tem on was rozdziwił i rozrzucił nizko i daleko“. Massynissa i także ten szatan, który w *Dniu dzisiejszym* mówi o sobie: „Ja jestem Rozum, ja jestem konieczność“, a potem kompletny materyalistyczny pogląd na świat wygłasza—to są właśnie bogowie Pankracego. Dają oni często materyalną potęgę ale po to, aby tem niżej pogrążyć moralnie i „świat w gorszą zepchnąć noc“. Lepiej umrzeć niż tym środkiem dobijać się potęgi.

Irydyon błogosławi upadłej materyalnie Helladzie, że „nigdy takim (jak Roma) nie spodliła się rozumem“, a Czarniecki w „Przedświecie“ każe za to samo błogosławić Polsce. Wie, że kierując się tym *rozumem* politycznym, co jej sąsiedzi, byłaby Polska jak oni potężna, ale byłaby też „jak oni Kramem tylko nie narodem, Sklepem śpiącej pełnym broni“. Więc „Łaska boża nas wegnąła w te bezdroża: Niechaj będzie pochwalona! Bo ojczyźnie mojej dała z piekieł ziemskich wyniść łona, nie żyć w innych ludów modle, raczej umrzeć — jak żyć podle“... „Błogosławcie ojców winie!“

Tak tedy przedstawia się odpowiedź na czwarte z postawionych na wstępie pytań: jakie siły duchowe samych walczących zasad, samych poglądów na świat? Ale pozostaje jeszcze jedno: czy materyalne, czy duchowe siły rozstrzygną ostatecznie o zwycięstwie na ziemi? Niestety wszelka siła duchowa tu na ziemi w materji tylko może rozwinąć swoją dzielność, wcielona tylko działać może, bez ciała może istnieć tylko jako czysta abstrakcja i dyalektycznie conajwyżej może walczyć i zwyciężać. Tymczasem widzieliśmy, że ta religia miłości, której Krasiński broni przed zamachem „wielu hołyszów“ najmniej może wcieliła się w ten Okop św. Trójcy, który ją usty wyznaje. Henryk sam mówi, że i jemu „Łaska Boża na rozum spadła nie na serce“. Nigdzie serca i nigdzie wiary w serce. A skoro bez wcielenia się w ludzi, bez wejścia w ich krew żywą, nie może żadna zasada zwyciężyć, to i cóż z tego, że jest wielka i święta. W niebie tylko lub w platońskim świecie idei jej miejsce, tu na ziemi nie przeszkodzi tryumfowi Pankracego i Massynissy. A więc? Miałażby nastąpić naprawdę tylko prosta „zmiana plemienia“? Rozepną się na świecie nowi ludzie, aby się natychmiast w stary porządek ułożyć? I po to, aby kiedyś jeszcze nowsi przeciw nim znów powstałi i ciągle, ciągle błędne koło tych samych zbrodni ubieranych tylko w coraz to nowsze szaty? Nie! Mimo wszystko tej myśli nie dopuści Krasiński do struchlałego serca. Wszak to tylko logika, sługa rozumu to widno mu podsuwa — a rozum jest szatanem, którym on gardzi. Przed pokusą takiej myśli obroni się tarczą, która go nigdy w życiu nie zawiedzie i którą nieraz się jeszcze przed rozumem własnym zastoni: tarczą swojej silnej wiary w Boga i jego Opatrzność. Bóg, który jest najwyższą Miłością, który napewne „w milion ludzi krzyczących ratunku nie patrzy jak w zawile zrównanie rachunku“ — nie dopuści do tak beznadziejnego „spraw ziemskich obrotu“, jaki stan dzisiejszy zapowiadać się zdaje. To nie piekło, to tylko „czyścić dni teraz-

niejszych“ „Anarchia to taka okropna, że koniecznie dąży do przesilenia—żądza taka wielka a dotąd daremna, że wzywa koniecznie pomocy Ojca, który jest w niebiesiech. Kiedyż ta pomoc odmówioną była? Kiedyż Bóg opuścił Historję, kiedy Historja wzniosła ku niemu ręce i językiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: „Pokaż się nam Panie“! Słowa te wyjęte wprawdzie ze wstępu do „Przedświtu“, ale śmiało mogą tutaj służyć, bo z innej myśli wystrzeliło zakończenie Nieboskiej. Było ono zatem aktem wiary przedewszystkiem, ale było też po części wnioskiem przez analogię. Pisząc „Nieboską Komedię“, miał już Krasiński w tece utwór p. t. „Irydyon Amfilochides. „Był to wprawdzie dopiero pierwszy szkic znanego nam dzisiaj „Irydyona“, ale pojęcie schyłku świata starożytnego było w nim już to samo. Widział tam Krasiński podobne staczanie się w przepaść, jakie za óni swoich w Europie dostrzegał. Jak w „Nieboskiej“ wołał: „ktokolwiek jesteś, powiedz mi w co wierzysz — łatwiejbyś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie“—tak i tam, w tym Rzymie III wieku widział chaos zupełny pojęć, upadek wszelkich wiar, zatrąę wszelkich dźwigni moralnych — szaleństwo bogów i ludzi. I—historja go uczyła, że wszystko to było zapowiedzią przesilenia i nowej ery. „Naprzód, bogi i ludzie!—szalejcie do woli—ostatni to szął, ostatnia to gonitwa wasza—a Fatum z was się urąga, krzyż godłem swoim wzięło i wy wszyscy wcześniej czy później padniecie przed krzyżem“. „Discite historiam exemple moniti!“ Przed tym samym krzyżem padnie i Pankracy i tak samo jak Rzym stary w Juliana wielony powie: Gallilae vicisti. Kryły się już w tem jednak nowe zagadnienia. W jakiej formie objawi się ta powtórna osobista interwencja Boga w dziejach ludzkości? Zeby dosłownie w tejsamej co wówczas, zwłaszcza tej samej co do skutków — to niemożliwe. Oznaczałoby to bowiem podobne błędne koło dziejowe, jak to, które rozum Krasińskiemu ukazywał a przed którym właśnie serce i wiara tak mocno się wzdrygały. Więc w nowej formie napewne, ale w jakiej to problem, którego poeta narazie rozwiązać nie umie. W liście do Gaszyńskiego sam wyraźnie zestawia to, co już wie z tem czego jeszcze nie wie. „Ja wiem, że cywilizacya nasza ma się ku śmierci, wiem, że blizkie czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą stare karać i same się potępić w obliczu Boga, ale wiem, że one nic nie utworzą, nie zbudują, przejdą jak koń Attyli i głucho po nich. Dopiero to *czego ani ty, ani nikt nie zna, nie pojmuje* nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat nowy z woli boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje, ale wtedy i twoje

i moje kości gdzieś próchnem będą“. Tymczasowo jednak ten potężny akt wiary, którym logikę swego pesymizmu zwyciężył i, którym „Nieboską Komedię“ zakończył, wystarczał mu i uspakajał. Wystarczał w myśl tego przykazania, które Bóg potem da Irydyonowi: „choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać“... Ale wystarczał tylko tymczasowo. Zbyt to jednak filozoficzny był umysł, aby mogło być inaczej. Niebawem cały trud myśli Krasińskiego pójdzie w tym kierunku, aby wyrozumować ów sposób, jakim się interwencja Boża w dalszym biegu dziejów ludzkich ukaże i czym będzie ta nowa era, którą ona rozpocznie. I rezultatem tych wysiłków będzie „Przedświt.“

II.

Już teraz jednak rozumiał poeta jedno. Mówił mu zarówno obóz Pankracego jak i Okop św. Trójcy, że nie będzie lepiej na świecie, że nie przyjdzie rzeczywista nowa era bez moralnej przemiany człowieka. Nie przemiany jego pojęć i principów moralnych - ale jego samego i praktyki jego życia. Jeżeli zatem skuteczne ma być to niedalekie ukazanie się Bogu wyciągającej ręce do niego historii, to łaska jego musi spaść przedewszystkiem na naturę ludzką samą, uwolnić ją od tych ciągłych sprzeczności, które bój ustawiczny w niej toczą. I tu znówu leży zarodek późniejszych spekulacji filozoficznych, późniejszej teorii pełnego i żywego *ducha* jako doskonałej harmonii ciała i duszy, równowagi żądź ziemskich i niebieskich, co wszystko nowa era życia ludzkości ma ziścić. Trójca Boża, w której również Duch św. od Ojca i Syna pochodzący, syntezę tych dwóch Osób stanowi i zarazem najwyższą Bożą doskonałość — służyła tu Krasińskiemu za klucz pojiniowania zarówno ewolucji ludzkości jak i ewolucji człowieka. Ale teraz nie wie on jeszcze nic o Heglowskiej dyalektycznej metodzie. W naturze ludzkiej widzi z rozpaczą tylko antytezy rozumu i serca, a nie nauczył się jeszcze od Hegla i Cieszkowskiego, że gdziekolwiek jest (a jest wszędzie) teza i antyteza, tam zawsze synteza koniecznie przyjść musi. Że jest to koniecznością logiczną, a zatem przez to samo i dziejową i przyrodniczą i psychologiczną. Ponieważ zaś tej konieczności syntezy jeszcze nie pojął i za swój dogmat filozoficzny jeszcze jej nie uznał — więc widząc w człowieku tylko dwie antytezy walczące — nie

w zgodzie (syntezie), w której możliwość nie wierzył, ale w zwycięstwie zupełnem jednej z nich widział jedyny sposób moralnego dźwignięcia. W której zwycięstwie — rozumu, czy serca — to już wiemy. „Błogosławiony pośród stworzeń, kto ma serce — on jeszcze zbawion być może“ — mówi Anioł Stróż do hr. Henryka na samym początku „Nieboskiej Komedyi“ — i ta myśl nad całym poematem się unosi. Do upewnienia się użył zresztą, jak poprawny dyalektyk, także i dowodu, nie wprost. Przyjął w Pankracym założenie, że rozum zwyciężył nad sercem i doprowadził to założenie do absurdu — do zaprzeczenia samego siebie. W ten sposób ideałem moralnym stał mu się wówczas człowiek, który z rozdwojenia wewnętrznego wyszedł i osiągnął jedność wewnętrzną w sposób wprost tamtemu przeciwny: przez zwycięstwo serca. Nie w tem znaczeniu naturalnie, aby rozum zgoła zabić. Krasiński-mysłiciel, zbyt dobrze wiedział, jak on człowiekowi potrzebny. Sądził tylko, że należy go upokorzyć przed sercem i niewolnikiem posłusznym serca uczynić. Wówczas nie będzie szkodliwy, ale nawet pożytecznym i twórczym prawdziwie się stanie. Musi tylko przestać być antytezą, a tem więcej panem w ludzkiej naturze. Słowem rozstrzygał rzecz podobnie, jak niedawno Mickiewicz w wierszu p. t. „Rozum i Wiara“. Tylko, że dla Mickiewicza był to w tym momencie problem więcej epistemologiczny, dla niego przedewszystkiem etyczny.

Rozwiązawszy go zaś jako taki w powyższy sposób, jak narodzonego romantyka przystało — musiał też pod kątem tego rozwiązania spojrzeć na siebie. I to jest osobista tragedia Krasińskiego w „Nieboskiej Komedyi“, boleśniejsza niż tanta dziejowa; boleśniejsza przez to, że osobista i co gorsza przez to, że nie miała przed sobą, jak tanta, *końcowej jasnej *κατάρα*. Obecność nie tylko myśli i troski Krasińskiego w tym dramacie, ale i samej jego osoby odczuwano niemal od początku i wiele już o tem mówiono. Ale rodzaju i stopnia tej obecności ściślej nie określano. Zwykła opinia jest ta, że rozdał on cząstki ze siebie między Henryka i Orcia, że dał im obu ze swoich własnych przeżyć mniej więcej tyle, ile każdy przeciętnie romantyk dawał ze siebie swym bohaterom. Z tego oczywiście wcale nie wynika, aby można powiedzieć np. Henryk to Krasiński. Dziś wie się już nawet, że kiedy krótko przed napisaniem „Nieboskiej Komedyi“ nasuвано Krasińskiemu myśl o jego małżeństwie, to on wówczas kreślił sylwetkę swoją jako męża zupełnie podobną do Męża z pierwszej części późniejszego swego poematu; ale i to rzeczy wcale nie zmienia. Czyż można bowiem o Krasińskim powiedzieć, że „nie

nie kochał, nie nie czcił prócz siebie i myśli swoich“, że „łaska boża spadła na rozum tylko nie na serce jego“, że on nie wierzy „w postęp i szczęście rodu ludzkiego“, że przeciwnie twierdzi: „my nie wrócim do raj“? Nie, rzeczywiście nie można tego wszystkiego powiedzieć, choćby dla tego jednego, że „Nieboską Komedię“ przecierpiał i napisał. Nie można więc powiedzieć tego, że Henryk to Krasiński, bo nie *cały* Krasiński jest w Henryku. Ale to można powiedzieć, że *cały* Henryk jest w Krasińskim. Nic zawilszego jak natura romantyka, którego kolebka z drzewa XVIII w. zrobioną była. I nic tragiczniejszego zarazem. Nie jednemi drzwiami do jego duszy wchodzić należy i nie jednym otwierać ją kluczem. Tam naprawdę antytezy są same, równorzędne a walczące wciąż i szydzące ze siebie nawzajem. Jedna drugiej wciąż mówi: dramat układasz i nigdy do zwycięstwa jednej nad drugą—tem mniej do zgody w wyższej syntezie przyjść nie może. Taka ciągła walka to obraz duszy Krasińskiego¹⁾. A on sam tem biedniejszy, że ustawiczna samokontrola ciągłym świadkiem tej walki go czyni i co najrozpaczliwsza — świadkiem bezsilnym. Coby on dał za to, ile trudów na to wysiłał, by sercu w sobie do zwycięstwa dopomódz. Napróżno! Rozum — na chwilę pokonany — powracał i drwił. Czasem mocniej zraniony—stawał się wnet potem jeszcze zgryźliwszym. Rozdrażniony raną tracił naprawdę siłę twórczą i walczył tylko jako przeczenie—jako sceptycyzm. Z Massynissy przerzucił się w Mefista z „Nieboskiej“. W teorii zwalczony oddawna, od zarania myśli—w praktyce, całkowicie nie uległ może nigdy. W „Nieboskiej Komedyi“ toczy się w Krasińskim walka zupełnie analogiczna do tej pod Okopami św. Trójcy. Jak w tej wielkiej batalii dziejowej odłączył Krasiński w ludzkości na chwilę rozum od serca i nazwał go Pankracym, tak w sobie odłączył na chwilę od serca rozum i wyobraźnię i postawiwszy przed sobą jako coś obcego—nazwał je Henrykiem¹⁾. Henryk to Pankracy duszy Krasińskiego. I jak tamtemu żyć kazał i działać i *πρὸς ἑαυτὸν* mu pozwolił, aby go w końcu zmusić do zaprzeczenia samemu sobie i zabicia się własnem ostrzem—tak samo i tym samym sposobem

¹⁾ Znakomicie to uwydatnia Br. Chlebowski w swojej psychologicznej biografii Krasińskiego. (Wiek XIX-sty. Sto lat myśli polskiej. T. V. str. 123 i 132).

²⁾ Podobnie pojął stosunek osoby Krasińskiego do bohatera dramatu dr. Kleiner. (Zygmunt Krasiński. Dzieje myśli. Tom I).

Henryka chce w sobie zabić. I ginie ten Henryk w przekonaniu Krasińskiego z przekleństwem siebie samego na ustach: ale tylko w przekonaniu—w teorii. W naturze Krasińskiego będzie on dalej istniał i dramat jego życia układał. Dramat człowieka i dramat poety. Jest to fakt pierwszorzędnej wagi, że wydzielając ze siebie teoretycznie wszystko z czego Henryka miał ulepić, a czego i praktycznie jako człowiek pozbyć się pragnął — poezję temu potępionemu przysądził. Był w tem konsekwentny wobec swego ideału aż do bezmiłosierdzia nad sobą. Jedności wewnętrznej pragnął i to jedności pod hegemonią samego tylko serca. Tymczasem widział, że tej hegemonii w nim, więcej jeszcze niż rozum, staje na przeszkodzie wyobraźnia. „Łaska Twoja na rozum spadła, nie na serce moje“, skarży się Bogu hr. Henryk — ale wie on dobrze, że ta łaska spadła przedewszystkiem na jego wyobraźnię. A chociaż ona nie jest antytezą serca jak rozum, choć częściej i łatwiej niż on wpływowi serca ulega, to przecież daleko częściej tak nie jest. Daleko częściej odwrotnie—ona serce za sobą właśnie porywa, oszałamia je swoimi mirażami i całą miłość dla nich tylko absorbuje, tak że dla ziemi, dla ludzi, dla tego co rzeczywiste, co życiem jest prawdziwym — nie zostaje już nic. Ona drugi, inny niż ten, który jest, nierzeczywisty świat człowiekowi tworzy, a że piękniejszy od rzeczywistego — więc w nim tylko naprawdę mieszkać, żyć i kochać mu każe, a od prawdziwego odwracać się, często i nienawidzić. Patrz mówi mu: „Gwiazdy wokół twojej głowy—pod twojemi stopami fale morza—na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły — co ujrzysz jest twojem —brzegi miasta i ludzie tobie się przynależą, niebo jest twojem — Chwale Twojej nic nie zrówna“. I ludziom zresztą stamtąd służyć możesz i to jak chcesz, bo panować będziesz nad nimi. „Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze — splatasz serca i rozwiązujesz, gdyby wianek, igraszka palców twoich — łyzy wyciskasz —suszysz je uśmiechem i na nowo uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka, czasem na wieki“. Otóż tu serce Krasińskiego nagle pyta: „Ale sam co czujesz? ale sam co tworzysz? co myślisz?“ I odpowiada: „Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością“. A skoro to raz wiesz, to wówczas wiesz także, że jesteś w rzeczywistości tylko „marnym cieniem, który znać o świetle daje a światła nie zna, nie widział, nie obaczy! Kto cię stworzył w gniewie lub ironii? Kto ci dał życie nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać anioła chwilą nim zagręzniesz w błoto“...? Wiedząc to wszystko — cierpisz, ale „twoja boleść

nie nie utworzy, na nic się nie zda. Ostatniego nędzarza jęk policzon między tony harf niebieskich. Twoje rozpacze i westchnienia opadają na dół i Szatan je zbiera, dodaje w radości do swoich kłanstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy jako one zaprzeczyły Pana“. To los hr. Henryka. „...Całe życie byłeś dyabła igrzyskiem“ — powie mu Pankracy, a w rzeczywistości sztyderstwo to rzuca mu sam Krasiński. O ile bowiem dziejowym szatanem w „Irydyonie“ i w „Dniu dzisiejszym“ czyni Rozum, to tu w swojej osobistej tragedii uosabia w szatanie wyobraźnię. Ten to szatan jak Czarny Myśliwy w „Dziadach“ zsyła mu swój wytwór „odświeżony w mgłę i ubrany w kwiaty, dziewicę kochankę poety“ i zabija w nim rzeczywiste, ludzkie miłości uczucie.

Kochanek przez sen tylko widzianych manideł — można o nim słowami Mickiewicza powiedzieć:

Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu
 Gardzący istotami powszedniej natury,
 Szukał, ach szukał tej boskiej kochanki —
 Której na podslonecznym nie bywało świecie,
 Którą tylko na falach wyobraźnej pianki
 Wydęło tehmienie zapalu
 A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie“.

 Goniąc i błędząc, w błędach nieznużony goniec“..

Ten sam szatan wyobraźni nasyła mu znów potem „wypchanego orła“ sławy i on raz oczy ku niemu skierowawszy, uwierzy mu: „bądź co bądź fałsz czy prawda“. Daremny głos Anioła Stróża, którym jest serce. Daremnie ten głos żonę, potem syna kochać mu każe, daremnie też woła: „Schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj, bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich, a zbawionu będziesz“. Zawsze wyobraźnia w inną go stronę ponosi, co innego blaskiem mu swoim złości. Po to, aby w końcu rozum szych w ten złocie pokazał, sen rozwiął i pozostawił go z próżnią w sobie, próżnią wokoło siebie i próżnią nad sobą. „Pracowałem lat wiele na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości, rozkoszy i myśli i odkryłem — próżnię grobową w sercu mojem — znam wszystkie uczucia po imieniu a żadnej żądzy, żadnej wiary, miłości niema we mnie“. Tak powie hr. Henryk, a później, rzucając się w przepaść zawoła: „Poezyzo bądź mi przekłeta jako ja sam będę na wieki“! Z początku chciał Krasiński z tego ukształtowania psychicznego, jakie dał ze siebie Henry-

kowi, jedną jeszcze wysnuć konsekwencyę. Miał on być „jako człowiek w sferze wypadków wiecznie zerem“—„miał wśród wypadków politycznych grać bardzo zabawną rolę, bo nic nie działającą i nic nie znaczącą“. Tak pisał generałowi Krasińskiemu ówczesny towarzysz jego syna Danielewicz. Jakieś refleksye późniejsze wpłynąć musiały na to, że tej konsekwencyi poniechał. Widocznie nie uważał jej za konieczną, a wobec tego traciła też ona dla niego wartość argumentu. Prawdopodobnie nie dostrzegł jej w swojej własnej duszy i mimo ciągłego w niej konfliktu poszczególnych elementów — do czynu niezdolnym się nie czuł. W Henryku w każdym razie ta przewaga wyobraźni i rozumu nad sercem, jaka w nim jest, wpływa tylko na etyczną wartość woli, ale wcale nie na jej siłę. Od chwili powzięcia decyzji jest ona nawet wprost niezłomną. A wyobraźnia nietylko nie jest tu czynnikiem hamującym, ale przeciwnie, pobudzającym. I w tem właśnie zło, że ona a nie serce; bo przez to ta wola nie kierowała się ku ludziom i ich dobru, ale ku fikcyom i dogodzeniu własnej dunie. Jest to poniekąd nawet charakterystyczną cechą rozmyślań Krasińskiego nad człowiekiem, że zawsze zajmuje go tylko kwestya dobrej lub złej woli a prawie nigdy braku woli. Powołany dopiero co list Danielewicza świadczy, że nie było to przypadkowe tylko przeoczenie. Widocznie musiał Krasiński, przeciwnie niż Słowacki, nie w braku woli, więc zdolności do czynu, ale wyłącznie tylko w braku serca — widzieć „obraz wieku naszego i bezskutecznych jego usiłowań“. Przynajmniej w braku hegemonii serca. O tę hegemonię walczył w sobie Krasiński z Henrykiem — poetą.

Z poetą, nie z poezją — z życiem poety, nie z jego utworami. Utwory swoje kochał Krasiński, bo w nich było serce — w nich ono ze wszystkich prób wychodziło zwycięsko. Poezya sama znaczyła dla Krasińskiego tyle co *natchnienie*. A natchnienie — sądził, że nie może pochodzić skądinąd jeno wprost i bezpośrednio od Boga. Ono to śmiertelnika wtajemnicza w rzeczy boskie, ono to ukazało mu znak zbawienia ponad opadającą bezwładnie głową Pankracego i „przedświt lepszego poranku“. „Nie przeto wyrzekam na ciebie Poezyo, matko Piękności i Zbawienia. Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie“... A nieszczęśliwy dlatego, że przez niego tylko płynie strumień piękności, ale on pięknnością nie jest. Bo tego, co w natchnieniu bożem otrzymał, na życiową nie zamienia monetę. A czuje to sam i widzi — chciałby inaczej a nie może; więc cierpi. Im wyż-

szy mu objawion ideał, tem większy czuje fałsz w swym do niego stosunku. Czyż musi tak być? Czyż to nie od niego samego zależy? Na to Krasiński odpowiedzieć nie może, bo to tylko praktycznie naprawdę rozstrzygnąć można. On właśnie pragnie i walczy, ale któż skutek walki przewidzieć zdoła. Trudna jest bardzo. Najtrudniejsza przez to, że natchnienie prawdziwe nie jest stanem stałym tylko chwilowym. *Ars longa, vita brevis* — to zdanie przedmiotowo tylko słuszne. Podmiotowo jest przeciwnie: *ars brevis vita longa*; przynajmniej, jeżeli natchnienie samo za ars podstawimy. Tymczasem kto raz w tym boskim stanie zasmakował, jużby rad go nigdy na ludzki, zwykły nie zamieniał, ten ciągle w nim trwać pragnie. I dlatego zamiast boskiego, często szatański podszept bierze za natchnienie — fałszywą poetyczność za prawdziwą poezję. Oddzielić jedno od drugiego, zatracić w sobie tego Henryka, który jest dyabła igrzyskiem — oto problem Krasińskiego poety. Umie on już rozróżnić poezję tę, która płynie z Boga czyli z serca od tej, która z wyobraźni tylko, czyli z dyabła. To właśnie zdobycz „Nieboskiej Komedyi“. Pozostaje tylko tę drugą odrzucić. To program dalszej walki — trudniejszej. Swój sztandar w tej walce, sztandar poezyi prawdziwej, postawił Krasiński tak wysoko, że nawet samą sztukę tworzenia, zaklinanie natchnienia w słowo za szkodliwe dla niego, chwilowo — ku radości Mickiewicza — uznał. Bo wyobraźnia łatwo słowo za sam czyn przedstawia, a sława, ten orzeł wypchany w piekle, w tem mniemaniu utrwała. Tymczasem natchnienie rozlewa się w słowach i rozprasza, wyodrębnia się i oddala od poety-człowieka, a ludziom na marną rozkosz tylko idzie, nie na pożytek. „Błogosławiony ten w którym zamieszkało, jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany, niesłyszany, w każdej części jego okazały, wielki, Pan, przed którym się uniążają stworzenia i mówią: „On jest tutaj“ — Taki je będzie nosił gdyby gwiazdę na czole swoim, a nie oddzielił się od jego miłości przepaścią słowa. On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. A kto cię nie dochowa, kto zdradzi zawczasem i wyda na marną rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwrócisz się, a on zwiędłymi niech się bawi i grobowy wieniec spleta sobie przez całe życie“.

Takiemu ideałowi Krasiński oczywiście wiernym być nie mógł. Na to, aby na ołtarzu umiłowanej idei złożyć ofiarę nawet z własnego poetyckiego geniuszu — na to trzeba było chyba tytanicznej potęgi ducha Mickiewicza. Chwała Bogu, że jej Krasiński nie zrobił — dość tantej jednej olbrzymiej straty dla

nas. Ale myśl o spełnieniu tej ofiary nie opuściła Krasińskiego i potem. Ogłaszał swoje ze słowem rozstanie w Przedświcie, i raz jeszcze w „Psalmie nadziei“. Wówczas uprawniał już nawet słowo, ale tylko takie, które wołę Boga ludziom tłómaczy. Skoro zaś ją poeta już objawił, powinien ze słowem się rozstać i pierwszy pełnić ją zacząć. Objawiwszy pierwszy słowem — pierwszy też czynem objawić. Bo:

„...Słowo tylko — to marna połowa
 Arcydzieł życia; modlitwa jedyna,
 Co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyną,
 Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału;
 Co głosem śpiewa, to wciela pomału
 W kształt dotykalny —“

Tak czynił tylko Mickiewicz. Ale myśleli tak i czuli także Słowacki i Krasiński. Wszyscy trzej chcieliby dać narodowi swemu życie i wielkość materyalną także — a wszyscy trzej — nawet Mickiewicz, choć śpiewać przestał i czynić począł — mogli mu dać tylko poezję i idealną tylko wielkość. W tem tkwił ich tragizm. A tragizm ten to nawskroś odrębne i najpiękniejsze, po wieki święte znamię polskiego romantyzmu¹⁾.

III.

„Nieboska Komedia“ jest pod niejednym względem typowym zjawiskiem polskiej polistopadowej poezji. Typowe są problemy, typowe ich rozwiązania, typowe nadewszystko to psychiczne podłoże, z którego wyrosła. Wszak dla całego mesyanizmu polskiego genetycznym punktem wyjścia był pesymizm. Tak zresztą, po upadku powstania, naturalny on i logiczny, że aż konieczny, nieuchronny niemal. Że u Krasińskiego przybiera w dziejowym szlaku jego myśli barwę społeczną, jako dominującą, to rzeczywiście jego indywidualne znamię. Ale pozatem, czyż nie ten sam pesymizm wielkiego serca, patrzącego w otchłanie dziejów ludzkich i „piekło dni terażniejszych“, był tą miną, która wśród straszliwego huków wołających o pomstę instynktów

¹⁾ Por. o tem w książce Z. Wasilewskiego „O sztuce i człowieku wiecznym“ śliczny i głęboki rozdział IV p. t. „Między poezją a czynem“.

etycznych wybuchnęła w wielkiej improwizacji Konrada? Siła tego wybuchu to znów wulkanicznej, wrzącej natury Mickiewicza indywidualne znamię. A wreszcie ten „obraz wieku naszego“ wogóle, a w Polsce w szczególności, na którego tle szamoce się rozpaczliwie Kordyan, a Anhelli umiera z takim smutkiem w sercu, że mu nawet „światła anielskie w przyszłości natrętnymi są“—czyż to nie ta sama znowu Dantego *selva oscura*? Wszyscy oni jego wędrówkę odbyć musieli i to samo też co i on znaleźli wyjście. Zwyciężył w nich Galilejczyk. Rozwiązanie problemu dziejowego w „Nieboskiej Komedyi“ prostym aktem wiary—to zarazem geneza całego mesyanizmu. Jego późniejsze rozwinięcie i ostateczne sformułowanie w mniej lub więcej całkowity systemat, to już tylko dalsze następstwo. Samo postawienie tego problemu przez Krasińskiego, jako społecznego przedewszystkiem i ogólnoludzkiego, jest także różnicą raczej powierzchowną, niż istotną. Cechą ogólnoludzką bowiem miał on w istocie rzeczy i u tamtych poetów. Sprawa polska tylko na tle ogólnoludzkiej mogła być z ich założeń rozwiązana. Polska była warunkiem Królestwa Bożego, a równocześnie Królestwo Boże było warunkiem Polski. Sam ideał moralny Mickiewicza, jak i Krasińskiego po nim, był w swej nadludzkiej niedosiężnej wysokości ogólnoludzki. Wymagał wyrzeczenia się jednostki dla narodu, ale też poświęcenia się narodu dla ludzkości. Co się zaś tyczy cechy społecznej, toć oczywiście i ona tkwi już w samym pojęciu Królestwa Bożego na ziemi. Nie brak jej też „Księgom narodu i pielgrzymstwa polskiego“, jest i w zakończeniu Anhellego. Różnica tylko właśnie polega na tem, że u Krasińskiego jest ta cecha społeczna składową głównie pesymistycznego u tamtych przeciwnie—głównie optymistycznego już kierunku rozmyślań i uczuć. Drugą różnicę możnaby upatrywać w tem, że u Mickiewicza i Słowackiego punktem wyjścia jest bądź co bądź problem narodowy, który dopiero następnie siłą rzeczy zatacza kręgi ogólnoludzkie i zaczyna o kwestyę społeczną; u Krasińskiego tymczasem zdaje się być odwrotnie, a w „Nieboskiej Komedyi“ nic wyraźnego o narodzie nie czytamy. Ale tu należy przecież poczynić pewne zastrzeżenia. Naprzód — nie można mówić „u Krasińskiego“, bo jeszcze przed „Nieboską“ pomysłany był „Irydyon“; można więc odnosić to spostrzeżenie tylko do samej „Nieboskiej Komedyi“. Tu zaś nie można znów zapominać o tem, że na tak ogromne zainteresowanie się kwestyą społeczną wpłynął znów u Krasińskiego przedewszystkiem fakt, że go skwapliwie karmiono przesadnymi relacyami o zaciągnięciu tej kwestyi na

losach listopadowego powstania. Problem społeczny obchodził go więc głównie jako czynnik komplikujący w wysokim stopniu sprawę narodową—więc ostatecznie jako narodowy. Mickiewicz w swoim rozbiorze „Nieboskiej Komedyi“ odczuł to doskonale. Widział poprostu Krasiński w ówczesnym stanie sprawy polskiej dwa dążenia równoległe: pierwszy to proste dążenie do odzyskania niepodległości—drugi, to mniej proste dążenie do oparcia tej niepodległości na nowych zupełnie zasadach społecznych. I tu nawiasem trzeba przyznać, że jeżeli informacje Krasińskiego co do porporcyi tych kierunków w powstaniu nie były ściśle, to za to wodniesieniu do emigracyi np. tego rodzaju ujęcie rzeczy było zupełnie trafne. Otóż on obu temi dążeniami po kolei się zajął jako problemami i pierwszy usiłował rozwiązać w „Irydionie“, drugi w „Nieboskiej“. A rozwiązał oba jednakowo. Podobieństwo biegu myśli Krasińskiego w obu utworach jest uderzające. W obu jest on w samej istocie rzeczy pesymistyczny. W obu *ludzie* nie rozporządzają środkami, które mogłyby poprawić dolę—tu uciemżonej ludzkości - tam uciemżonego narodu. Hellada nie wywalczy sobie niepodległości ani ludzkimi, ani tem mniej szatańskimi środkami, bo szatan zdrajca. Więc rozpacz? Nie. Bóg! „Żadna siła ludzka ni pomoc—pisał Krasiński do Reeve’a—wspierzeć nas nie może w tej rozpaczliwej sprawie, ale ten sam Bóg, który rzekł: Stań się światło—i stało się światło—ten sam może znów rzec: Stań się Polska i Polska powstanie olbrzymia i swobodna“. Tak samo jak w „Nieboskiej Komedyi“ pesymizm rozumowania zwyciężony prostym aktem wiary. Zakończenie „Irydiona“ powstało znacznie później, niż „Nieboska“. Dowód to, że ten rodzaj przewycięzania pesymizmu, który w niej widzimy nie był przemijającym i stał się podstawą do późniejszego rozwiązywania wszelkich problemów poszczególnych. Bo i dla indywidualnego, jak widzieliśmy wyżej. Tylko że tu była właściwie największa trudność i zarazem ogromnie pogmatwany węzeł osobistego tragizmu. Po rozwiązaniu teoretycznem problemu tego i zdefiniowaniu ideału moralnego, rodził się w sumieniu nakaz praktycznego realizowania tego ideału. A tymczasem nakaz ten natrafiał na twarde opór ułomnej natury, natrafiał na to wszystko, co Krasiński znał w sobie pod nazwą hr. Henryka.

I w tem, że obok problemu narodowego na tle ogólnoludzkim występuje także problem a zarazem tragizm indywidualny, jest „Nieboska Komedia“ znowu doskonale typowem dziełem naszego wielkiego romantyzmu. Postawmy obok niej znów III część „Dziadów“ i Kordyana a ujrzymy tam to samo przecież zjawi-

sko. Zestawienie takie jest ogromnie zajmujące i dlatego, że te trzy walki wewnętrzne tak podobne w samej zasadzie swego tragizmu są przecież bardzo różne w swym przebiegu i ukazują nam najlepiej trzy odrębne oblicza duchowe swoich herosów. Przedewszystkiem tylko w jednych „Dziadach“ tragedia kończy się „oczyszczeniem“ bohatera i zupełnem jego dojściem do równowagi i harmonii wewnętrznej. Bo też tylko ten jeden bohater mógł i umiał nietylko teoretycznie ideał moralny określić, ale i życie swoje rzeczywiste do niego dostroić. Ten nigdy nie znał „myśli i czynów rozdziału“. Po namyśle przychodzi się do przekonania, że problemu indywidualnego w tem znaczeniu praktycznym jak w Kordyanie i „Nieboskiej“, niema poprostu u Mickiewicza. Jest wyłącznie tylko w znaczeniu teoretycznym. Gdy jako taki został rozwiązany, przestał istnieć wogóle. Kordyana problemy: „Pomyśleć tak i nie chcieć?“ „Pomyśleć tak i nie móżdż?“ to są rzeczy dla Mickiewicza zgoła niezrozumiałe i obce. On zresztą nawet na szczycie swego indywidualnego tragizmu w improwizacyi występuje nie jako indywiduum właściwie, ale jako naród. Narodowy tragizm jest jego tragizmem. Tymczasem u Słowackiego odwrotnie. Swój tragizm przedstawia on jako narodowy, swoją niemoc wewnętrzną przeniósł na całe swoje pokolenie. On jest „obrazem wieku naszego i bezskutecznych jego usiłowań“. Dla niego upadek Polski jest tylko *skutkiem* istnienia wielkiej liczby Kordyanów; dla Mickiewicza tymczasem upadek Polski jest *przyczyną* istnienia wielkiej liczby Konradów. A Krasieński? Ten jest oczywiście bez porównania bliższym Słowackiemu. U niego tak samo jak u Słowackiego zaczyna się problem i tragizm indywidualny tam właśnie, gdzie się u Mickiewicza kończy, t. zn. z chwilą gdy go teoretycznie rozwiązuje. Dla nich obu najtrudniej zrealizować go życiem. Obaj też w łonie własnej natury dostrzegają ten sam konflikt, który im się z drugiej strony przedstawia, jako problem dziejowy. Powtórzę tu własne słowa: w duszy Krasieńskiego toczy się walka zupełnie analogiczna do owej pod Okopami św. Trójcy. Odrębność leży tu znowu w tem, że ideał, do którego obaj w poczuciu niemocy wyciągają ręce swego ducha, przedstawia się Słowackiemu przedewszystkiem w postaci człowieka hartu i czynu, Krasieńskiemu przedewszystkiem w postaci człowieka serca. Słowacki właśnie na brak serca w swym bohaterze wcale się nie skarżył, Kordyanem nawet go nazwał. Podobnie Krasieński nie dostrzegł w Henryku braku woli. Czy się obaj potrosze nie mylili, to rzecz inna. Obaj natomiast zgodnie narzekają na przerost wyobraźni i na

rozkładowe działanie rozumu, które Słowacki także dyabłu-doktorowi przysądził. U niego zresztą działanie to daleko skuteczniejsze. Jego sceptycyzm bez porównania silniejszy. W Krasińskim on nie występuje jako objaw stały; występuje tylko od czasu do czasu, niekiedy może na długo, ale w rezultacie, jak zakończenie „Nieboskiej“ świadczy, ustępuje przed silnie ugruntowaną wiarą religijną. W Henryku niema całego Krasińskiego — raz jeszcze przypomnieć trzeba. Tymczasem w Kordyanie jest cały Słowacki; on niema wówczas w żadnej wierze niewzruszonej ostoji i dlatego w Kordyanie nie tylko indywidualna ale właściwie i narodowa tragedia pozostaje rozpaczliwie bez rozwiązania. Miało ono przyjść znacznie później. Zanim przyszło, był właśnie Krasiński przez jakiś czas dla Słowackiego „archaniołem wiary“ i „mówił mu do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania“. To te same, które jemu przy tworzeniu „Nieboskiej Komedy“ już, zrozpaczonemu, podsunęło jego pozarozumowe przekonanie o mocy Galilejczyka.

*

*

*

„Nieboska Komedia“ jest napewno w całej twórczości Krasińskiego najpełniejszym wyrazem jego ducha; powinna być zawsze podstawą do wnikania w tajniki jego życia wewnętrznego i właściwości jego natury, jako człowieka i poety. Równocześnie jest typowym pomnikiem polskiego romantyzmu.

A choć dzieło 21-letniego młodzieńca, pozostanie, mimo tego — a po części i dlatego — główną podstawą jego wielkości.

DR. JÓZEF UJEJSKI.

GALLUS I KADŁUBEK,

Hasło: „Polska filozofia narodowa“ rozbrzmiewa coraz szerzej i coraz więcej pracowników zyskuje, jednak przytem często zapomina się, że dla ustalenia jej cech zasadniczych i poznania dróg, po których kroczyła, kroczy i kroczyć winna, należy gruntownie i wszechstronnie poznać dzieje myśli polskiej, nie ograniczając ich do pewnego tylko okresu, lub pewnej grupy pisarzy. Powinniśmy badać całość, jeżeli pragniemy dojść do całości t. j. do pełnego ujęcia i zrozumienia tego, co nazywamy myślą i duszą narodu.

Opracowanie niniejsze Gallusa i Kadłubka, nie bez słabych stron, bo pierwsze w swoim rodzaju, może zachęcić do skrupulatnego badania naszego piśmiennictwa w celu wydobywania zeń tego wszystkiego, co się odnosi tak do czysto teoretycznych rozważań, jak i do praktycznych zagadnień życiowych.

Część pierwsza pracy została dokonana przez Struvego w „Historji logiki, jako teoryi poznania w Polsce“; jeżeli nie jest zupełną i szczegółową, to niezaprzeczenie utorowała drogę do dalszych badań, znakomicie ułatwiając orientację. Co do części drugiej, tenże sam Struve pisze, że dla zupełnego wydobywania cech charakterystycznych polskiego piśmiennictwa „należałoby dopełnić dzieje teoryi poznania opracowaniem dziejów filozofii praktycznej w Polsce. Ale do tego nie dokonano dotąd niezbędnych prac przygotowawczych“.

Tę właśnie lukę mając na względzie, ogłaszamy na początku opracowanie dwu pierwszych autorów polskich.

I.

Chociaż niepolskie pochodzenie Gallusa dzisiaj nie ulega żadnej wątpliwości, jednak w historii literatury naszej nie należy go traktować powierzchownie lub zgoła pomijać milczeniem, a to z trzech powodów:

1) jest to pierwszy kronikarz polski, autor dzieła, które czytane przez Polaków musiało wywierać pewien wpływ na ich umysłowość;

2) niektóre poglądy jego mogą być uważane za nabyte w polskim otoczeniu, a więc są cenne, jako przyczynki do charakterystyki ówczesnego społeczeństwa polskiego;

3) Gallus pomimo obcego pochodzenia uważał się za obywatela Polski i nową swą ojczyznę szczerze kochał. ¹⁾

Powód czwarty — to źródłowość Kroniki; ten jednak jako ściśle historyczny leży poza obrębem niniejszej pracy.

Ożywiony chęcią przekazania potomności dzielnych czynów książąt i królów polskich, a szczególnie Bolesława III, dla którego ma jak największą cześć i uwielbienie, postanawia opisać dzieje Polski: „Est autem intentio nostra de Polonia et de duce principaliter Boleslao describere, eiusque gratia quaedam gesta praedecessorum digna memoria recitare“. ²⁾ (A zamiarem naszym jest pisać o Polsce, a głównie o księciu Bolesławie, i z tego powodu przedstawić niektóre czyny jego poprzedników, godne pamięci). „Ku chwale książąt i ojczyzny *naszej*“ ³⁾ pracę swą ogłasza i dedykuje ją biskupom, robiąc następujące zastrzeżenie, wymownie świadczące o jego uczuciach dla ojczyzny: „A jeśli byście osądzili, że królowie lub książęta polscy niegodni są pisania roczników, to bez wątplenia zaliczylibyście Królestwo Polskie do krajów nieoświeconych i barbarzyńskich“, ⁴⁾ tymczasem, gdy on sam już przed panowaniem Chrobrego poczytuje je za świetne i sławne.

Dla Polski, która go przyjęła gościnnie, żywi szczerą wdzięczność, uważając pisanie historii za obowiązek naukowy

¹⁾ H. Kownacki: „Historia Bolesława III... z powodu gorliwości kronikarza o sławę narodową, a także dowodów miłości Polski, jaśniejących na każdej kartce jego pracy, zalicza go do polskiej narodowości.

²⁾ Monumenta Poloniae historica, tom I, str. 395. Lwów 1864.

³⁾ Monumenta, I, 428.

⁴⁾ Monumenta, I, 460.

i patryotyczny, dodaje, że nie kierowały nim żadne osobiste pobudki, lecz tylko uczucie wdzięczności za spożywany chleb polski (et ne frustra panem Polonicum manducarem) i chęć do pracy: „Nie dlatego dzieło to podjąłem, abym w niem rozpostarł strzępy małej swej wiedzy, albo wychodźca i pielgrzym pośród was wywyższał swoją ojczyznę lub rodziców, lecz dlatego, aby na zajmowanym stanowisku pozostawić jakikolwiek owoc swej pracy“. ¹⁾

Prof. Chrzanowski w swym wykładzie „O literaturze polskiej“ ²⁾ niesłusznie pominął tego nieznanego, czcigodnego Nestora dziejopisów naszych, rozpoczynając przegląd literatury od Długosza,—tem niesłuszniej, że ów znamienity rys piśmiennictwa naszego: *patryotyzm* jest wybitną cechą całej Kroniki Gallusa; a należy go cenić tem więcej, że to gorące przywiązanie do Polski okazuje nie jej syn rodzony, lecz obcy przybysz, który chociaż nazywa Polskę „naszą ojczyzną“, jednak ma jeszcze w pamięci swój dawny kraj ojczysty.

Z naciskiem należy podkreślić ten fakt, że Gallus przez ślepy zbieg okoliczności, a może wiedziony dziwną intuicją, poruszył w pierwszym dziele polskim te struny, które odzywają się później na całej przestrzeni naszych dziejów i naszego piśmiennictwa.

Patryotyzm jego zasługuje na większe uznanie i dlatego, że nigdy nie przyczynił się do świadomych kłamstw, chociaż odcisnął wyraźnie swe piętno na przedstawianiu i ocenie faktów.

Za główne zadanie swej pracy nasz kronikarz poczytywał przekazanie potomnym wszelkich znakomitych czynów, aby w ten sposób uczcić ich sprawców i dać dobry wzór do naśladowania. Ten ostatni wzgląd jest wskazywany z naciskiem przy każdej sposobności. Dziejopisarstwo, chociażby i nieudolne, rejestrujące tylko nagie fakty, posiada wielkie znaczenie, bo tylko dzięki jemu żyje w pamięci potomnych sława narodów i ich potęga: „I nigdyby sława orężna Rzymian lub Gallów nie rozbrzmiewała tak wspaniale po świecie, gdyby jej świadectwa dziejopisów nie zachowały w pamięci potomnych do naśladowania“. ³⁾ Wychowawcze znaczenie dziejopisarstwa jest tak wielkie, że autor Kroniki uważa za potrzebne stale opowiadać o tryumfach królów i wo-

¹⁾ Monumenta, I, 460.

²⁾ Kraków, 1910.

³⁾ Monumenta, I, str. 460.

dzów nie tylko uczniom w szkołach, lecz i dostojnikom w pałacach; będzie ono zagrzewało do męstwa na polu walki, a w czasie pokoju do czynów szlachetnych, jakimi się wstawili poprzednicy. Z tego względu domaga się jaknajwiększego rozpowszechnienia swej pracy, podjętej w czystych i szlachetnych zamiarach. Nie jest ona może doskonałą, pióro autora — ani wprawne, ani udolne, język — podobny do szepleniącej mowy dziecka; prosi więc o wybaczenie tych braków i o skierowanie uwagi na wewnętrzną treść książki i na intencję, która go skłoniła do pisania. „A jeżeli przypadkiem zarzucicie temu dziełu nagość słów, to użycie je jako materiału do napisania rzeczy głębszej i lepiej uzasadnionej“; ¹⁾ lecz pomimo to Gallus przypuszcza, że mędrcy uznają może jego pracę za dobrą, a wtedy odmawiać jej rozpowszechnienia i tem samem pozbawiać autora pożądanej nagrody, nie byłoby rzeczą słuszną, ani przyzwoitą.

Kronika Gallusa, jako kronika, ma swoje typowe braki, ale też posiada i zalety, które nie zawsze znajdziemy w dziełach jej podobnych.

Już w samym założeniu była skazana na usterki, ponieważ głównym bodźcem do jej napisania była chęć utrwalenia czynów Krzywoustego, który też zajmuje z oczywistą krzywdą dla innych aż połowę książki. O czasach bajecznych autor ledwie wspomina i to z pewną niechęcią, jako pogańskich; inne wypadki, nie dotyczące wojen, które dzisiaj miałyby dla nas wielką wartość, zbywa zupełnem milczeniem, albo zatrzymuje się nad nimi zbyt krótko, nie chcąc — jak powiada — nużyć czytelników.

Nie wszystkie jednak przemileczenia są tak naiwne, jak się wydają na pierwszy rzut oka. Niezmiernie charakterystycznym rysem w tym względzie jest sposób, w jaki zostało przedstawione zabójstwo biskupa Szczepanowskiego.

Cesarz niemiecki wraz z Wratysławem Czeskim usiłovali strącić z węgierskiego tronu Władysława, z którym jednak w ściślejszej przyjaźni żył Bolesław i w niebezpieczeństwie mógł mu okazać skuteczną pomoc. Nie mogąc rozpocząć wojny z Polską, skusili blaskiem korony Hermana, a zebrawszy przy nim pewną ilość skaptowanych wielmożów, obalili Bolesława. Do tych, którzy dali się użyć za narzędzie niemiecko-czeskiej polityki, należał i św. Stanisław. Gallus doskonale był poinformowany o tych zakulisowych knowaniach... jako uczciwy historyk nie chciał zatu-

¹⁾ Monumenta, I, 460.

szować prawdy, bo ją w historii uważał za niezbędną, nie mógł jej jednak w danym wypadku całkiem otwarcie wypowiedzieć, bo pisał Kronikę pod panowaniem Bolesława III, syna Hermanowego. Piętnuje więc biskupa mianem zdrajcy,¹⁾ a Hermanowi wymierza ukryty cios w zręcznie zamaskowanym zdaniu, na które dopiero w ostatnich latach zwrócono uwagę.²⁾ Tak więc pozornie naiwne zdanie, jak następujące: „A w jaki sposób król Bolesław został wygnany z Polski, uważamy za rzecz zbyt długą do opowiadania, jednak to należy powiedzieć, że nie powinien był pomazaniec karać pomazańca za jakikolwiek grzech obcięciem członków“—³⁾ świadczy dobrze o rozwadze i prawości Gallusa.

Opisując czyny chwalebne i godne pamięci, opowiada też o innych, które—może rozgniewają zawistnych—ale należy je uwzględnić, aby nie ściągnąć na się zarzutu, że goni tylko za przyjemnemi rzeczami (*laetam materiam*): obok więc pełnego chwały panowania Bolesławów, pisze o buntach naturalnego syna Władysławowego Zbigniewa. Aby nie dać powodu do posądzeń, iż z upodobaniem gnuśnieje w jednym i tem samym kole wypadków, od opisu wojen pomorskich przechodzi do walki z Czechami. Pragnąc nadać swej pracy formę organicznej, systematycznej całości, kreśli dość szczegółowo panowanie pierwszych książąt polskich, chociaż chciałby jak najprędzej przejść do czasów Krzywoustego, bo rozumie, że na tem zyska i jego praca i postać Krzywoustego: „Teraz więc tak rozpoczniemy snuć opowieść ażebyśmy od korzenia doszli do konaru drzewa“.⁴⁾ Wie on dobrze, że niepodobna jest opisywać wszystkiego, wybiera więc fakty najwięcej charakterystyczne i najdoskonalsze, jako przykłady do naśladowania. Kiedy chodzi o stronę moralizatorską, o sposobność do wskazania godnych wzorów, Gallus nie waha się przytaczać rzeczy nawet drobnych. Historia ma być według niego *magistra vitae* i celu tego nie spuszcza on nigdy z oka, chociażby wzgląd ten wstrzymywał go od opowieści innych zdarzeń albo nawet narażał wśród zawistnych dworaków.

W Kronice znajdujemy nawet próbę uzasadnienia faktów, przyczynowego powiązania ich z charakterem sprawców i ślady krytycznej refleksyi. W epilogu walki synów Władysławowych

1) Monumenta, I, 422: „neque enim *traditorem* episcopum excusamus“.

2) Prof. Wojciechowski w „Szkicach historycznych XI wieku.“

3) Monumenta, I, 422.

4) Monumenta, I, 395. Wstęp do I księgi.

autor, przytoczywszy opowieści panów krakowskich, że Zbigniew zamierza skrytobójczo uśmiercić Bolesława, dodaje od siebie: „Lecz my sądzimy, iż zostało to zmyślane raczej przez złych doradców, a nigdy taki występki nie był zamierzony przez samego Zbigniewa, człowieka tchórzliwej i prostej natury“. ¹⁾ Przypuszczenie to jest trudne do przyjęcia, skoro ten sam Gallus tak szczegółowo opisywał zdrady i wicherzenia Zbigniewa, świadczy ono jednak korzystnie o bezstronności kronikarza, że uwagę taką przytoczył na obronę człowieka, który był zaciętym wrogiem unięowanego przezeń króla Krzywoustego. Bezstronność swoją objawia niejednokrotnie. Oślepienie Zbigniewa z rozkazu Bolesława tłumaczy licznymi występkami brata królewskiego i naturalnym instynktem samozachowawczym króla, który broni się przed zamachami na tron i swoje życie. Potem jednak, czując pewne skrupuły, zaputuje: *Quod ergo? Accusamus Zbigneum et excusamus Boleslavum*“? ²⁾ i nie waha się nazwać postępków swego ulubieńca *grzechem* oraz elastycznym wyrazem *facinus*. Łagodzących okoliczności dopatruje się tylko w tem, że grzech został popełniony nie z dojrzałym i rozważnym namysłem, ale przez sztucznie wywołany wybuch gniewu. Każdy występki wymaga pokuty, pokutę zaś należy wymierzać celowo z uwzględnieniem osoby pokutnika i jego wieku. Bolesław z wielką pokorą odbył akt pokuty, w zupełności więc zmasał przez to swoją winę.

Gallus jest osobą duchowną i szczerze religijną. Głęboko ubolewa nad tem, iż po śmierci Mieszka II Polacy wyrzekli się wiary chrześcijańskiej i powstawali przeciw kapłanom i biskupom „czego bez łez wypowiedzieć nie możemy“. ³⁾ Uznaje powagę stolicy apostolskiej, ale nie tak dalece, aby wierzył całkowicie w jej nieomyślność. Po wiadomości o zezwoleniu papieżem na małżeństwo Krzywoustego z blizką krewną Zbislawą objaśnia, że było to aktem miłosierdzia, uczynionym wyjątkowo, raz jeden, wbrew obowiązującemu prawu kanonicznemu i dodaje: „My zaś nie mamy potrzeby rozprawiać o tem, jako o wykroczeniu lub sprawiedliwości, tylko opowiadamy po porządku czyny królów i książąt polskich“. (*Nos autem de peccato tractare vel iustitia materiam non habemus, sed res gestas regum ducimque*

¹⁾ Monumenta, I, 479.

²⁾ Monumenta, I, 480.

³⁾ Monumenta, I, 415.

Poloniae sermone tenui recitamus).⁴⁾ Znając sposób wyrażania Gallusa, nie wątpimy, że nie aprobował pozwolenia papieskiego, jako sprzecznego z prawem. Nie jest on jednak w sprawach religijnych ani formalistą, ani fanatykiem.

Wprawdzie Chmielowski pisze, iż religijność naszego kronikarza szła „raczej w kierunku pobożności obrzędowej, niż głębokiego przejścia się sprawą udoskonalenia wewnętrznego; nieraz bowiem robi uwagę, że taka a taka klęska nastąpiła wskutek tego, iż stoczono walkę podczas postu, wielkiego tygodnia, wigilii i t. p. Gani łączenie konsekracyi z uctami, obrzędami ślubnymi i utrzymuje, że w takich razach zawsze jakieś nieszczęście zdarzyć się musi“,⁵⁾—sposprzeżenia powyższe nie uprawniają nas jednak do robienia takiego zarzutu kronikarzowi, gdyż było to w wiekach średnich wśród duchowieństwa powszechnym poglądem, że w dzień uświęcony jakąkolwiek rocznicą albo dopełnieniem sakramentu, należało wstrzymywać się od wszystkiego, co mogłoby naruszyć jego świętość. Wymaganie to szło tak dalece, że w dzień ślubu i święta zabraniano małżonkom stosunku między sobą. Nic więc niema w tem dziwnego, że Gallus w ten sposób tłumaczył klęski, skoro był przekonany, że nic na świecie nie dzieje się bez woli bożej.

W pojnowaniu moralności nie jest on ani płytkim, ani powierzchownym, przed męstwem i majestatem królewskim chylił wtedy czoło, kiedy widział w nich nie tylko blask zewnętrzny, ale cnoty prawdziwe i poczesne obyczaje. Wprawdzie o poganach pisze: „puśćmy w niepamięć czyny tych..., których splugawił błąd i bałwochwalstwo“, ale słów tych nie należy przeceniać, ponieważ Gallus nie jest fanatykiem i w innem miejscu czerpie bez wahania z historyi starożytnej przykłady godne naśladowania... był to raczej próżny frazes, umożliwiający mu szybsze przejście od czasów legendarnych do epoki Bolesława III.

Jego poglądy na obowiązki królów nie uwzględniają ani wyjącznie, ani głównie interesów Kościoła i religii; przy ocenie faktów najmniej przyjmuje powyższe kryteria, a ta okoliczność jest ważną o tyle, że znamionuje prawdziwe przekonania Gallusa. Wiadomo, że wcześni, średniowieczni pisarze ukrywali nietylko swoje autorstwo, swe osoby, ale też często i przekonania, dostrajając je bądź do panujących w społeczeństwie, bądź do nauki

⁴⁾ Monumenta, I, 444.

⁵⁾ Historia literatury polskiej, tom I, str. 43.

Kościola. Jeżeli przy teoretycznych rozważaniach mogli powtarzać rzeczy cudze, to przy sądzie o zdarzeniach rzeczywistych łatwiej o tamtych zapominali i przez to okazywali swoją właściwą fizyognomię.

Naprzód więc wynosi wojenny geniusz i wspaniałość Chrobrego, a potem dopiero dodaje, że nie mniejsza też była u niego cnota posłuszeństwa duchowego (virtus obedientiae spiritualis). W świętych swych czynach dążył do utrzymania na najwyższych szczytach *sprawiedliwości, czci Kościoła i pomyślności kraju* (qui populum tanta iustitia gubernabat, qui honorem ecclesiae ac statum terrae in summo culmine retinebat).¹⁾ Współdziałał także krzewieniu słowa bożego w kraju i wśród pogan, budował kościoły, czynił zapisy i wiary świętej bronił. W konkluzji ostatecznej, w syntezie jego charakteru Gallus kładzie pobożność na trzecim miejscu: „Jeżeli wieloma cnotami i zaletami słynął Bolesław szeroko po świecie, to trzema przedewszystkiem wzniosł się do szczytu takiej wielkości: sprawiedliwością, słuszością i pobożnością (iustitia, aequitate, pietate),²⁾ a w pozostałych ustępach nie zawsze ją nawet wymienia.

Tak samo charakterystycznym jest sposób przedstawienia śmierci biskupa Szczepanowskiego. Kronikarz wiedział dobrze, iż może narazić się wielu moźnym i całemu duchowieństwu oraz ściągnać na siebie gromy za surowy wyrok na świętego i za sprzyjanie wyklętemu świętokradcy, pomimo to jednak maluje sympatyczuemi barwami postać Śmiałego, wynosi jego męstwo, szczodroblivość, sprawiedliwość i miłość kraju, chociaż nie ukrywa jego wyniosłości i potępia wymierzoną biskupowi karę, jako zbyt surową.

Dbalność o pomyślność Polski i chwałę imienia polskiego jest u Gallusa tak wielka, że nią powodowany nie tylko śmiało piętnował knowania możnowładców, ale nawet niekiedy zapominał o najprostszem uczuciu litości.

Kiedy ksiązę kijowski odmówił Chrobremu swej córki za żonę, obrażony tem król udał się na Ruś, a, zdobywszy Kijów, rzekł do swego otoczenia: „...siostra najgnuśniejszego księcia, odmówiona mi w małżeństwo, utraci następnej nocy swe dziewictwo, utraci je jednak nie w małżeńskim łożu, ale *wyjatkowo*, jako na-

¹⁾ Monumenta, I, 405.

²⁾ Monumenta, I, 407.

łożnica Bolesława, ażeby przez to została pomszczona krzywda tronu naszego, a na Rusinów rzucona hańba i niesława“. ¹⁾

Gallus zamiast zgromić Bolesława za niegodną chrześcijanina zemstę, usprawiedliwia go przez wtrącenie wyrazu: *wyjatkowo* (singulari vice) i w końcu spokojnie dopisuje: „Sic dixit, dictaque factis complevit“. Moglibyśmy tu postawić kronikarzowi zarzut niesprawiedliwości, skoro niema ani słowa zarzutu przeciw wymierzaniu kary na siostrze za winy brata, ale nie zapominajmy, że w wiekach średnich wszelkie ugrupowania społeczne, jak rodziny, cechy, stany i t. d. przedstawiały się na zewnątrz jako związki członków z nieograniczoną, solidarną odpowiedzialnością, a więc ukaranie jednego osobnika było uważane za ukaranie całej grupy, do której należał.

W opisie zdobycia grodu Wielenia mamy drugi charakterystyczny przykład: „...Polacy nacierają tak zawzięcie dla sprawiedliwości i zwycięstwa, Pomorzanie stawiają opór, broniąc wrodzonego wiarołomstwa i dla ocalenia. Polacy sławy pożądamy, Pomorzanie wolności bronią... a po otrzymaniu rękawicy Bolesława, jako rękojmi, poddali mu się wraz z grodem. Ale Polacy, pamiętni tylu trudów, tylu trupów, tylu zim surowych, zdrad i podstępów, wycinają w pień wszystkich, nikomu nie wybaczą i nie słuchają nawet samego Bolesława, który ich od tego powstrzymywał“. ²⁾ I znowu spokojna konkluzja: „Tak powoli giną z ręki Bolesława zdradzieccy i zuchwali Pomorzanie. Tak wedle prawa powinni ginąć zdrajcy“ (sicut iure perfidi destrui debent). Na usprawiedliwienie Gallusa musimy jednak dodać, że łamanie słowa monarszego w owe czasy nie było widocznie rzadkością, skoro sam on bez wielkiego oburzenia zanotował zdradziecki czyn Henryka przy obleżeniu Głogowa.

Należy jednak pamiętać, że oba te wyjątki odnoszą się do stosunków zewnętrznych, międzynarodowych. W tej dziedzinie nasz kronikarz miał więcej pobłażliwości na wady Polaków, jeżeli tylko nie szkodziły one ojczyźnie. Głosił, że w Polsce królowie winni są duchowe posłuszeństwo względem biskupów, strzedz się pychy, dla poddanych być hojnymi, sprawiedliwymi i miłosiernymi panami, ale z głębokiem zadowoleniem przytaczał wypadki, jak to w stosunkach zewnętrznych dumnie postępowali nasi monarchowie, wysoko dzierząc godność własną i kraju, oraz lekce-

¹⁾ Monumenta, I, 403,

²⁾ Monumenta, I, 458.

ważąc, a nawet poniżając przeciwników, o ile ci zagrażali Polsce i targali się na jej wolność starożytną. Nie znaczy to bynajmniej, że w podobnych wypadkach bywa stronnym albo świadomym fałszerzem prawdy dziejowej. Pięknym dowodem jego prawdomówstwa, wyższego nawet ponad uczucie patryotyzmu, jest opis rozjemstwa głogowskiego, w którym wyznaje, że Głogowianie dali zakładników, chcąc uzyskać trochę czasu dla naprawienia miejskich murów. Dlatego więc nie oburza się na okrucieństwo cesarza, ani ciska nań gromu z fałszywym patosem, bo wie, że i Głogowianie nie byli tam bez grzechu.

W wydaniu Monumenta Poloniae odnośny ustęp brzmi: „*Hoc etiam Glogovienses illos obsides posuerunt, quia loca civitatis interim vetustate consumpta munierunt*“; ¹⁾ w polskim przekładzie Komarnickiego, ²⁾ opartym na dwu redakcyach „Kroniki“, zdanie to jest znacznie rozszerzone: „Wprawdzie na jego (cesarza) obronę rzec się powinno, że i przez drugą stronę układ był ofiarowany nie bez oględności właściwej. Albowiem mury grodu podstarzałe, jakkolwiek w ciągu owej zwłoki dozwolonej, pokrzepione być mogły, czego też rzeczywiście Głogowianie dokonać pośpieszyli“.

Gallus z lubością roztaczał wspaniałe obrazy potęgi i chwały Polski, zachwycał się blaskiem panowania i dworu Bolesławów, ale nie uważał ani tego, ani wojen szczęśliwych, ani nieustraszonego męstwa za istotne dobra. Wartości względnej temu wszystkiemu nie odmawiał, ale kładł nacisk, że prawdziwą wartość wtedy posiadają i tylko wtedy chwalebnie mają być wspominane, kiedy je zdobi cnota i obyczaje poczesne. ³⁾ Chwaląc świetność dworu Bolesławowego, jednocześnie z sympatyą wspomina o prostocie Popiela i jego skromnem życiu.

Dóbr doczesnych jednak nie odrzuca i dla ludzi świeckich uznaje ich konieczność: „Jak bowiem pasterze Kościoła powinni szukać pożytku duchowego, tak obrońcy ojczyzny starają się usilnie powiększyć honor, powagę i chwałę doczesną. Nie należy więc dziwić się, jeżeli rycerze walczą o rzeczy doczesne, dla chwały imienia swego; nic dziwnego niema w tem, że ludzie bronią swej ojczyzny lub dziedzictwa ojcowego, mszczą się za doznane krzy

¹⁾ I, 467—468.

²⁾ Warszawa, 1873. Przekład b. niedokładny.

³⁾ Monumenta, I, 410.

wdy, a nawet wolą ponieść śmierć w boju, niżli pędzić żywot w haniebną uległość dla wrogów.¹⁾

W Kronice nie znajdujemy nigdzie wyjaśnienia co przez dobra doczesne lub prawdziwe należy rozumieć, nie znajdujemy też określenia różnicy między niemi; widocznie autor w tej sprawie nie posiadał żadnych oryginalnych poglądów i zadowalał się tem, czego nauczał w owe czasy Kościół. Brak ten nie jest jednak dotkliwy praktycznie, bo Gallus posiada dużą ilość zdrowego rozsądku, który mu nie pozwala na całkowite zasklepienie się w jednym horyzoncie, lecz umożliwia unikanie jednostronnych krańcówkości przez poznawanie i uznawanie także innych kątów widzenia; zresztą nie ignoruje on nigdy prawdziwego, realnego życia ze wszystkimi jego wymaganiami, a to daje mu wiele cennych i praktycznych wskazówek. Uznając pewne czyny za cnotliwe i zbożne, nasz kronikarz nie wymagał ich spełnienia, ani potępiał zaniechania, jeżeli w danych warunkach to ostatnie mogło być korzystniejsze. Zbyt mało mamy danych, aby dopatrywać się tego motywu (obok patryotycznego) w opisie, jak Chrobry, mszcząc się na Jarosławie kijowskim, pojął jego siostrę za nałożnicę, albo w opisie zdobycia grodu Wielenia, ale bezwątpienia działał on w innych wypadkach.

Z zamiłowaniem opowiadając o czynach wojennych, Gallus wysoko cenił męstwo, uważał je za konieczną ozdobę książąt i rycerzy, a pomimo to chwalił rozważne unikanie walki, kiedy nie było żadnych szans zwycięstwa. Unosił się np. nad Krzywoustym, który w razie napadu nieprzyjaciół, jako młode chłopię, pomimo ojcowskiego zakazu, zbierał naprędce drużynę i pośpieszał za uchodzącym wrogiem, ale temuż samemu Krzywoustemu przypisywał chwalebna, chłodną rozwagę, wkładając mu w usta następujące przemówienie: „Najmężniejsi rycerze! Znużeni wraz ze mną mnogimi wojnami i pochodami jesteście jednak gotowi wraz ze mną umrzeć lub zwyciężyć za wolność Polski. Chociaż z garstką małą, przeciwbym chętnie rozpoczął bitwę z cesarzem, gdybym wiedział napewno, że w razie mej śmierci nie wystawię ojczyzny na niebezpieczeństwo. Lecz że na jednego z nas przypada więcej niż stu wrogów, godziwiej jest tu pozostać, niż tam ze szczupłą garstką poledz śmiercią walecznych; dość będzie nam chwały, jeżeli, tu pozostając, wzbronimy im przejścia.“²⁾

¹⁾ Monumenta, I, 461.

²⁾ Monumenta, I, 467.

Gallus uważał historię niemal za równoznaczną z opisem czynów książęcych, nawiasem jedynie wzmiankując o konieczności uwzględniania w dziejach także i dygnitarzy kościelnych, jako tych, którzy rozdają między ludem posiłek duchowy i nawet samym władcom przodują,¹⁾—zapowiedzi tej jednak nie wykonał. W Kronice nie zajmował się również ani możnowładcami, ani szlachtą, ani kmięciami, ale los tych ostatnich zbyt żywo go obchodził, aby mógł ich pominąć zupełnem milczeniem.

Widocznie był świadkiem licznych krzywd i niesprawiedliwości wyrządzanych chłopkom, skoro tak drobiazgowo i z takim przejęciem opisuje sprawiedliwość Chrobrego, jego ojcowską miłość dla swych poddanych bez różnicy stanu. Król ten miał się odznaczać tak wielką przystępnością i sprawiedliwością, że wszyscy pokrzywdzeni z zaufaniem garnęli się do niego. Jeżeli kiedykolwiek uboga niewiasta lub wieśniak przychodził ze skargą na jego urzędników, to nie ruszył się z miejsca, zanim nie zbadał sprawy, chociażby nań czekały liczne zastępy panów i rycerzy... „Z taką to pilnością rozważał sprawę biedaka i możnego pana. O wielki unyśle, o wielka doskonałości Bolesława, który w sądzie nie kierował się względami na osoby, który narodem rządził z taką sprawiedliwością, który honor Kościoła i pomyślność kraju na najwyższym szczycie utrzymywał.“²⁾

W rozdziale XII księgi I z miłością opowiada, „jak podróżował Bolesław po swych krajach, nie obciążając biedaków“, nie obarczając swych kmięci żadnemi powinnościami... „Jako ojciec kochający, dozwalał im żyć spokojnie... i na widok jego nie uchodził z drogi żaden pielgrzym, ani oracz ukrywał swe woły i owce, lecz przy spotkaniu uśmiechał się doń radośnie biedak i bogacz, i cała ojczyzna śpieszyła go oglądać.“³⁾

W rozdz. 15 wkłada temuż Bolesławowi do ust przemówienie, w którym oznajmia, że szkodę uczynioną chłopkowi przez wroga stawia narówni z utratą grodu lub zamku, a potem głosem ludu wynosi go pod niebiosa: „Hic est vere pater patriae, hic defensor, hic est dominus, non alienae pecuniae dissipator, sed honestus rei publicae dispensator“⁴⁾ (Oto jest zaiste ojciec ojczyzny, oto obrońca, oto pan, nie marnotrawca cudzego mienia, lecz uczciwy zarządca kraju).

1) Monumenta, I, 392. Przedmowa do biskupów.

2) Monumenta, I, 405.

3) Monumenta, I, 408.

4) Monumenta, I, 410.

I słów pochwały dlań za te cnoty przedewszystkiem nie znajduje, serdecznie boleje nad jego śmiercią i wszystkim następcom wystawia jako piękny wzór do naśladowania.

Przy porównaniu postaci Chrobrego z Krzywoustym, którego chwalebne czyny miały być okazją do wydobycia czynów jego poprzedników, widzimy, że kronikarz nie pozostał całkowicie wierny swemu założeniu i na pochwałę jego powiedzmy, pozostać nie mógł: mając przed sobą dwóch monarchów równych sobie cnotą rycerską, ale nierównych charakterem, z których pierwszy jaśniał miłością ojcowską dla wszystkich poddanych bez różnicy stanu, upodobał sobie więcej pierwszego i postać jego, aczkolwiek na niewielu stronicach, skreślił plastyczniej i z większą miłością, aniżeli Krzywoustego, chociaż to dla niego pisał Kronikę i połowę jej poświęcił jego osobie.

II.

Gallus żył w pierwszej ćwierci XII w., Kadłubek—w ostatniej, dzieli ich więc tylko pięćdziesiąt lat czasu, a pomimo to różnica poglądów znaczna. „Zamykając księgę Galla, ledwie otworzysz Wincentego, z pierwszych kart, z pierwszych niemal słów jego widzisz, żeś w całkiem innej epoce.“¹⁾ Zagadka się wyjaśnia, skoro spostrzeżemy, że między naszymi kronikarzami stoi słup graniczny w dziejach Polski: testament Krzywoustego.

Gallus jest stronnikiem i wyobrazicielem pierwszego okresu dziejów, Polski książęcej: książęta są panami kraju, władza ich pochodzi od Boga i powinna być przez poddanych czczona, czyny ich—to właściwy przedmiot historii. Mistrz Wincenty jest wiernym przedstawicielem następnego okresu; wprawdzie przez usta Kraka powiada, że państwo bez króla jest tem, czem człowiek bez głowy, ciało bez ducha lub świat bez słońca, jednak punkt ciężkości w dobie po-krzywoustowskiej przenosi stanowczo na możnowładców, rolę ich uważa za pierwszorzędną i nie waha się ukrywać prawdy, aby ich wystawić w pochlebniejszym świetle.

Nawet Bielowski, jeden z najgorliwszych obrońców Kadłubka, musi przyznać: „wymowny, gdy idzie o nadużycia książąt, wymowny, gdy idzie o którego z możnych pochwałę, jest on nad-

¹⁾ Bielowski, Monumenta, tom II, str. 241.

zwyczaj ubogi w słowa i nieledwie milczący, gdy idzie o stronę odwrotną...¹⁾

Z tych paru uwag możemy odrazu wywnioskować, że Kadłubek, jako historyk, nie tylko się różnił od swego poprzednika, ale stał od niego znacznie niżej.

We wstępie pisze, iż nakazano mu opiewać złote filary ojczyzny, ze starożytnej kości słoniowej wyrzeźbić prawdziwe postacie ojców, w królewskim pałacu zawiesić świeczniki boskiego światła, a wśród tego uznoić czoło w wojennych zapasach. O książkach nie wspomina ani słowem, natomiast na widoku „sacer senatus.“²⁾

W przykładach przodków odbija się, jak gdyby w zwierciadle, cała ich dzielność i zacność, należy więc je pozostawić potomnym do naśladowania. Przedsięwzięcie to trudne, ale może być podjęte i przez słabe, niewyszkolone siły, boć tu nie chodzi o nic innego, jak o oczyszczenie żelaza z rdzy i z żużli złota, a tem ukończeni mistrzowie nie będą się zajmowali. Uwaga ta jest jednak tylko kwiatkiem krasomówczym i udaną skromnością, którą Wincenty porzuca o parę wierszy niżej, żądając, aby o pracy jego sądzili wyłącznie ci, którzy celują w świetności umysłu lub znakomitem wychowaniu (ingenii elegantia vel urbanitatis claritudo).³⁾

Autor jest świadom tego, że w swojej pracy porusza wiele spraw, niemających związku z dziejami Polski, tłumaczy się więc tem, że wyliczał z historii powszechnej zdarzenia podobne do polskich, aby w łatwy sposób nauczyć czytelników, dać im materiały do ćwiczenia umysłu i wzmocnić w pamięci wydarzenia ojczyście. Metoda taka nie może być naganną, byle tylko nie wprowadzała zbyt wiele obcego pierwiastku. Nie jest także nagannem przytaczanie przezeń rzeczy małej wagi, bo często odkrywają nam fakty niespodziewane i bardzo cenne.

Znajdujemy także, aczkolwiek dopiero w drugiej księdze, oświadczenie, że Kronika będzie wolna od fałszu⁴⁾: „Procul vero, procul absistat a vero falsi assertio, ne modicum fermenti totam massam corrumpat: quippe

Verus homo falsus fieri per falsa meretur;
Sic homo fit pictus, non homo sic fit homo.“

¹⁾ Monumenta, II, 242.

²⁾ Monumenta, II, 249—250.

³⁾ Monumenta, II, 270, 272.

⁴⁾ Monumenta, II, 271.

Zapowiedź piękna i wniosek słuszny, tylko że jedno i drugie zostało pущczone w niepamięć i to tak dalece, że niektórzy uczeni nie chcą uważać pracy za rzecz historyczną, a autora za historyka. ¹⁾

Nie poczytywalibyśmy Kronice za wielką wadę niepomiernej obfitości balastu, gdyby właściwy materyał, chociaż w skromnej ilości: dzieje Polski, został należycie opracowany. Tymczasem mistrz Wincenty, jako obrońca wyższości Kościoła nad władzą świecką, stronnik możnowładztwa i patriota, zazdrośnie strzegący honoru ojczyzny, nie unie utrzymać się na stanowisku bezstronności, prawdziwego przedstawienia i sprawiedliwego sądu, czem się tak chlubnie odznaczył jego poprzednik Gallus.

Kadłubek kocha ojczyznę, pragnie dla niej jaknajwiększej pomyślności i sławi jej starożytną świetność, kiedy to Polacy nie krępowali cnót prawdziwych, ale dzielnymi czynami rozjaśnili je, jako światła niebieskie i przez to innym narodom przodowali.

Zabierając się do opisu zbrodni Popiela, rozważa²⁾:

Eloquar, an sileam, pudor est aperire pudorem

Postulat in facie menda colore tegi.

(Opowiadać czy zamilczeć? Hańba jest wyjawiać hańbę; błąd należy pokryć z wierzchu farbą)³⁾.

¹⁾ Prof. Wojciechowski w rozprawie „O rocznikach polskich X—XV w.“ (4 tom Pam. Akad. Um.) na str. 169 pisze: „Kronikę kadłubkową należy traktować przede wszystkim nie jako dzieło historyczne, ale jako książkę napisaną przez nauczyciela dla uczniów. Kadłubek... nie miał wcale zamiaru być historykiem... napisał więc książkę, w której przedmiot historyczny podległ zupełnej subordynacji pod wymogi szkoły, a głównie: etyki, gramatyki i retoryki. Nie zależało mu na historii; boć nie można wątpić, że wiedział o naszej przeszłości nierównie więcej niż to, co napisał. Zamiarem jego było: wydać książkę dla „ćwiczenia“ uczniów... Niema wątpliwości, że Kronika Kadłubka, sądzona jako dzieło historyczne, byłaby chyba dowodem zboczenia umysłowego. Ale jeżeli ją w tej myśli, w jakiej ją autor napisał, t. j. jako książkę szkolną—czem, jak wiadomo, była rzeczywiście przez kilka wieków—tedy musiny przyznać Kadłubkowi niemalą zasługę: głównie dlatego, że historię ojczystą obrał za przedmiot książki szkolnej i za nią przewodnił...“ Nadmieniamy, że dla nas sprawa kategorii, do jakiej pracę Kadłubka należy zaliczyć, nie jest sprawą wielkiej wagi.

²⁾ Monumenta, II, 266.

³⁾ Józefczyk i Studziński w polskim przekładzie rękopismu Eugeniuszowskiego ustęp ten tłómaczą: „Hańba jest wyjawiać hańbę, a gniazda własnego kłać się nie godzi.“

Przy objaśnianiu staropolskiego obrzędu postrzyżyn radzi nie wdawać się w jego rozważanie i krytykę, „albowiem jest nieuczciwie nie czić tego, co ustanowił rozum i co pobożna cześć ku przodkom z miłością przechowuje.“²⁾

Pomimo tych dowodów, patriotyzm mistrza Wincentego robi na nas znacznie mniejsze wrażenie, niż Gallusa, który swe uczucia malował bez szumnych i napuszonych frazesów, lecz prosto, rzewnie i przekonująco. Pozatem Wincenty fałszywie rozumiał patriotyzm, przypuszczając, że nakazuje mu przemilczać o faktach dla Polski niepomysłnych, ozdabiać je rozlicznymi upiększeniami, a nawet naopak przekreślać. Za dowód może posłużyć najście Fryderyka Rudobrodego na Polskę, które—jak wiadomo—skończyło się tem, że Bolesław Kędzierzawy przeproszał go, stojąc na ziemi boso i z odkrytą głową. Zdarzenie to było upokarzające, więc Kadłubek zmienia je do niepoznania, zmyśla partyzancką kampanię, w której słabszy liczebnie Bolesław „bez wojny walczy, bez bitwy zwycięża“ i ostatecznie nie daje się pokonać cesarzowi (qui ab imperatore vinci non potuit).¹⁾

W sprawach religijno-kościelnych Gallus reprezentował pogląd umiarkowany: pobożność cenił narówni z rycerskimi cnotami, obok dóbr duchowych uznaje i świeckie, jako naturalny cel dążeń ludzi świeckich, oddawanie boskiego Bogu idzie u niego równoległe z oddawaniem cesarskiego cesarzowi. Kadłubek w tych sprawach jest znacznie krańcowszy; widać, iż zdołał się już do głębi przejąć ideami Grzegorza VII, których wyrazem zwycięstwa w Polsce była jego osoba, jako pierwszego biskupa, zawdzięczającego swą godność nie świeckiej władzy monarszej, lecz wyborowi kapituły.

Z głębokiem przekonaniem wypowiada on pogląd o niewątpliwej, bezwzględnej wyższości prawa boskiego nad ludzkim, o wyższości Kościoła nad władzą świecką: „Prawo boskie przesądza ludzkie: albowiem nieomyślne, niepokalane prawo Boga nawraca dusze... zaiste, ponad wszystko większem jest poddanie wszelkiego panowania władzy i prawom Kościoła.“²⁾ W sprawie *ius spoli* stoi po stronie Kościoła i surowo karci jego używanie, nie umiejąc jednak przekonująco uzasadnić swego stanowiska: „Oprócz tego książe upórcoznie przywłaszczyli sobie prawo, że

¹⁾ Monumenta, II, 275.

²⁾ Monumenta, II, 371—372.

³⁾ Monumenta, II, 277.

dobra zmarłych biskupów (pontificum) chwyтали jakby jaką zdobycz albo oddawali do skarbu wielkoksiażęcego. Jednak to, co podlega prawu boskiemu, jest niczyje, co zaś jest niczyjem, pozostaje u posiadacza. Z Boga żartować nie należy, ani urągać mu żadnym śmiesznym wymysłem.“¹⁾ Cieszy się więc mistrz Wincenty, że wreszcie zakazał tych nadużyć król sprawiedliwy pod karą klątwy (na Zjeździe łączyckim w r. 1179 — Kazimierz Sprawiedliwy).

Radość była jednak przedwczesna, bo zakaz ten nie wszedł był w życie; wystąpienie Kadłubka jest jednak o tyle znamieniem, że zapowiada energiczną walkę polskiego Kościoła, którą jeszcze za życia naszego kronikarza podjął arcybiskup Kietlicz.²⁾

Nic więc dziwnego, że człowiek o takich poglądach nie mógł się zdobyć na bezstronne przedstawienie konfliktu Śmiałego ze Stanisławem Szczepanowskim. Jakie przyczyny go wywołały dobrze wiedzieli współcześni, dobrze wiedział i Gallus, który nie zawahał się nazwać biskupa „zdrajcą“, nie mógł więc nie znać prawdy mistrz Wincenty, skoro miał poważne źródło Galla i potwierdzenie jego mógł znaleźć w niewygasłej jeszcze ustnej tradycji. Pomimo to nie skarcił biskupa, bo obawiał się wystawić na szwank powagę duchowieństwa i Kościoła, a natomiast podał inną zmyśloną albo bezkrytycznie przyjętą genezę faktu.³⁾

Ciągłe pochody Bolesława Śmiałego spowodowały to, iż żony jego rycerzy ponawiały bliższe stosunki z niewolnikami. I mistrz Wincenty nagle bez żadnego umotywowania pisze o królu: „Odtąd szlachetna oliwka w dziką, a miód w piołun się zamienił. Albowiem porzuciwszy umiłowanie cnoty Bolesław przeniósł wojnę od wrogów na swoich, twierdząc, że panowie nie mieli prawa mścić się samowolnie na winnych za zesromocenie żon, albowiem to należy do królewskiej władzy. Zresztą nie po-

¹⁾ Monumenta, II, 399.

²⁾ Wł. Abraham: „Pierwszy spór kościelno-polityczny w Polsce“. Rozprawy Akad. Um. Wydział hist.-fil. tom 32.

³⁾ Nadmieniamy jednak, że dwa ustępy Kroniki Kadłubka, zawierające opis zabójstwa biskupa Szczepanowskiego, niektórzy historycy uważają za nieoryginalne, wstawione później. Głównym argumentem ma być świadectwo Stanisława Sarnickiego (XVI w.), który w posiadanym rękopisie Kroniki kadłubkowej nie znalazł żadnej wzmianki o tem wydarzeniu. Bliższe rozważanie tej sprawy nie wchodzi w zakres naszej kompetencji, ani niniejszej pracy, dodajemy więc tylko, że autorstwo Kadłubka w tym wypadku uważamy za pewne. Patrz Monumenta, II, 245 i dopisek na str. 296.

dobają mu się rycerze, którzy tak dalece zajmują się swemi żonami, że łanią nawet posłuszeństwo i samowolnie powracają z obozu do domów, wydając swego pana na niebezpieczeństwo życia od nieprzyjaciół. Każę więc chwycić winnych i stawiać przed sądy dla ukarania, żonom zaś — nawet tym, którym już mężowie przebaczyli—odbiera i wyrzuca dzieci, a do piersi rozkazuje przykładać szczenięta. Wtedy to zjawia się biskup Stanisław, powstrzymuje okrutnego króla, grozi mu utratą korony i wreszcie dotyka mieczem kłatwy, za co ponosi śmierć męczeńską.

Moralne przepisy biskupa Wincentego Kadłubka, beatyfikowanego za swą świętobliwość, cechuje brak wyrozumiałości dla życia świeckiego i pewien religijny ascetyzm. Nie odróżnia on ludzi świeckich od duchownych i do wszystkich przykłada jedną miarkę i jedną skalę wymagań. Bogactwo, sławę i wszystkie rzeczy, które nie są wyrazem moralnej natury ludzkiej, ogłasza za doczesne i bezwartościowe. Otrzymujemy je dzięki losowi, los je nam zabiera, nie są więc naszymi: „Za swoje uznają tylko takie klejnoty, które zostały zrodzone w skarbnicy serca.“¹⁾

Rzeczy znikomych nie godzi się poczytywać za szczęście, bo nie są w stanie dać nam prawdziwego, trwałego szczęścia, wolnego od wewnętrznych walk i niepokojów. Jeżeli nawet się zdarza, że wśród takich pozorów szczęśliwości czujemy wewnętrzny spokój ducha, to podobne wypadki są niezmiernie rzadkie, trwają bardzo krótko i zapowiadają bliską burzę. To samo stosuje się do sławy: im jest wyższa i więcej upajająca, tem głębszy i boleśniejszy upadek za sobą pociąga.²⁾

Niesłusznie ludzie cenią tak wysoko znikome, ziemskie bogactwa, bo przyjemniejsze są rozkosze chatki ubogiej, aniżeli królewskich pałaców. „Wesołe ubóstwo jest rzeczą przyjemną, skoro zaś jest wesołe, nie jest ubóstwem.“³⁾

Książęta winni stale obcować z ubóstwem, bo tacy, którzy swój żywot pędzą wśród rozkoszy i dostatków, otoczeni świętym tłumem dworaków, nie będą mogli ani uprawiać, ani czcić cnoty.

Nie może zasługiwać na pochwałę, kto do bogactw doczesnych przywiązuje wielką wartość i pyszni się niemi, ale nagan-

¹⁾ Monumenta, II, 278.

²⁾ Monumenta, II, 379. W innem miejscu sławę ludzi cnotliwych uważa Kadłubek jako zasłużoną nagrodę.

³⁾ Monumenta, II, 279.

niejszą jest pycha i zarozumiałość, oparta jedynie na cudzych zasługach: „Naprawdę nasi zwyrodniali rodacy chlubią się cieniem znakomitego pochodzenia! Naprawdę z olbrzymia zrodzony karzełek pyszni się wspaniałością rodu olbrzymów: skoro przecież na krzaku różanym wyrasta róża i cierń koleczasty.“¹⁾ Nie pochodzenie, ale własna cnota uszlachetnia człowieka i „bardzo błędzą ci, którzy złoty tron szlachectwa wznoszą we krwi, a nie w duszy“ (in pectore).²⁾

Wraz z klejnotami serca wynosi Kadłubek ponad bogactwa *czas*: „omnia aliena praeter duo animum et tempus quorum possessione natura nobis delegavit“³⁾ (wszystko jest obcem, oprócz dwóch rzeczy: ducha i czasu, których posiadanie przekazała nam natura). W innym miejscu⁴⁾ pisze: *levior enim est rerum quam temporis iactura*.

*Damna movent rerum, plus laedunt damna dierum
Quisque potest rebus succurrere, nemo diebus.*

(Błahsza jest strata majątku, aniżeli czasu. Szkoda nam straconych rzeczy, ale więcej szkodzi strata dni. Z rzeczami można sobie poradzić, z czasem nigdy).

Właściwy sens, ukryty pod retorycznymi zwrotami, jest zapewne ten, że życie nasze jest krótkie, należy więc wyzyskać każdą chwilę, nie odkładając na później ani dobrych uczynków, ani poprawy.

Używając pojęcia *cnota*, mistrz Wincenty daje dość obszerną jej definicyę.

Człowiek wogóle jest istotą niedoskonałą,⁵⁾ jednak pomimo to, może posiadać cnotę, t. j. stałą dyspozycyę woli, wynikającą z dobrze ukształconego umysłu.⁶⁾ Młodych ludzi nie należy pozostawiać samym sobie i dawać im zupełnej wolności, albowiem nie mają należytego pojęcia o cnocie ani siły, aby się od złego powstrzymać.⁷⁾ Dyspozycya woli ulega zmianom, lecz z trudno-

¹⁾ Monumenta, II, 273.

²⁾ Monumenta, II, 274.

³⁾ Monumenta, II, 279.

⁴⁾ Monumenta, II, 291.

⁵⁾ Monumenta, II, 329.

⁶⁾ Monumenta, II, 311. *Et quoniam virtus est habitus mentis bene constitutae, habitus vero est qualitas difficile mobilis* (cnota zaś jest usposobieniem dobrze ukształconego umysłu, a usposobienie—właściwością trudną do zmiany).

⁷⁾ Monumenta, II, 370.

ścią. Jeżeli jednak jest głęboko zakorzeniona, to człowiek ani może, ani chce się jej pozbyć. Dlatego więc należy cnotę ćwiczyć i umacniać, aby przy zetknięciu się ze złym przykładem albo z okazyją do grzechu nie uległa złemu.¹⁾ Cnota krępowana lub ograniczana przestaje być sobą.²⁾

Uznając cnotę za najwyższe dobro na świecie, Kadłubek dodaje, że jej, jak i wiedzy, nie można po handlowemu cenić, ani kupować; za cnotliwe czyny nie należy przyjmować nawet podarunków, bo chociaż nie jest to handlem, ale ma do niego podobieństwo, co z prawdziwą cnotą nie da się pogodzić.³⁾

Karmicielką wszystkich cnót jest pokora,⁴⁾ człowiek pokorny jest jak słońce: ludzie szlachetni go czczą i podziwiają, antypodzi zaś, t. j. pogrążeni w zawiści i pysze, nie znają lub pogardzają. Z pokory powstaje sława, z pychy i chępliwości—upadek; pycha jest zawsze wrogiem cnoty. Pan Bóg najbardziej nienawidzi pychy, bo ona ludzi prowadzi do upadku, zamienia ich w bydła, z niej pochodzi zawiść, która nawet przed ojcobójstwem się nie cofa.

Idąc w kierunku wskazanym przez naukę: „Błogosławieni ubodzy duchem“, biskup Wincenty dawał kryterium moralne nieprzydatne do praktycznego życia i sam często mu zaprzeczał, szczególnie jeśli chodziło nie o stosunek księcia do możnowładców, lecz o sprawy zewnętrzne, międzynarodowe: w tych nie zwracał wcale uwagi na pokorę i wartość czynu mierzył jego użytecznością dla Kościoła lub kraju.

Pomimo to etyczne poglądy jego zasługują na wielką uwagę ze względu na niezależność od nauki Kościoła i urzędowej filozofii kościelnej.

W wieku XII nad myślą ludzką chrześcijańskiego świata wciąż jeszcze panował potężny umysł św. Augustyna, aczkolwiek nie brak było i pewnych, słabych zresztą protestów.

Etyka kościelna przenosiła punkt ciężkości w życie pozagrobowe, na zbawienie duszy. Poznanie Boga i Jego woli było źródłem i celem moralności, ono wskazywało co należy czynić, aby podobać się Bogu i dostąpić zbawienia. Możliwość zmywania

¹⁾ Monumenta, II, 321.

²⁾ Monumenta, II, 252: Nec enim essent virtutes si ullis diguarentur limitum ergastulis includi.

³⁾ Monumenta, II, 353.

⁴⁾ Monumenta, II, 262: nutrix virtutum humilitas.

win nie przez odrodzenie wewnętrzne grzeszników, lecz przede wszystkim przez akt łaski, zupełnie od nich niezależny wraz z nauką o predestynacji, odrzucającą wolną wolę, czyniły z ludzi igraszki w ręku Boga i skutecznie zabijały chęć do pracy nad swoim udoskonaleniem. Podkreślanie wartości czynu a nie zamiaru i system kar piekielnych za niedopełnianie nakazywanych czynów, demoralizowały ludzi i były poważną przeszkodą w urabianiu dzielnych i samodzielnych charakterów. Za wielką przeto zasługę należy poczytać św. Augustynowi, że bez zastrzeżeń i wyraźnie podkreślił zamiar i chęć, jako rzecz decydującą o wartości danego czynu. Natomiast w innych sprawach etycznych starał się przeprowadzić myśl, że natura ludzka z przyrodzenia jest zepsuta, zła, moralność naturalna jest niemożliwa, do cnoty i zbawienia są niezbędne chrześcijaństwo i Kościół. Dlatego właśnie, zwalczając tendencje pelagianizmu, rzucił słynne zdanie, że cnoty pogan były tylko błyszczącymi występkami. Pesymizm etyczny Augustyna w swojej konsekwencji prowadzi nieuchronnie do odmówienia woli ludzkiej wolności; jakiegokolwiek niedomówienia i zastrzeżenia przytoczylibyśmy z pism jego, pozostanie jednak faktem, że św. Augustyn był deterministą. Zwrot ku lepszemu datuje się dopiero od Abaelarda, który konsekwentniej niż poprzednik potrafił ocenić wartość intencji i wewnętrznej istoty człowieka, nie przyznając zarazem chrystyanizmowi wyłącznego posiadania moralności. Po stu latach, w wieku XIII, odnowiciele arystotelesowskiej filozofii, Albert Wielki i Tomasz z Akwinu, kierują etykę patrystyczną na nowe tory przez ogłoszenie wolności woli, lecz pomimo to żaden z nich nie zrywa z heteronomicznym charakterem etyki, ani ogranicza roli Boga, jako podstawy i celu moralności.

Zbyt ryzykownem byłoby twierdzenie, że czyni to Kadłubek, ale należy stwierdzić, iż w luźnych poglądach, rozrzuconych po Kronice, nie znajdujemy nigdzie wzmianki o Bogu, jako najwyższym kryterium lub celu moralności, o zbawieniu, karach i nagrodach boskich. Pomijania milczeniem tych czynników, które wszechwładnie panowały w etyce patrystycznej, nie można chyba uważać za proste zapomnienie, bo zbyt często się spotyka, nie można jednak na tej tylko podstawie wysnuwać wniosków także i o „wolnomyślicielstwie“ biskupa, pozostaje więc droga trzecia: przyznać, że pomimo niezaprzeczonej religijności Kadłubek miał przebłycki poważnego, niezależnego umysłu o współczesnym zakroju, daleko wybiegającym poza szranki współczesnej

mu myśli, chociaż dodatnia ta cecha, przytłumiona przez rozliczne naleciałości, stosunkowo rzadko występowała na jaw.

W sprawie moralnej wartości czynów i zamiarów kronikarz staje wyraźnie po stronie ostatnich,¹⁾ chociaż kładzie duży nacisk na wykonywanie czynów, stosownie do zamiarów i chęci.²⁾ Wogóle etyczne poglądy jego różnią się wielce od etyki patrystycznej. Wprawdzie niekiedy zwraca się do Pisma Św. dla poparcia swej myśli, ale czyni to post factum, podczas gdy współcześni mu lub poprzedni pisarze posługują się nauką Kościoła ante factum do układania swoich definicyi i systemów. Tak samo i intelektualizm jego nie jest podobny do intelektualizmu Augustyna lub Alberta, bo uznaje cnotę za habitus mentis benae constitutae i na tem kończy, tymczasem ci ostatni, formułując ją jako bona qualitas mentis, ograniczają całkowicie wolą i nakazami bożymi. Predestynacyi nie przyjmuje, natomiast w wielu wypadkach wyraźnie oświadczą się za wolnością woli i zmiennością ludzkiego charakteru zależnie od czynników zewnętrznych, które nań wpływają. Odrzucenie elementu metafizycznego, trafna obserwacya psychologiczna i dążenie do ograniczenia etyki ziemskim życiem korzystnie wyróżnia naszego biskupa wśród współczesnego świata pisarzy chrześcijańskich i czyni go podobnym do autora „Etyki nikomachejskiej“; nawet cnota złotego środka nie jest mu obca. Pism Arystotelesa Kadłubek nie mógł znać, a więc zaznaczone podobieństwo tylko mu zaszczyt może przynieść.

Wspomnieliśmy wyżej, że nasz kronikarz, wskazawszy pokorę, jako źródło cnót, zapomina o niej przy praktycznej ocenie faktów i mamy liczne przykłady, że interesy Kościoła i Polski stawia on wyżej wszelkich kryterjów i nakazów moralno-teoretycznych.

W III-ej księdze Kroniki³⁾ znajdujemy dłuższe opowiadanie o Piotrze Właście, który, udając zbiega, zgłosił się z oddziałem żołnierzy do przemyskiego księcia Wołodara, pustoszącego Polskę, a uspiwszy jego czujność, porwał go w czasie uczty i jako

¹⁾ Monumenta, II, 272. *Affectus vester operi vestro nomen imponit; quia quantum quis intendit tantum facit nec potest esse insipidum, quod sale caritatis conditur, quod favo cordis instillatur.*

*Quid gratum, quid dulce, pium quid? greta voluntas
Nam paleas operis aurea mens operit.*

²⁾ Monumenta, II, 352.

³⁾ Monumenta, II, 351—353.

podarunek przywiózł swemu królowi. Czy ten—zdaniem kronikarza—nie ma sobie równego. Jest jeden podobny—Persa Zopyrusa, który dla odzyskania straconego przez Dariusza Babilonu obciął sobie nos, uszy, wargi i udał się do powstańczego miasta, wystawiając się za ofiarę okrucieństwa daryuszowego. Babilończycy, poznavszy jego wojenne zdolności, wręczyli mu naczelne dowództwo, a on wtedy wydał Persom i wojsko i miasto. Lecz podobieństwo to jest bardzo niepodobne—konkluduje Kadłubek— „ponieważ u Zopyrusa było to płaszczykiem podstępu, u Piotra—ostrożności; tamten jest wzbroniony, ta—dozwolona. Tamten wziął początek ze złego oszukaństwa (de dolo malo), ta zaś powstała z dobrego podstępu (de dolo bono). Albowiem skoro *sprawiedliwy* wojnę prowadzi, to dla sprawiedliwości jest obojętne, czy walczy otwarcie, czy przy pomocy zasadzek. A więc w Piotrze był tłuszcz najprzedniejszy i ziarno cnoty, w Zopyrusie zaś—kora i plewa.“

Co należy rozumieć przez: *sprawiedliwy*, trudno jest napewno powiedzieć, być może że: *chrześcijanin*; niezależnie od tego całe rozumowanie jest niedorzeczne. Jeżeli koniecznie chodziło o przyznanie wyższości, to chyba należała się ona raczej Zopyrusowi, bo wystąpił przeciw „nieposłusznym prawowitej władzy“ i dla osiągnięcia celu bez wahania poddał się kalectwu.

Wniosek, wysnuty z porównania tych dwu ludzi, jest tem dziwniejszy, że Wincenty pogan nie nienawdził, owszem, z historii starożytnej czerpał wiele przykładów i pisał otwarcie: „scis, quod in antiquis est sapientia“, chociaż wrogów Polski, Pomorzan, mocno nie lubił za ich bałwochwalstwo: „Nie obawiają się bezwstydni odszczepieńcy unikać zbawienia, nie wzdrygają się psy nিকেzmne powracać do plugastwa, które sami z siebie wyrzucili (nec abhorrent canes persordidi ad vomitum reverti).“¹⁾

Drugim przykładem, świadczącym o stroniczości religijnej, może być rozważanie o znaczeniu przysięgi. Kadłubek przychodzi do wniosku, że przysięga, wymuszona siłą, gwałtem lub groźbą utraty życia, nie posiada żadnej wagi, wyjąwszy tylko jeden wypadek, kiedy chodzi o przyjęcie chrześcijaństwa. Przymuszać do chrztu świętego nie należy, albowiem Pan się brzydzi wymuszonymi służbami, skoro jednak ktoś do przyjęcia chrześcijańskiej wiary został zmuszony, winien ją już nazawsze zatrzymać.²⁾ Dlaczego? — Kronika nie wyjaśnia.

¹⁾ Monumenta, II, 340.

²⁾ Monumenta, II, 339—340.

Mistrz Wincenty na podobne pytania i wątpliwości jest zupełnie ślepy; chrystyanizm i patryotyzm zamykał mu na nie oczy. Dwa te czynniki razem lub z osobna mąciły nietylko jasność sądu w oderwanem rozumowaniu, ale nawet pozbawiały go takich uczuć, jak sprawiedliwość i litość.

Jeden z ruskich pochodów Krzywoustego został przedstawiony w takich obrazach: wojownicy jego, jak wściekłe lwy i tygrysy, srożą się nad ludnością, krwią ruską ociekając, nie przebaczą ani ciężarnym matkom, ani płodowi; nie baczą ani na stan, ani na wiek, ani na płeć, nie dają posłuchu żadnym prośbom i błaganiom. W końcu czytamy spokojną uwagę kronikarza: „Taką zemstą stokrotną ponieśli zasłużoną karę Wołodar i ten wierny Węgier za swą zdradę i wiarołomstwo.“¹⁾

Do znieczulenia Kadłubka na zyniśłone przez siebie okrucieństwa polskie przyczynił się bezwątpienia także i dawny pogląd, podług którego kraj i ludność była uważana za własność panującego.

Mając zapisać wydarzenie, które rzucało niekoniecznie korzystne światło na Kościół lub duchowieństwo, mistrz Wincenty je zmieniał albo bronił, posługując się bezkrytycznie jakimikolwiek argumentami.

Pomimo deklaracji o pokorze był nadto Polakiem, aby nie cenić dzielności rycerskiej i męstwa... Opowiadając o arcybiskupie, który, na wieść o napadzie Pomorzan, przerwał sprawowanie ofiary i ukrył się na strychu,²⁾ Kadłubek nie mógł pochwalać zajęczego serca pasterza, lecz pomimo to wziął go w obronę: „Sądzę, że nie zasługuje na naganą, iż uciekł na widok wilków, jakby tchórz lub najemnik, a nie jako pasterz. Albowiem nieczyste jest zwierzę, które chociaż żuje, jednak nie ma rozdwojonego kopyta, co jest cechą zwierząt poświęconych, bo nogi ich są właściwemi nogami, a kopyta podobne do cielęcych.“³⁾ Co za przesąd i czy wogóle jaki pod temi słowami się kryje — trudno powiedzieć; nie świadczą one jednak korzystnie o jasności umysłu autora. Aby obrona była skuteczniejszą, przytacza jeszcze argument z Pisma Św. i swoje poglądy życiowe: „Któżby nie

¹⁾ Monumenta, II, 358.

²⁾ Monumenta, II, 337. „Jako w kontemplacji wznosił się ku wysokościami, tak i ciałem wznosił się w górę. Albowiem po jakichś schodach się wydobył i ukrył się pod dachem.“

³⁾ Monumenta, II, 338.

drżał ze strachu przed pewną śmiercią, skoro samo życie aż do śmierci drży i trwoży się; o życie tem staranniej troszczyć się należy, im żyźniejsze wydaje plony, bo i pocóż bezpłodna figa ma zajmować miejsce.“¹⁾

Oprócz obszernego wykształcenia nasz kronikarz posiada doskonałą znajomość życia i ludzi, tem więc cenniejsze dla charakterystyki ówczesnego społeczeństwa są jego uwagi o kobietach i starcach.

Gallus nie występował przeciw kobietom; uznawał je jednak za istoty nieco niższe, skoro o Ryksie pisał, iż wychowywała syna *w miarę niewieścich zdolności*. Biskup Wincenty jest w tej sprawie znacznie surowszy. Nie odmawia hojnego wyposażenia od natury Wandzie, ani zadziwiającej dzielności Semiramidzie, a pomimo to twierdzi, iż rozkazywanie *przedniejszym* przez niewiasty jest niezgodnem z dobrymi obyczajami. W małżeństwie mąż powinien być zawsze i we wszystkim panem; skoro tylko raz pozwoli wziąć górę żonie — zginął, bo namiętność zwyciężycielki nie zadawała się zwycięstwem, aż wszystkie karki zegnę pod swoje rządy. „Łatwiej jest ubłagać furę piekielną, niż przebłagać niewieścią srogość, a i łaskawości jej ufać nie można, bo jest sroższa nad wszelką dzikość, dziksza nad wszelką srogość.“²⁾

Również przeciw starcom znajdujemy zjadliwe uwagi za ich pychę i lekkomyślną dumę, wzrastającą z przybliżeniem śmierci, za ich żądzę bogactw i zaszczytów. „Bo chociaż starzec pokona w sobie wszystkie potwory występków, chociaż nad wszystkimi panuje, to jednak ambicya i chciwość nad nim mają władzę.“³⁾

Charakterystyczną cechą wczesnych średniowiecznych pisarzy jest — jak wskazaliśmy wyżej — brak w ich dziełach indywidualnego piętna. Świadomość wychowawczego znaczenia pisanych utworów, poczucie obowiązku wobec Kościoła lub państwa lub wreszcie niechęć do ponoszenia skutków, mogących wyniknąć z głoszenia nowinek, jest niekiedy tak silna, że trudno orzec, czy dany pogląd wyraża prawdziwe przekonanie autora, czy też cudze, przejęte powierzchownie i niezasymlowane. Nie był wolny od tych wpływów i mistrz Wincenty, który w Kronice występuje w dziwnie niejednolitej i sprzecznej postaci. Wynosi męstwo i broni tchórzostwa; za cnotę uznaje pokorę, chwali jednak

1) Monumenta, II, 338.

2) Monumenta, II, 365.

3) Monumenta, II, 441.

i dumę; raz objawia głęboki i oryginalny umysł, innym razem pisze niedorzeczności, jak np. o czystości zwierząt z cieleciami kopytami lub o kabalistycznym tłumaczeniu pewnych cyfr; 1) występuje jako bezwzględny doktryner, to znowu okazuje się trzeźwo i praktycznie patrzącym człowiekiem; pociąga trafnością myśli, a o parę wierszy niżej odpycha naciąganiem rozumowaniem i wyraźną stronniczością. Fanatyczny, ślepy obrońca praw Kościoła i ojczyzny, w zakresie innych stosunków występuje jako wyrozumiały człowiek, obdarzony jasnym umysłem i dużą ilością zdrowego rozsądku. Rozumie on doskonale, że w życiu praktycznym nie można się kierować bez wyjątku żadnymi prostymi nakazami uczuć moralnych, chociażby były najszlachetniejsze i najwznioślejsze.

Po opisie wspaniałomyślnego czynu Krzywoustego znajdujemy uwagę, że litościwym może być tylko sprawiedliwy, sprawiedliwym zaś tylko litościwy: sprawiedliwość bowiem bez litości staje się okrucieństwem, litość bez sprawiedliwości — niedorzecznością. 2)

Uwaga ta dla charakterystyki Kadłubka jest bardzo cenna, albowiem przekonywa nas, że nie był on człowiekiem bez litości, jak to by się mogło zdawać; zupełny brak serca i surowość bezwzględna nie jest jego ideałem, ale nie jest także człowiekiem, powodującym się wyłącznie i całkowicie skłonnościami serca. Widocznie widział w życiu wiele smutnych skutków, wywołanych pobłażliwością i nieumiarkowanym współczuciem, skoro przed nim przestrzega i najwyższe kierownictwo naszego życia powierza rozumowi, który nie wymaga wyzbycia się wszelkich uczuć, ale też i nie pozwala im wyłącznie kierować postępkami.

Jeszcze wyraźniej pogląd ten występuje w rozważaniu śmierci Gniewomira, zabitego kijami. Chwaląc odwagę, kronikarz potępia okrucieństwo, wywołane przez pychę lub nienawiść, lecz usprawiedliwia je, skoro zostało popełnione przez gorliwość dla sprawiedliwości. 3) Tak samo nie jest grzechem śmierć zadana z powinności, np. przez żołnierza w czasie wojny; czasami nawet jest grzechem nie zabić, jak to uczy Pismo Św.: „kiedy Saul

1) Monumenta, II, 276.

2) Monumenta, II, 331. *Nemo tamen misericors, nisi iustus; nemo iustus nisi misericors: nam iustitia sine misericordia, crudelitas et misericordia sine iustitia fatuitas est.*

3) Monumenta, II, 334.

zwyciężywszy Filistynów, nie zabił ich króla Agaga, rzekł Pan do Samuela, że nie chwali za to Saula.“

Poglądy Kadłubka należy rozważać z ostrożnością, ponieważ niektóre z nich, aczkolwiek przyobleczone w niewinną formę powszechności, zawierają w sobie czysto osobiste intencje autora: wychwalanie pokory pod adresem książąt a nie możnowładców, dla których była potrzebniejsza, albo piorunowanie na starców z powodu ambicyi Mieszka Starego, a nie knozań wielmożów polskich.

Wspomnieliśmy wyżej dlaczego Kronika Kadłubka posiada bardzo skromną wartość historyczną... należy żałować, że autor nie potrafił uwolnić się od scholastycznego retoryzmu i stronniczości, bo przy swoich zdolnościach i niezwykle szerokiem wykształceniu mógł był napisać dzieło wybitnie dobre i wartościowe. W II-iej księdze Kroniki znajdujemy jeden dłuższy rozdział, który nam zupełnie niespodzianie odkrywa w autorze jasny, przejrzysty umysł, zdolność ścisłego rozumowania i cenną zaletę analizy psychologicznej. Przytoczmy z niego parę ustępów.

Naturalny syn Władysławy, Zbigniew, zbliżył się z nieprzyjaciółni do obozu brata, Bolesława Krzywoustego, aby nań zdradziecko w nocy napaść. Przypadkiem zdemaskowany, bronił się, że przybył, aby ostrzedz rodaków o napadzie, ale obronę tę zniweczył znakomitem przemówieniem jakiś namiestnik królewski.¹⁾ Rozpoczął stwierdzeniem faktu, że Zbigniew w przebraniu wraz z wrogami skradał się ku polskiemu obozowi... lecz w jakim zamiarze to uczynił, czy ich wprowadził, czy z nimi urządził napad?—to zdaje się jest przedmiotem sporu. Po pierwsze należy przypatrzeć się naturze tego człowieka, po drugie—zastanowić się, jakim naukom oddawał się z zamiłowaniem, po trzecie—okazać, jaką ma przychylność ku swoim lub nieprzyjaciółom. To bowiem rozważywszy, nie będziemy mieli najmniejszej wątpliwości, która mogłaby powstrzymać potępienie. Jasno się okaże, iż natura jego nie ma nic wspólnego z cnotą, jeżeli pochodzeniu jego uważniej się przypatrzemy. Niełatwo bowiem wzmocni się roślina, której korzeń robak nadgryzie w samym zarodku... A z pegaza spłodzone mulątko objawia nie ród pegaza, lecz ośli ryk matki... Jakież więc plon cnoty można zebrać z zasiewu wszeteczeństwa...²⁾ fałsz i trucizna najokropniejsza w tym najpodlejszym

¹⁾ Monumenta, II, 320—322.

²⁾ Kadłubek, podobnie i Gallus, nie mają w pogardzie nieprawego pochodzenia. Kadłubek o Zbigniewie pisze, że jego pochodzenie zaszkodziłoby mu najmniej, gdyby wiódł był uczciwe życie. M., II, 328.

człowieku tak uporczywie się zakorzeniły, że się ich ani pozbyć chce, ani może. Dowody na to z przeszłych jego czynów świecą jaśniej nad słońce... Dodajmy do tego naukę znakomitych obyczajów, w której się w pocie czoła doskonalił bądź u Niemców, bądź u arcyznakomitych Prażan. Komuż jest tajna дума, pycha i przebieg niemieckiej zaciekłości? Obnosi on ją tutaj i poza domem. Albo któż nie wie, jaki jest nakaz praskiej moralności: „Bądź synu jednocześnie pochlebcą i podstępnyim... w nienawiści udawaj grzeczność... przyjaźń według korzyści nie według wierności szanuj... zawsze więcej obiecuj, niż dotrzymać myślisz...” Jeżeli więc sąsiad bogaty pobudza chciwość, jeżeli towarzysz zniewieściąły powoli wycieńcza i zmiękcza, jeżeli obcowaniem obyczajuje się kształcą, komu dziwnem się wyda, że on był takim wśród takich wpływów. Lecz srożej go obwinia zawzięte okrucieństwo okazywane ojczyźnie, bo jeżeli mu kiedykolwiek zabrakło sposobności lub możności szkodzenia, nigdy nie brakło chęci... Czyż jest jakikolwiek najmniejszego dowodu pozór, którymby tak oczywistą zbrodnię, choćby najdelikatniej mógł osłonić? Cnotę przytoczysz? Ale u niego nie masz nawet podobieństwa cnoty! A może uposażenie natury? Lecz ta nietylko przyjazną, ale wręcz wrogą mu była. Czemże więc była, rzekniesz, braterska miłość, uczucie dla współobywateli, pomyślność ojczyzny, wreszcie najprostsza sprawiedliwość i uczciwość? Wszakże był on zawsze ich najzaciętszym wrogiem. Jeżeli więc skierujecie oko umysłu na jego wrodzoną przewrotność, jeżeli wasze powonienie poczuje smrodliwą zgniliznę jego obyczajów, których wzięwy psują całe powietrze, jeżeli zważycie na szali zaciętą zapamiętałość w złośliwym postępowaniu, na której mu nigdy nie zbywało, jeżeli go ciężar wszystkich okoliczności przywała i zgoła nic na jego stronę nawet wyżebrany głos obrony wymyśleć się nie da, — to nikt nie zaprzeczy, że została popełniona zbrodnia... a dla dobrowolnie i rozmyślnie popełnionej zbrodni nigdzie nie należy oczekiwać łaski.“

Gdyby mistrz Wincenty wszystkie fakty historyczne rozbięrał z taką skrupulatnością i troskliwością, jak ów namiestnik królewski, Kronika jego byłaby nietylko cennem źródłem historycznym, ale także chlubnem świadectwem i trwałym pomnikiem dla swego twórcy.

Wizerunek Gallusa, jak widzieliśmy, jest prosty, bez obfitości szczegółów, ale za to jasny i wyrazisty. Brak systematów teoretycznych i metafizyki zastępuje zdrowym, trzeźwym rozsądkiem, który w sprawach praktycznych nie pozwoli mu wpaść w jednostronność, ani wejść na bezdroża lub ścieżki wiodące w zaświaty. Jest religijnym, ale nauki Kościoła nie przyjmuje bez zastrzeżeń, bo uważa ją za zbyt uniwersalną i nieodpowiednią dla ludzi świeckich, mających inne, niż duchowni, zadania do spełnienia.

Ojczyznę przybraną kocha szczerze, jednak kocha rozumnie, i chociaż wywołuje u współczesnych niezadowolenie, prawdy dziejowej nie przekręca, bo ją uważa za nieodzowny warunek dziejopisarstwa. Wszystkie poglądy jego są wypowiedane przekonująco, prosto i szczerze.

Jeżeli w dziele Gallusa dopatrywalibyśmy się prostoty świątyni romańskiej, to Kronikę Wincentego musielibyśmy porównać do budowli barokowej z jej mnóstwem zbytecznych i nielogicznych akcesoryów i upiększeń.

Historyczny szkielet pracy ugina się pod nadmiernym ciężarem przeróżnych dodatków i znika pod nimi, a uważny czytelnik nie raz jeden spostrzega dziwne obrazy, będące wynikiem lawirowania autora między prawdą i własnym wewnętrznym przekonaniem a wymaganiami patryotyzmu i religijności.

Nie sądzimy, aby ta dwoistość Kadłubka była wrodzoną cechą jego umysłu, wywołało ją raczej zetknięcie się silnej indywidualności z odrębnym światopoglądem Kościoła, wykończonym w najdrobniejszych szczegółach. Jakie były pobudki, które go do przyjęcia tego światopoglądu skłoniły, dzisiaj orzec trudno.¹⁾

Religijność mistrza Wincentego tem tylko różni się od Gallusa, że kiedy ostatni chce samodzielnie przy pomocy własnego umysłu i sumienia regulować swój stosunek do Boga, pierwszy — całkowicie i bezkrytycznie polega na Kościele i jego władzy wszystko ziemskie poddaje, chociaż okazuje tyle jeszcze oryginalności, że potrafi niekiedy w rozważaniach teoretycznych zdobyć się na niezależność od urzędowej filozofii kościelnej.

Gruntownem i obszernem wykształceniem góruje nietylko nad Gallem,²⁾ ale i nad wieloma uczonymi mężami ówczesnej Europy. a pomimo to uprawia jakąś kabalistykę cyfrową.

¹⁾ Patrz charakterystykę jego w rozprawie St. Ł(aguny): „Dwie elekcyje“ Ateneum, 1878.

²⁾ Stanisław Kętrzyński: Gall „Anonim i jego Kronika“. Rozpr. wyd. histor.-filoz. tom 37, i wstęp do Kroniki Kadłubka w II t. Mon. Bielowskiego.

Brak jednolitego kryterium oceny sprawia, iż raz pewne rzeczy są chwalone jako cnoty, innym razem jaskrawe od nich odstępstwo znajduje zamiast potępienia obronę i usprawiedliwienie.

Tak dla historyka, jak i dla historyka literatury są to zbyt znaczne wady, aby nie rzuciły cienia na zalety i nie obniżyły wartości dzieła.

Szczęśliwemu trafowi należy zawdzięczać, że mistrz Wincenty nie brał wybitnie czynnego udziału w życiu publicznem, bo w niem teoretyczne wady musiałyby wystąpić w formie realnych czynów, któreby przyniosły wiele szkody nietylko krajowi, lecz i spokojowi duszy świątobliwego biskupa krakowskiego.

DR. Z. BUJAKOWSKI.

TRAGIZM SŁOWACKIEGO.

I.

„W każdym tragizmie mieści się smutek, lecz nie w każdym smutku mieści się tragizm“. Tem, jak nazywa trywialnem spostrzeżeniem poczyną dr. Michał Sobeski swoje roztrząsania nad istotą tragizmu w treściwym szkicu p. t.: „Z filozofii tragedyi“¹⁾. Spostrzeżeniu temu autor szczególną przypisuje wagę dla estetyki tragizmu, odnajdując w nim jedno z zasadniczych rozróżnień tych dwu, bądź co bądź, pokrewnych stanów duszy. Identyfikować tych pojęć nie wolno, boć jakkolwiek smutek wnieszcza się w tragizmie, to jednak ani go wypełnia, ani wyczerpuje. Zawiera bowiem tragizm w sobie, prócz smutku, splot innych jeszcze uczuć, silniejszych, bezwzględniejszych, a przedewszystkiem odniennych. Posiłkując się terminologią Hartmana stajemy w rozpatrywaniu istoty tragizmu odrazu na pewnym gruncie, podnosząc w nim cechę jego wstępną, zasadniczą, treść jego warunkującą — obecność w nim konfliktu. Konflikt ów wywołuje cierpienie, które podstawą jest tragizmu, jako jednej z głównych estetycznych wartości. Przedewszystkiem więc w dramatycznym biegu konsekwentny rozwój ludzkich afektów i namiętności od ich poczęcia poprzez wewnętrzne zmagania się i walki aż po upadek, a nawet i śmierć, w całej pełni tragizm ujawnia. Walki więc i namiętności ludzkie najlepiej uwydatniają istotę tragizmu, i, jak zobaczymy niżej, najbardziej sprzyjają określeniu podstaw jego teorii. Nie w nich jednak wyłącznie tragizm się objawia.

¹⁾ Michał Sobeski. Interludya. Z pogranicza sztuki i filozofii. Kraków—Warszawa, 1912.

Doszukiwać się można go zarówno w otaczającym nas życiu, jak i w dziedzinach sztuki. Bezpośrednim materiałem, kształtującym utwory dramatyczne, jest codziennych zdarzeń bieg. W bardzo wielu wypadkach zdarzenia owe, powszednie, bez nawet poetyckiego przeobrażenia samą tylko fabułą wydają się nam równie tragicznymi, jak ukształtowane w dramatyczny spłot. Mówimy wówczas o nieprawdopodobnym, nie do wiary wprost zbiegu okoliczności, uderza nas działanie jakiejś nieznaney siły—losu, dziwnie wiążącej pobudki nasze i czyny.

Słabiej natomiast odczuwamy tragizm w naturze. Więcej w niej smutku niż aktywnego uczucia tragizmu. I bodaj tylko w chwili szalejącej burzy, kiedy spiętrzone w groźny wał rozhukane fale niosą na swych grzbietach grozę zniszczenia i zagłady, czy też, gdy rozpalona lawa pędzi falą z gorejącego wulkanu, siejąc zatracenie—odczuwamy może pewien tragiczny nastrój. Lecz jest to jedynie nastrój, nie pełne odczuwanie, brak tu bowiem czynnika decydującego—ludzkich osobistych przeżyć. Inaczej rzecz się przedstawia, gdy z kolei zwrócimy się do sztuki. Architektura, rzeźba, malarstwo, jakoby twory ludzkiego ducha, więcej już przedstawiają pola do odczuwania wrażeń tragicznych. Tragizm więc budowy—w architekturze—objawia się pośrednio—jako ucieleśnienie, bądź tylko przypomnienie wydarzeń, jakie się w nich, czy w związku z nimi działy. Dość wspomnieć egipskie piramidy, a dalej z kolei więzienia, kazamaty. Malarstwo i rzeźba jeszcze bardziej uwydatniają tragizm. Sprzyja tu siła własnych środków, a z nich najbardziej naczelny, choć jednocześnie warunkujący jednostronność—uzmysłowienie. Zaznaczyliśmy tę jednostronność, gdyż i tu jeszcze, w sztukach plastycznych, nie jesteśmy w możności zbadać całego przebiegu procesu tragizmu. Nie przeżyjemy go też i w muzyce, która jest przecież mistrznią w odtwarzaniu tragicznych nastrojów; jedna tylko poezya władną jest przedstawić cały spłot nie już tragicznych faktów, lecz pobudek życia wyobrażeniowego i myślowego. Jest tedy ona ze wszystkich dziedzin sztuki najbardziej uzdolnioną do utrwalania z indywidualizowanych stanów ludzkiej duszy. Z rozpoznawania tedy poezyi najłacniej dojdziemy do określenia podstaw teoryi tragizmu.

Nie wszystkie jednak rodzaje poezyi w równej mierze zawierają tragizm. Lirykę n. p. upodobnić można do muzyki—wyraża bowiem uczucie, wywołane losem tragicznym. Daje ona wyrazistość tragicznych przeżyć osobistych, a przemawiając do

czytelnika bez tej osłony, jaką bądź co bądź stanowi ton muzyczny, pewniej też działa.

Największem jednak polem objawiania się tragizmu jest epos i dramat w najszerszem pojęć tych znaczeniu, a więc zarówno w powieści, opowiadaniu, noweli, jak i w sztukach scenicznych. W obu tych rodzajach twórczości, wyrazistość działań i losu najpełniejszy swój znajduje wyraz. Jednakże i z tych dwu najpodatniejszych form — eposu i dramatu, ostatniejsza wyższość nad pierwszym przyznać należy. Zmysłowe uwidocznienie akcji na scenie ma niezaprzeczoną wyższość nad perypetyami opowieści, stąd też jaśniej, pełniej i czyściej istotę tragizmu wyraża.

Doszliśmy tedy do stwierdzenia rzeczy w określeniu tragizmu podstawowych: polega ów tragizm na cierpieniu bohatera, a ujawnia się najdosadniej, w ramach akcji scenicznej. I tu zaraz, na wstępie, rodzi się uzasadnione pytanie — jakie cierpienia i jakich ludzi posiadają moc grozy wstrząsającej dusze naszej? Czy kiedy jakikolwiek bądź człowiek z jakiegokolwiek bądź powodu cierpi, to już to samo cierpienie wywołuje opanowującą nas moc tragiczną? Czy dla odczucia jej, tej mocy, niezbędne są może inne jeszcze warunki, których brak rodzi smutne tylko może sytuacje, lecz jeszcze nie tragiczne? Otóż to właśnie. Aby sytuacja, wywołana cierpieniem bohatera, rodziła w nas poczucie grozy, musi być ona specjalną, musi zawierać w sobie szereg niezbędnych warunków, musi iść po linii rozwoju owej tragicznej mocy, idącej ku nam ze sceny i dusze naszej biorącej w niepodzielne władztwo.

Cierpienie bohatera, jak zaznaczyliśmy na wstępie, wywołane jest przez konflikt. Konflikt, jak wiemy, warunkuje sytuację tragiczną. A cóż to jest ów konflikt? Jest to przeciwstawienie się pewnemu przyjętemu biegowi spraw, rodzące winę. Umyślnie użyliśmy tego wyrazu, będącego, jak wiadomo, motywem arystotelesowej teorii dla wykazania, jak dalece zabarwienie moralno-karzące postępów — win bohatera jest dla zrozumienia istoty tragizmu niewystarczające. Słusznie bowiem zaznacza Volkelt, iż teoria winy, w zastosowaniu jako klucz, do odgadnięcia istoty zajmującego nas problemu, o tyle jest nie do przyjęcia, że, stosując ją, jako naczelny motyw, musielibyśmy cały i to nader liczny szereg tragedyi, uznać za nietragiczny, bowiem nie na tym motywie winy i kary są one oparte.¹⁾ Weźmy dla przykładu

¹⁾ Aesthetik des Tragischen von Johannes Volkelt. München, 1906.

eurypidesową tragedję Hippolitos-Fedra. Prawda, Hippolitos zawinił, obrażając Afrodę, wynoszeniem ponad nią boskiej łowczyni Artemidy. Ginie też, ścigany zemstą bogini. Ale Fedra, ale Tezeus? Przecież gdyby wina i przez nią wywołana kara miały być głównym motorem tragicznych położeń, nawet tragedji greckich, jak tego chce Arystoteles, to czemuż ofiarą tejże kary pada niewinna kretyjska królewna, czemuż los nieubłagany ściga o „zbrodni“ syna nie nie wiedzącego ateńskiego Tezeusa? A przecież on, Tezeus, najniewinniej, najbardziej jednakże okrutnym doświadczon jest losem. Stracił syna, zabójcą jego jest niejako, utracił żonę i sam przy życiu zostaje na dalsze dni smutnego żywota, zmiażdżony ręką ślepego losu. Los jego po stokroć jest bardziej tragicznym, aniżeli Hippolitosa, wywołującego karę. Losu tego winą wytłómaczyć niepodobna, boć tej Tezeus nie popełnił, inne przeto i w tej, jednej przecież z najklasyczeńszych tragedji, przyjąć należy kryterjum tragizmu, aniżeli to, które nam daje Arystoteles. Ale przypuśćmy nawet, że „wina“ istotnie jest tym właśnie koniecznym motywem tragizmu. W całym szeregu tragedji, w greckich zwłaszcza, wina bohatera nie koniecznie wypływa z jego charakteru, innemi słowy, nie zawsze „kara“ jest konsekwencyą za popełnioną zbrodnię; zdarza się ona jako zwyż dany los, jako zrządzenie bogów, jako fatum nadprzyrodzonych sił. A wtedy ta nieświadoma „wina“ bohatera sprawia, że jest on jeno igraszka w rękę ślepego losu, który bez najmniejszego ze strony cierpiącego bohatera udziału, znęca się nad nim aż do ostatecznej zaguby. I wtedy budzi się w nas nie uczucie tragizmu, lecz raczej współczucia; jesteśmy poruszeni, lecz nie grozą nieodwracalnych sytuacji, rodzących moc tragiczną, lecz oburzeni przeciw bezsensownej przypadkowości losu. Wina więc nieświadoma nie sprowadza grozy tragicznej. Popelniający ją bohater stać się sam może ofiarą strasznych życiowych udręć i przez to wywołać w nas uczucia jak najdalej idącej litości, lecz prawdziwego tragizmu nie ujawni.

Ale i świadome przewinienie jeszcze nie stanowi o istocie tragizmu. Wyczerpuje go dopiero uświadomienie konieczności postępku. Nie jest bowiem tragicznym los bohatera, który zdaje sobie wprawdzie doskonale sprawę z działań, wiodących go ku zgubie, lecz który łacnoby jej uniknąć potrafił, gdyby tylko zechciał. Bohater taki wzbudziłby w nas podziw może, może nawet szacunek, lecz nigdy nie zniewoliłby nas do przeżywania wspólnie z nim całego ogromu piętrzących się okrucieństw losu czy Boga. Patrzylibyśmy nań rozciekawieni, jako na zajmujący nie-

wątpliwie eksperyment, lecz nie jak na ofiarę własnych jego takich, a nie innych, a więc koniecznych namiętności. Że samo uświadomienie „winy“ nie rodzi jeszcze grozy nieodwołalnej sytuacji tragicznej, uczy nas przykład Hippolitosa. Syn amazońskiej monarchini, lekce sobie ważąc wszechmocną boginię miłości, wie jednak na co się porywa. I gdyby to lekceważenie nie wpływało z głębin jego duszy, gdyby nie było uwarunkowane naturą jego, przecież byłby skłonił ucha namowom Służebnika i złożył ofiarę Kipyrdzie. Lecz on, „poświęcony czystości, kloni jej zdaleka“, przeto, nie potrafiąc czcić bóstwa, która „hołdy lubi nocne“, wyznaje:

„Różnym różny człek miły, a i Bóg tak myślę“.¹⁾

Widziny więc, że nie mówiąc już o nieświadomej winie, świadome nawet przewinienie bohatera nie daje nam wrażenia tragicznej mowy. Musi to świadome przewinienie łączyć się nieodzownie z koniecznością takiego, a nie innego postępku i z tej dopiero współzależności absolutnej wolności czynów bohatera z nieuniknioną ich koniecznością ku spodziewanej, czy oczekiwanej zagładzie wiodącą—rodzi się istotny tragizm.²⁾

Powyższa definicya—współistnienie absolutnej wolności czynów bohatera z ich koniecznością ku nieuchronnej, wiodącej katastrofie jest odpowiedzią na pytanie zasadnicze—na czym właściwie tragizm, jako teoria polega, jakie są cechy, warunkujące jego istotę. Definicja owa jest jakby jedynie opisem, obiektywnym przedstawieniem cech tragicznych, nie zawiera jednak w sobie, bo zawierać nie może, wykazania zawartości tej teorii, jej treści. Lipps w książce swojej: „Der Streit über die Tragödie“—następujące stawia zagadnienia: chodzi w tragizmie o to, jakie indywiduum cierpi, jak bardzo cierpi i z jakiego cierpi powodu—dlaczego³⁾. Odpowiedź na pierwsze i trzecie zagadnienie jest jedna. Tragizm objawia się w przeciwstawieniu dwu wartości: działającego bohatera i otoczenia. Tam, gdzie wartościowe przeciwstawne silniejszemi są kontrastami, silniejszem też będzie

¹⁾ Bogusław Butrymowicz. Przekład tragedji Eurypidesa: Hippolitos-Fedra. Kraków 1910

²⁾ Sobeski, l. c.

³⁾ Der Streit über die Tragödie von Theodor Lipps. Hamburg und Leipzig. 1891.

przeżywane przez nas uczucie tragizmu. Jednostka o pewnych swoich stałych, silnie indywidualnych cechach, rzucona na tło absolutnego kontrastu odnośnie do tych swoistych sobie właściwości samem już działaniem swoim, sprowadza, wywołuje tragizm. Niemożność bowiem przystosowania swych czynów, scharmonizowania ich z otaczającym światem rodzi cierpienie.

Najlepiej wyjaśni przykład. Weźmy „Balladynę”—na czem polega jej tragizm, co jego wewnętrzną treść stanowi? Nie jest zawiązką jej tragicznego losu zabójstwo Aliny i nie z tej winy płyną późniejsze zbrodnie aż po ostateczny, jakże bardzo zasłużony wymiar kary—rażenie piorunem. Zabójstwo to, to już tylko pierwsza z szeregu zbrodni tej polskiej Lady Macbeth, to poczynający liczbę objaw tragizmu, nie zaś jego przyczyna. Ta leży właśnie w owem, jak rzekło się wyżej, przeciwstawieniu dwu kontrastów: takiej, jaką poeta stworzył Balladynę, złej, mściwej, próżnej i otoczenia, które nie harmonizowało z temi żyjącymi w niej *in potentia* pragnieniami, które nie przedstawiało pola do zastosowania ich na drodze właściwej i zwykłej. By móżdżek jej zrealizować (a realizować je musiała, bo niemi żyła, bo one, te pragnienia, ją, żeby rzec, stanowiły), nie zawahała się popełnić zbrodni, bo zbrodnia ta pierwsza, jak zresztą i późniejsze, była prostą już konsekwencyą życia takiej Balladyny w takim jak jej otoczeniu. Balladyna żyje przez zbrodnie — oto konflikt tragiczny, oto na czem jej los tragiczny właściwie polega. Tworząc taką kolizję, opartą na silnie zarysowanym kontraście środowiska z charakterem heroiny—wykazał Słowacki niesłychanie subtelną przenikliwość urodzonego tragika i rzadko trafne zrozumienie podstaw tragicznych położań. Niżej podany dokładny rozbiór tej tragedyi dosadnie wyrazi i plastycznie uwydatni ewolucyjny bieg pełnego tragicznej mocy charakteru Balladyny i osób, uczestniczących w kole tragicznych powikłań.

Ta więc różnica, mniejsza z tem, w kierunku dobra czy zła, ofiary, czy zbrodni, ten kontrast danego przez twórcę charakteru z absolutnie, biegunowo przeciwstawiającem się mu tłem — oto gdzie leży kolebka rodzącej się mocy tragizmu, oto najistotniejsza jego przyczyna.

Z powyższego jasno wynikają cechy, w jakie chce Volkelt wyposażyć charakter tragicznego bohatera. Wrażenie odczuwanego tragizmu warunkuje znaczeniem tragicznego typu. Rozumie to znaczenie, jako widoczne podwyższenie ludzkiej przeciętności w jakimkolwiek bądź kierunku, jednym choćby rysem wybiegają-

ce ponad tuzinkowość i małość zwykłej ludzkiej drobiny. ¹⁾ Otóż owszem. Nasze, powyżej umotywowane stanowisko takie tylko właśnie ponad przeciętne typy samem już przeciwstawieniem ich otoczeniu w tragicznym konflikcie uznaje.

Coś przecie harmonizującego z danymi warunkami, coś, co jak białe na białem się układa, rzecz jasna, może boleć, może cierpieć, lecz tragicznem przenigdy się nam nie okaże.

Pozostaje nam tedy odpowiedzieć na trzecie, przez Lipsa postawione zagadnienie—jak bardzo tragiczny bohater cierpi? Aby tragizm ujawniający się w cierpieniu miał dostateczną siłę wyrazu musi być ono wyczerpującem. Wtedy tylko—powiada Volkelt, gdy cierpienie osiągnie maximum swej mocy tak, iż życiu, biorąc ten wyraz w znaczeniu biologicznem, czy też tylko duchowem, grozi nieuchronna zagłada, wówczas obraz owego cierpienia wywołuje specjalnie charakterystyczne uczuciowe napięcie (Gefühlswirkung). ²⁾ Owo to uczuciowe napięcie to nie innego, jak właśnie odczucie w całej pełni nagromadzonej mocy tragizmu. A zjawia się ona, odnośnie do cierpienia, wówczas właśnie, kiedy cierpienie to gotuje przeżywającemu je wewnętrzne, moralne skołatanie i zniszczenie, bądź śmierć, czy też jedno i drugie razem. W tym wypadku działania cierpienia, jako mocy tragicznej, rozróżnić należy, według Volkelta, trzy zasadnicze, a różne wypadki:

a) cierpienie kończy się śmiercią, nie niszcząc i nie łamiąc wewnętrznie bohatera.

Nie należy rozumieć tej odróżnianej przez Volkelta formy tragizmu, jako pozbawionej zupełnie wyniszczającej bohatera mocy tragicznej. Owszem, bez niej nie byłoby, jak już wiemy, tragizmu, przynajmniej nie doznalibyśmy go w stopniu, zakreślonym przez tragiczną sytuację. Chodzi tu tylko o to, że śmierć nadochodzi bohatera w chwili, kiedy nie wszystkie twórcze zdolności życiowe ostatecznie się w nim wyczerpały. Przykładem tej formy tragizmu będzie Alina. Postać niewątpliwie tragiczna, co zresztą przy rozbiorze tragedyi będziemy mieli sposobność dowodnie wykazać, ginie z ręki własnej, umiłowanej siostry, która czynem swym kainowym w tem gołębiem sercu budzi dojmujący ból.

b) Cierpienie wyniszcza i łamie duszę bohatera, lecz ten, będąc wewnętrznie umarłym, pozostaje jednak przy życiu. Jest

¹⁾ Volkelt, l. c.

²⁾ Volkelt, l. c.

to największej może grozy pełna forma tragizmu. Lipps uważa śmierć bohatera tragicznego w wielu wypadkach, jako nieledwie konieczne, poprostu czasem niezbędne zamknięcie typu. Powiada on wprost: „Nie kończące się nigdy cierpienie byłoby już nie tragiczne, lecz wprost straszliwe. Z tego też powodu śmierć jest konieczną już nie dla samego bohatera, lecz raczej dla nas, dla naszego odczucia“.¹⁾ Otóż istotnie. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że jakkolwiek, jak zobaczymy poniżej, śmierć, jako taka, uszlachetnionego przez cierpienie bohatera wywołuje w nas depresyjne uczucie pesymizmu, to jednak w chwili już tylko rozpamiętywania wrażeń, któreśmy odnieśli, działa kojąco, bowiem główny moment, wywołujący nasz pesymizm, złorzeczenie losom za ich okrutny bezsens, walący jednostki najszlachetniejsze pod obuch zagłady, zmienia się w kierunku współczucia nieludzkiemu cierpieniu znajdującego w śmierci ulgę bohatera. Jakże tedy straszliwie działa na nas widok niekończących się, ulgi tej pozbawionych cierpień?

Stoi przed nami wówczas żywy jeno trup, widmo walczącego niegdyś w cierpieniu bohatera, żywy jeszcze, lecz już nie dla świata. Z ust naszych zrywa się wtedy jęk—pytanie: jakże on dalej wyżyć potrafi? Literatura powszechna niewiele posiada przykładów tego rodzaju tragizmu. Słowacki dał nam taką postać. To „Ojciec zadżumionych“. Ośmkroć razy pełzała pod płótna namiotu okrutna śmierć, odrywając ze skamieniałego bólem ojcowskiego serca nieszczęsnego Araba coraz to nowe kawałty. Aż, syta wreszcie, odeszła. Pozostał on sam, starzec, jak okropny posąg niezłagodzonych śmiercią cierpień.

Ostatnim wreszcie rodzajem tragizmu jest:

c) Połączenie moralnej śmierci z fizyczną.

Rzecz oczywista, iż ten ostatni rodzaj tragizmu jest we wszystkich trzech powyżej przytoczonych rozgałęziach formy tragizmu, jak Volkelt nazywa „wyczerpującego“ (das Tragische der erschöpfenden Art), w przeciwstawieniu do tragizmu „uchylonego“ (das Tragische der abbiegenden Art) — najklasyczniejszym przykładem. Tragizm ten—wyczerpujący—niosący bohaterom taką, czy inną, zagładę, taki czy inny koniec, jest pod względem siły ekspresyjnej, rzecz prosta, nierównie bardziej typowym i właściwym aniżeli ten drugi—uchylony—gdy po szeregu doznań tragicznych, bohater wydobywa się wreszcie z matni. W drama-

¹⁾ Lipps, l. c.

tycznej spuściźnie Słowackiego wiele napotykamy przykładów owej formy tragizmu najklasyczeńszej: Wojewoda, Zbigniew, Amelia w „Mazepie”—Lilla i Derwid w „Lilli Wenedzie”—Matka wreszcie w „Balladynie”, żeby choć kilka przytoczyć.

Dotychczas tedy usiłowaliśmy ustalić obiektywną stronę tragizmu przez wyrozumowanie składających go cech, niejako opisowych, jak również podać teorii tragizmu zawartość, jej wewnętrzną treść. Pozostaje nam jedynie do omówienia strona subiektywna. Tą jest — według Volkelta i Lippsa — nasze współczucie z bohaterem tragicznym, przeżywanie jego cierpienia. Jest ono w każdej tragedyi niezbędne, jest jej fundamentem. Sposób, w jaki odczuwany tragizm, jako pewne uczuciowe zjawisko, jest dla zrozumienia onego problemu rzeczą pierwszorzędną wagi. Lipps i Volkelt różne temu współcierpieniu dają zabarwienie. Gdy obudzony w nas przez tragedję, łańcuch wyobrażeń (Vorstellungszusammenhang) zostaje przez katastrofę przerwany w swym naturalnym biegu, powstaje, według Lippsa t. zw. „psychiczny zator“ (die psychische Stauung)—wrażenie, polegające na tem, iż t. zw. „ruch wyobrażeń“ (Vorstellungsbewegung) zatrzymuje się w tym mianowicie punkcie, gdzie działa przeszkoda. Jest to tak, jak gdy patrzymy na powalone burzą drzewo: widzimy ku ziemi schyloną koronę, wdeptane w błoto gałęzie, lecz wówczas dopiero, gdy z szarej kory wytryśnie przed oczy nasze błysk bielejącego z załamania osierdzia—w całej dotkliwej prawdzie uświadomimy sobie klęskę przełamania. Jest to dalej tak, jak gdy spokojnie płynąca rzeka wstrzymaną zostanie przez zator. Leniwe przedtem fale, usiłując zwykłym płynąć biegiem, piętrzą i pienia i napierają na bieg ich wstrzymującą zaporę. I wówczas dopiero w całej pełni ocenić jesteśmy w stanie siłę wody, niegdyś tak powolnej i spokojnej. Jak złamanego drzewa klęskę, jak rozhukany bieg fal, tak równie i całą moc walczącego bohatera poznać jesteśmy w możności jeno przez ów „psychiczny zator“, odczuć w katastrofie. Wielkość jego, jego wartość wtedy dopiero podziwiamy, wtedy bowiem ona dopiero najbardziej wyrasta w oczach naszych. I z nim razem przeżywamy jego wielkość. Upajamy się nią i budzi w nas ta wielkość, radosne uczucie. Inaczej u Volkelta. Bohater, wyposażony w pewną duchową wartość zmagają się z cierpieniem i walczy z upadkiem. To zmaganie się i ta walka wzbudza w nas uczucie kontrastu (Kontrastgefühl), polegające na przeciwstawieniu oczekiwaniom naszym tragicznej rzeczywistości.

W swojej „Estetyce tragizmu“ powiada Volkelt: „przed wielkością winien się świat równać, przeszkody winny się usuwać, siły i moce żywiołu sprzyjać powinny dążeniom i działalności wielkiego człowieka; udziałem wielkim zamierzeń i czynów winno być zwycięstwo i sława, jednym słowem — odczuwamy mniej lub więcej silny kontrast między tem, co wielki człowiek zamierzył, a jego istotną dolą“...¹⁾ Owóż Volkelt, równie jak i Lipps podnosi ten moment „kontrastu“, jako chwilę wyolbrzymienia ludzkiej mocy, w której staje ona w całej swej krasie przed zatajonem wejrzeniem słuchacza, bądź widza. I w tym właśnie momencie, według Volkelta, widz ten, czy słuchacz, odczuwa bolesny zawód. Losy bowiem ludzi, mocą ducha obdarzonych, wzbudzają w nim nieomal pewność, iż będą szczęśliwe i jasne. Lecz właśnie okrutna rzeczywistość pewności tej przeczy. Bohater pada. I ten właśnie upadek rodzi bolesne przynębnienie, że tacy ludzie, którzyby władać życiem powinni—giną, że nawet ci z nas najszlachetniejsi i najwyżsi, najdzielniejsi i najwięcej warci, zagładzie ująć nie potrafią. I w duszy naszej niema wówczas uczuć radosnych, uczuć nadziei, owłada nią rozpaczny, beznadziejny pesymizm.

To tak odmienne zabarwienie odczuć naszych u Lippsa i Volkelta jaśniejszem się wyda i zrozumiałszem, kiedy uprzytomnimy sobie, jak Lipps patrzy n. p. na śmierć. „Śmierć, powiada on, jest zakończeniem cierpienia w tem także znaczeniu, iż ona dopiero wyczerpuje i kończy wpływ cierpienia na nas“. W chwili śmierci dopiero, a raczej po skonie człowiek jawi się nam w pełnym blasku swoich zalet, jakie posiadał. „Całą wzniosłość i piękność Antygony, dodaje, uświadomimy sobie dopiero po jej śmierci“. „Śmierć opromienia nie tyle obiektywnie, ile tylko w oczach naszych i nie tyle bohatera, ile jego obraz“.²⁾ Obiedwie te powyżej przytoczone teorie—Volkelta i Lippsa, drogą analizy psychologicznej dadzą się sprowadzić do wspólnego niejako łożyska, które doprowadzić ma nas do źródła najważniejszej cechy subiektywnej w tragizmie — syntezy pesymizmu i optymizmu. Teorya kontrastu Volkelta za główny czynnik

¹⁾ Volkelt, l. c.

²⁾ Lipps l. c.: Pogląd ten Lippsa na śmierć zgadza się zupełnie z poglądem Volkelta: „Wszystko ziemskie—powiada ten — w niemnem tego słowa znaczeniu, śmierć, jak płomieniem wytrawia. Wszystkie plamy i żużle giną, a, promieniejący, ujawnia się dobry i jasny rdzeń“. (Volkelt l. c. str. 241).

w procesie swoim uznaje to, co kontrast ten powoduje. Każdy człowiek nosi w sobie prawo zużytkowania życiowych predyspozycji. Jeśli tedy bohater tragiczny, przewyższający wszelką codzienność mocą swego ducha i jego wielkością stanie w oczach naszych, budzi się w nas nieomal pewność przyszłych jego losów, że jasne będą i zwycięskie, że będą szczęśliwe. To powszechnie ludzkie prawo bohatera do życia i tę naszą pewność burzy i rozwiewa konflikt. Niesie on w sobie zagładę nieoczekiwaną, niepotrzebną, przeczącą wszelkim oczekiwaniom naszym i nadziejom. Konflikt ten, jako czynnik idący z zewnątrz, jako coś, co w jasne dotąd chwile wplata chmurę zaty, jest tym właśnie „zatorem“, który w walce spiętrza one moce duchowe bohatera i wyolbrzymia (Lipps). Boć jasnym jest, że i u Lippsa, że i w jego teorii „der psychische Stauung“ — czynnikiem przynajmniej równie ważnym, co i sam proces spotężnienia przyrodzonych władz duszy pod wpływem uderzającego z zewnątrz „zatoru“ — będzie ten sam „zator“. Zdawać bowiem sobie winniśmy sprawę tak z przebiegu samego procesu, jak i z tego, co proces ten powoduje. Obiedwie te teorie, zarówno Volkelta „Kontrastgefühl“, jak i „die psychische Stauung“ Lippsa wzajem się uzupełniają i każda z nich, w psychologicznym biegu tragicznych doznań, znajduje swoje usprawiedliwienie. Jeśli do powyższego dodamy wspólne obydwu estetykom zagadnienie stosunku bohatera do przeżywanego cierpienia¹⁾ — uznamy nie identyczność, lecz współrzędność tych teorii, razem składających stronę tragizmu subiektywną, wyrażającą się w syntezie pesymizmu i optymizmu.

Czy jednak teorie te, dające analizę psychologii tragizmu dorzucają coś do zrozumienia jego istoty i czy choć cośkolwiek treść tej istoty rozświetlą? Czy najbardziej nawet subtelne rozróżnienie w sposobie odczuwania tragedii umożliwi nam wniknięcie w tajniki filozofii tego problemu i estetyczne zrozumienie jego ułatwi? Bynajmniej. Lipps i Volkelt, jako estetycy-

¹⁾ „Wielkość tragicznego bohatera wymaga jeszcze bliższego omówienia. Stosuje się ona, rzecz prosta, nie tylko odnośnie do czasu, poprzedzającego stan cierpienia, lecz, i to przedewszystkiem, do czasu samego cierpienia. Właśnie w tem, jak bohater znosi cierpienie i jak z niem wależy, maluje się nam wielkość tragicznej jednostki“. (Volkelt, l. c., str. 79).

„Istota osobowości objawia się nadewszystko w rodzaju stosunku do cierpienia“. „W tej właśnie walce z cierpieniem ujawnia się siła i zdolność osobowości“. (Lipps, l. c., str. 47).

psycholodzy, analizą odbieranych przez nas wrażeń nie wyjaśniają nam nic więcej ponad to tylko, jakie tragizm może budzić w nas uczucia. To jednak ani na krok nie zbliży nas do zrozumienia jego istoty, „... od wkroczenia w sferę pozaempiryczną uchylić się tutaj niepodobna — mówi dr. Sobeski — bramy do państwa metafizyki rozwierają się samorzutnie“. ¹⁾

Estetyka tedy obiektywna, stwierdziwszy cechy, które dają jeno opis tragizmu, istoty jego doszukiwać się każe w metafizyce. „Tragedya — według Sobeskiego — wznosi się na wyżyny sztuki, gdy, poprzez losy bohatera mówi nam o tragizmie istnienia, o nieuciszzonej nigdy rozterce woli, a tem, że żywot ludzki jest najgorszem z wszelkich możliwych istnień“. ²⁾ Ten więc tragizm istnienia, który stanowi znamię każdej tragedyi, ten ukryty sens w widomym, w oczy bijącym bezsensie, znajdzie odpowiedź na pytanie — dlaczego? — na tej drodze myśli ludzkiej, która za podstawę istnienia nieubłaganą walkę dwu światów uznaje: ducha i materji.

II.

Ojczyzną dramatu jest Grecya. Podstawą prawną państwowego życia starożytnych Hellenów, jego jądrem o niestychanem dla późniejszych urzędzeń znaczeniu jest *πόλις* — miasto, skupiające w sobie i wokół siebie jeden oddzielny szczep. Kult miasta szerokie miał upowszechnienie, jako poniekąd podstawa greckiego patryotyzmu odnośnie do tej bliższej danego szczepu ojczyzny. Otóż dramat, jako poetycka forma, częścią jest owego kultu miasta. Nie chodziło bowiem, jak powiada Burckhardt, o zabawę dla wyżej ukształconych, dla elity greckiego społeczeństwa, jeno o zaspokojenie potrzeb wszystkich w święceniu tego kultu biorących udział mieszkańców *πόλις*. ³⁾ A począł się dramat grecki z formy religijnych obrzędów.

Ten sam proces narodzin formy dramatycznej napotykaną i w wiekach średnich. Lanson powiada wprost: „Le théâtre chre-

¹⁾ Michał Sobeski, Interludya.

²⁾ Michał Sobeski. Uzasadnienie metody obiektywnej w estetyce. Kraków, 1910.

³⁾ Griechische Kulturgeschichte von Jakob Burckhardt. Berlin.

tien est sorti du culte.¹⁾ Kościół był ośrodkiem ówczesnego życia całej zachodniej Europy. Msza św. gotową była formą, dramatem była przez kolejne śpiewy księży i ministrantów, czy kleru i wiernych, przez wspomnienie symbolu Chrystusowej ofiary, przez modlitwy o wątku tragicznym, przez Ewangelię, pełną wysoce dramatycznej akcji, a wreszcie przez uroczyste, scenizujące niejako, rozpaniętywanie o Męce Pańskiej, obrzędy katolickiego Kościoła. To też zaczątki zachodnio-europejskiego dramatu są w wyłącznej mierze apokryfami, niewychodzącymi z po za bram świątyni. Rozwijane i udoskonalane, pierwsze przedstawienia sceniczne z biegiem czasu ulegać poczną zeświecczeniu; porzuca tedy mury kościołów, idąc na place, przed tłumy, w większe środowiska. Staną się wkrótce niezbędnym karmem licznych rzesz, zaludniających średniowieczne miasta, nieodzownym programem wszelkich religijnych, czy narodowych obchodów.

Literatura dramatyczna w średniowiecznej Polsce niezbyt daleko wyszła poza te początki. Miała i ona u siebie widowiska pasyjne i religijne sceny, tworzyła również i świeckie, nie rozwinęła jednakże dramatu jako takiego, bowiem pozbawioną była podstawowych dla rozwoju tegoż dramatu warunków. Dramat bowiem, jak go charakteryzuje Bromberg-Bytkowski — to sztuka dla skupionej rzeszy.²⁾ Dla jego rozwoju niezbędne są wielkie skupiska ludzi — miasta, których wzrost i znaczenie w Polsce średniowiecznej różne przechodził koleje.³⁾ W przeciwieństwie

¹⁾ Gustave Lanson. Histoire de la lit. française. Paris, 1908.

²⁾ Zygmunt Bromberg-Bytkowski. Słowacki, jako dramaturg. Fragment. Jahresbericht des k. k. zweiten Staats-Gymnasiums in Lemberg, 1909. II. Teil. Denkschrift über Juliusz Słowacki.

³⁾ Miasta polskie, powstałe już w XIII wieku zakładane były „przez obcych, Niemców i przez nich też zasiedlone. Dość długo żywił niemiecki utrzymuje się w miastach, opiera polonizacy, bo dalsze stosunki z Zachodem, ciągły przyływ, wzmacniają tu silniej niemiecką tradycję, niż we wsiach, które takiej łączności nie miały“ (St. Kutrzeba, Historia ustroju Polski, Lwów, 1912). Zaludnione tedy w przeważnej mierze przez ludność obcą — miasta polskie wieków średnich, jakkolwiek kwitnące, nie mogły być odpowiednim terenem dla rozwoju analogicznego, jak na Zachodzie, polskiej sztuki dramatycznej. Zmiana warunków ekonomicznych powoduje w późniejszych wiekach upadek spolonizowanych już miast. „Wyjątkowo niektóre ze względu na specjalne warunki jakiś czas lepszy mają byt. Kiedy jednak w połowie XVII wieku przyszły zawieruchy polityczne, kiedy w tym mniej więcej czasie rozpoczął się także i w ogólnych stosunkach gospodarczych

tedy do greckiego, życie polskie wieków średnich najmniej rozwijało się w miastach. Brak więc było i tradycyi w kierunku, brak możności zrealizowania jakich takich dramatycznych uzdolnień narodu. A te jednak były i to nie byle jakie. „Co za świat, co za świat — woła Wł. Łoziński, opisując czasy i ludzi pierwszej połowy XVII w. — groźny, dziki, zabójczy. Świat ucisku i przemocy. Świat bez władzy, bez rządu, bez ładu i miłosierdzia. Krew w nim tańsza od wina, człowiek tańszy od konia. Świat, w którym łatwo zabić, trudno nie być zabitym. Kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad. Świat, w którym cnotliwym być trudno, spokojnym niepodobna“. ¹⁾ Jeśli więc o materyał chodziło, ten był pierwszorzędnym: Groźne, dzikie i mściwe charaktery, łatwe kolizye, sytuacye aż nazbyt często tragiczne, wszystko to kształtować powinno było i mogło tę właśnie gałąź sztuki, która ta jednakże niedostatecznie w literaturze niepodległej Polski zakwita. XVIII-te dopiero stulecie silniejszym w literaturze naszej zaznaczyło się zwrotem na polu dramatycznym. „Właśnie ta gałąź poezyi, dotychczas najśłabsza i najwięcej zaniedbana, najwcześniej przychodzi do życia i pierwsza wypuszcza nowe pączki“. ²⁾ Silniejszą pobudliwość twórczą w tym kierunku zawdzięczamy Francyi: „z natury rzeczy wynikało — powiada prof. Pilat, że w chwili, kiedy literatura francuska zaczęła silniej na naszą wpływać, wpływ ten objawił się przedewszystkiem i najwcześniej na polu dramatu reprezentowanego tak świetnie we wzorach francuskiej poezyi“. Ustupując z kolei miejsca epice i liryce, dramat polski XVIII-go stulecia u schyłku dopiero wieku znalazł był kilku wybitniejszych przedstawicieli, zawsze jednak obracał się w kole naśladowania wzorów obcych i dróg samoistnych sobie nie wykreślił. Upadek państwa, tragiczne losy, jakim uległ naród, klęski, jakie nań spadły, zwróciły serca i myśli twórców ku bliższemu zadaniom. Na harfie polskiej poezyi najdonośniej poczną dźwięczyć struny „jak echo skały, powtarzające wszystko, co słyszą dokoła“, a „wszystko płacz, co usłyszały“. Słowacki: („Ułamki“).

zwrot niekorzystny, miasta coraz szybciej chyłą się ku ruinie, z której nie prędko miały się podźwignąć“. (Kutrzeba, l. c.).

¹⁾ Prawem i lewem. Obyczaje na Czerwonej Rusi w pierwszej połowie XVII w. przez Wł. Łozińskiego. Lwów, 1904.

²⁾ Dr. Roman Pilat. Historia literatury polskiej. T. IV. Czasy Stanisława Augusta. Lwów—Warszawa, 1908.

Z dymiących kos raclawickich, z krwawych pól Maciejowic, z pobojuwisk grochowskiej Olszynki—staje w posagowe kształty przyoblekająca się tragedia polska.

Protagonistą jej będzie Słowacki.

W „Pamiętniku z lat 1817—1829“ zapisuje poeta pod datą r. 1827 te znamienne dla młodocianej wyobraźni wynurzenia: „pamiętam, jak, siedząc raz w ciemnym pokoju na kanapie i słyszając czytającą w przyległym pokoju stryjowi Ludwisie, marzyłem o tragediach, jakie w przyszłości pisać będę... marzyłem o różnych bohaterach, wziętych z nowo-greckiego powstania... Teraz pisałem już tragedye, ale te nie są ani o Grekach, ani tak złote i iskrzące się, jak mi się przedstawiały w przeszłości“... Pod datą 1828 r. zapisuje Słowacki w tymże pamiętniku: „...marzyła mi się wtenczas jak tragedia o Mahomecie. Chciałem go wystawić zakochanego w córce swojej, Fatymie, tak, jak to nam historia opowiada; zazdrość Aishy, jego żony, przywiązanie Alego do Fatymy miało stanowić intrygę. Mahometa miałem wystawić w guście Fausta lub Manfreda, rozmawiającego z duchami... O takiej to tragedyi, niepodobnej do wykonania dla 19-letniego chłopca, marzyłem i wszystkie jej części rozwijały się w mojej imaginacyi“. Czyż nie jest zastanawiającą ta pewność, z jaką poeta, dziecko jeszcze prawie, wykreśla sobie kierunek swojej późniejszej twórczości (Tragedye... jakie w przyszłości pisać będę) i ta, zda się, dość upoczywa praca myśli twórczej, wtedy już wyrażająca się w pomysłach wybitnie tragicznych?

Ale bo też nie było to dziełem przypadku, czy też dowolnem marzeniem rozczytującego się we wzorach młodzieńca. Natura jego twórczej organizacyi parła go na tę drogę i w tym właśnie kierunku najdosadniejszy znaleźć miała wyraz. I myli się Bronisław Chlebowski, odmawiając Słowackiemu znamion dramatycznych uzdolnień. „Rozpatrzenie się w tych dramatach i wystawianie ich sceniczne—powiada on—uwydatniające zarówno ich piękność, jak i słabe strony, przekonało, że one są piękne, czarujące, nie jako dramaty, nie przez odtworzenie charakterów i popędów, uwydatniających się w czynach, w akcyi, w energicznym dążeniu do pewnych celów, w walkach staczanych z przeszkodami i przeciwnościami, — ale że one są właściwie, jak to zresztą sam poeta przyznaje i na tytule nieraz zaznacza, balladami udratyzowanemi, romansami dramatycznemi („Sen srebrny Salomei“), poematami („Ksiądz Marek“), seryami przepięknych obrazów“.)

¹⁾ Pisma Bronisława Chlebowskiego. T. I. w rozprawie „Słowacki i Szekspir“, str. 353.

Niewątpliwie — dramaty Słowackiego, w scenicznej zwłaszcza oprawie, posiadają słabe strony. Lecz przyczyn tego faktu gdzieindziej szukać należy. Umiejętność „odtworzenia charakterów“, a sceniczność sytuacyjna — to dwie rzeczy różne. Można tworzyć typy o zdecydowanej sile ekspresji, a nie posiadać możliwości scenicznego ich wyrażenia. Dla zbudowania bowiem klasycznego dramatu powinna się wrodzona zdolność tworzenia sytuacji i charakterów łączyć ściśle ze świadomością dramatycznego wyrazu i techniką scenicznego ujęcia. Słowacki, par excellence poeta tragizmu, nie posiadał tej świadomości i nie opanował techniki.

Świadomości tej nie posiadał dlatego, iż współczesna mu estetyka dramatu bardzo była nie jasną, tak, iż najwybitniejsi nawet twórcy, mimo zasadniczych roztrząsań Lessinga, Schillera i innych, „nie mieli zbyt silnego poczucia, że dramat i poezja to rzeczy odrębne“. ¹⁾ Techniki zaś scenicznej nie opanował, był bowiem on — budownik sceny polskiej — w tem dla dramaturga rozpaczliwym położeniu, iż żadnego przecież ze swych dramatów nie oglądał na scenie. „Zamykam oczy... i widzę... i piszę, co widzę“ — wyznaje poeta w „Beniowskim“ (Pieśń VIII, strofa 6). Widzeń tych jednak kontrolować na scenie, na którą były przeznaczone, nie był w możności. Powiada Wyspiański o Szekspirze: „Kiepsko napisane sztuki... poprawiał i pisał, i kształtował narzeczcie tak, jak już miały pozostać. Poprawiał, — umożliwiał ich grywanie. Lata nad tem trawiać, poprawiał coraz wyraźniej i gruntowniej, coraz lepiej i coraz więcej samodzielnie, a przy ciągłej praktyce teatralnej, miał ciągle na scenie kontrolę i sposobność sprawdzania swej sztuki.“ (Studjum o Hamlecie).

Słowacki nie był w tem szczęśliwym położeniu. Dając właśnie, wbrew twierdzeniu Chlebowskiego, urodzonego tragika godne ujęcie tragicznego problemu w wydarzeniach ludzkich, o silnem napięciu, nierzadko scenicznie świetne uwypuklenie dramatycznych kolizji — wykazał intuicyjne niejako uzdolnienie właśnie w kierunku dramatycznym. Wyznanie poety, czy jego taka, bądź inna denominacja własnych utworów, na którą powołuje się Chlebowski — nie może być w danym wypadku decydującym argumentem. A nie może nim być dlatego, iż owa dowolna denominacja odnosi się przeważnie do tej epoki twórczości, kiedy wyraziste dotąd linie dramatów zlewać się poczną i zacierać przy-

¹⁾ Zygmunt Bromberg-Bytkowski, l. c.

plywem niesłychanie bogatego i kunsztownego liryzmu, kiedy sama nawet świadomość twórcza poety, konieczna przy budowie konsekwentnych i realnie pojętych charakterów maści się i zaciemnia. „...Ja sobie żadnego z moich utworów terazniejszych wytłómaczyć nie mogę—wyznaje poeta matce—nie wiem bowiem skąd przychodzą i dokąd idą, ale czasem względem nich są dziwne okoliczności, które mi dowodzą dziwnego związku tych rzeczy ze światem niewidzialnym, a stąd i potrzeby ich dowodzą“...¹⁾ (List z dn. 30 listopada 1844 r.). Nie jest to wyznanie świadomego dróg swych koncepcyi scenicznego twórcy, który panuje nad sceną i nad tworzonymi charakterami, jeno jest niesłychanie cennem świadectwem dla zrozumienia, jak dalece intuicya poety, nie wsparta o świadomość swego powołania i o technikę właściwego dla tejże intuicyi wyrazu rozplýwać się poczyna i gubić, aż w końcu zupełnie się traci. „W miarę zanikania bogactwa właściwej twórczości dramatycznej—powiada Bromberg-Bytkowski — patos zdarzeń i bogactwo obrazów przenosi się niejako w język, w mowę, która od nich wzbiera w nieskończoność. Jest to jakby wewnętrzne krwawienie. Jakaż tego przyczyna?... Tragikowi powołanemu... przedewszystkiem do przemawiania ze sceny, odebraną była możność wstąpienia na nią.“²⁾

Kłątwa tedy, jaka na dramatycznej twórczości Słowackiego zaciężyła klęską, sprawiła, iż nie miał on wyraźnej świadomości scenicznego wyrazu dla swych utworów. Ale nam też, w doszukiwaniu się tragizmu w całokształcie poezyi Słowackiego nie o ten wyraz przedewszystkiem chodzi, jeno o treść tragiczną, jeno o tę właściwość tragicznego na świat wejrzenia, którem objęte są zarówno jego dramaty, jak i cała liryczno-opowieściowa spuścizna. Forma, w jaką przyoblekał twórca widzenia swoje, jest rzeczą wtórną, czemś zewnętrznem, ramą tylko, w której gorzej, bądź lepiej dana się treść układa. Wybór tej formy — to rzecz intuicyi autora, to wypadkowa jego artystycznego trudu, kształtującego się pod wpływem czysto zewnętrznych pobudek. A tych, jak już wiemy, Słowacki najzupełniej był pozbawionym. Tworzył przeto, wierny naturze swojej twórczości, ta zaś, jak zresztą życie jego całe, wskrós była tragiczną. Wczesne lata życia i działalności poetyckiej na pierwszy, pobieżny rzut oka здаwałyby się prawdzie tej przeczyć.

¹⁾ Listy Juliusza Słowackiego. Wyd. Leopold Méyet, Lwów 1899.

²⁾ Zygmunt Bromberg-Bytkowski, l. c.

W małym, pieszczonym Julku, czy nad wiek rozwiniętym i wrażliwym młodzieńcu, dopatrywano się zazwyczaj nieznośnego samoluba, kierującego się imaginacją nie sercem w stosunku do najbliższych nawet, wyziębłego egoisty, niezdolnego do gorętszych poruszeń, próżnego, ambitnego i zarozumiałego pyszałka. I później dopiero, czasu podróży do Ziemi św., nastąpić miała w nim cudowna przemiana, kiedy to poeta „z narcyzowego franta staje się posępnym skaldem, wsłuchanym w jęk morza północy“. (Miciński: Do źródeł duszy polskiej). Ta linia rozwoju charakteru Słowackiego, pominiawszy, iż kłóci się z konsekwencją, kanonem będącej ewolucyi, jest nieprawdziwa. Uważne wczytanie się w pierwsze nawet utwory, dokładne zaznajomienie się z listami poety—maluje nam inny zgoła wizerunek duszy, jakże bardzo odmienny.

Nie zawsze czyni ludzkie i postępkami miarą być mogą wywołujących je pobudek. Czasami jedno szczerze wynurzenie dokładniej i lepiej odsłania nam wewnętrzny obraz ludzkiego ducha, aniżeli szereg jego działań, będących zazwyczaj wypadkową całego szeregu okoliczności.

Owóz u Słowackiego zachodzi to samo. Jego ambicya, jego ponad tłumny egotyzm, duma, wynosząca się nad ludzi i ten, tak bardzo mu właściwy, a tyle obcy prawdziwie beztróskim dniom młodości smutek, znamieniem jest, zewnątrz biorąc — dzieciństwa, a wewnątrz — jakowejś szarpaniny, dziwnego nieukoju, z głębin duszy wyrastającej obcości świata i ludziom. Wyrosły ponad swój czas i wiek, nosił w sercu uczucia niezrozumiałe dla nikogo, samotnikiem był „w najludniejszych miastach tworzącym sobie samotność“, ¹⁾ jak ryba o lód, tłukącym się po świecie. „Na mnie Bóg rzucił jakieś przekleństwo, na mojej drodze stawia mi lalki, zabawkę; serce moje żywie okruszynami uczuć... I w moich uczuciach nic niema wielkiego, oprócz tej jakiejś nieskończonej niespokojności, bez rysów prawie, a którą jednak widzę wszystkimi zmysłami... Ta niespokojność prawdziwie ma jakąś twarz ludzką i bladą, którą widzę nieraz wyrastającą z kart książki, którą czytam i nierozumiem książki. Niespokojność ta często jak jakaś gorycz odbiera nagle smak pokarmom, które do ust niosę. I muszę z nią walczyć, jak z domowym wrogiem. Mamo! to dziwnie, że imaginacya moja jest jedynem źródłem wszystkich moich nieszczęść i wszelkiego szczęścia na ziemi... Bo

¹⁾ List z dn. 8 grudnia 1832 r.

prawdziwie, że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą, urojonych wypadków“... (List z dn. 27 października 1833 r.). Jak obcy na ziemię przybysz, jak zdaleka do swojej ojczyzny idący pielgrzym, unikał poeta rzeczywistości, którą za czas „czyścowej próby“ uważał.

„Karmił się marzeniami, jak chlebem powszednim“—„Godzina myśli“, Dzieła II, 126.

Ten niczem niezgłębiony kontrast między duchem Słowackiego, a współczesną mu rzeczywistością, źródłem był dla poety, od wczesnych już lat towarzyszącej mu zadumy tragicznej. Kontrast ten pogłębiał się coraz bardziej, gdy tylko poeta zbliżał się ku życiu. Jednym z takich „zbliżeń się“ Słowackiego była „najsilniejsza z uczuć“ miłość do Ludki Śniadeckiej. Uczucie to niesłychaną odgrywa rolę w duchowej strukturze Słowackiego. Moment to w młodzieńczych jego latach tyle rzadki, że prawie aż wyłączny, kiedy serce jego „dzikie, smutne i szlachetne“ zaczępiło boleśnie o „zimny kamień“ życia. Nieodwzajemniona miłość utrwaliła w nim samotność, bardziej jeszcze wyodosobniła go z kolei żywota i, pozostawiając „jad w sercu“, zwróciła go od raniącej dotkliwie rzeczywistości w krainę przeszłych i przyszłych marzeń. Bowiem

tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka
i falą powraca ciemną,
nie mnie nie żegna, nie mnie nie czeka,
nie za mną i nie przedemną!

(„Ostatnie wspomnienie“. Dzieła I. 54).

„Sercu zadawszy śmierć“—odnalazł życie. Lecz życie to jego całe późniejsze istotnie będzie życiem o umarłym sercu. Ono, jak powiada poeta w „Godzinie myśli“ — „już myśleć przestało“.

Mówi się wiele o przemożnym wpływie Byrona na młodzieńczą twórczość naszego poety. Mówi się o naśladowaniu, pozie, w jaką się przystraja Słowacki, o koturnach, na które się wspina, by spaść z nich sromotniej w tworzoną przez siebie karykaturę byrońskich typów. Zapewne. Nie trudno jest wskazać w pierwszych poematach Słowackiego wybitne cechy, uzasadniające ów sąd powyższy. Co więcej, sąd ten ma pewne łudzące pozory prawdy. Ale przecież zdać sobie powinniśmy sprawę z istoty onego wpływu, jeśli go się dopatrujemy i z jego charakteru. Naszem zdaniem wpływ ten i jego doniosłość stanowczo jest z uchybieniem dla Słowackiego przecenianą. Nowsze opracowania, analizując wpływy jakim ten „bluszczowy“ poeta kolejno ulegał

i ten wpływ Byrona do właściwych sprowadzają rozmiarów. Już prof. Brückner, mówiąc o niewolniczej zależności Słowackiego od piewcy „Korsarza“ i charakteryzując rodzących się z tej zależności tragicznych bohaterów, powiada: „I byłiby tylko kopiami kopii byrońskich, gdyby nie nowa, specjalna ich, a zupełnie nie byrońska cecha, smutek, tęsknota, godząca nas niemal z niemi, bo przejmująca nas głęboko... Smutków takich Byron wcale nie znał“... ¹⁾ Dalej już idzie prof. Grabowski: „Samotnik i pesymista—powiada on w swej monografii o Słowackim—dał swym ludziom życie wewnętrzne, dał im jedno z tych uczuć, które mają odzew we wszystkich sercach. Znaczy to, że sam je posiadał, że jego psychologia nie byłaby dokładną, gdyby sądziło się go wedle formuły byrońskiej. Im więcej wnika się w jego poezye, tem więcej daje się wyczuć w niej nie dandyzm Childe-Harolda, ale coś z tego tytaniczmu, który objawi się później, coś z wewnętrznej energii, która uczyni Słowackiego nie tylko poetą siebie, ale i narodu“... ²⁾ I wreszcie Bromberg-Bytkowski: „Błędnie powszechnie tłómaczono ten pesymistyczny ton młodzieńczej poezyi Słowackiego. Pojmowano go, jako odbicie wpływu Byrona, jako naśladowanie i pozę. Przeczy temu cały dalszy rozwój jego poezyi i całe jego życie. Oto pochod rozwojowy tak twórczości samej, jak i kolejnego kształtowania się jego światopoglądu, świadczy o wytrwałem zdażaniu od podłożowego pesynizmu do optymizmu, własną duchową pracą krwawo zdobytego. W dramacie znamionuje znakomicie ten pochod kolejne górowanie wpływu Byrona, Szekspira i Kalderona. Taki zaś pochod od pesynizmu, jako refleksu pierwotnego na działanie świata zewnętrznego, do optymizmu, jako ostatniego tonu zasadniczego pewnego światopoglądu, jest pochodem rozwojowym prawdziwego tragika. Tragiczny światopogląd bowiem jest syntezą pesynizmu i optymizmu“... ³⁾

Otóż właśnie. Tylko w całokształcie rozpatrywane życie poety, dać nam jest w stanie należyte jego zrozumienie. Przecież uczuciowość ludzka, taka, czy inna, niezmienną jest. Może ona podlegać olbrzymieniu czy zanikowi, ale nigdy kształtowa-

¹⁾ Aleksander Brückner. Dzieje literatury polskiej. T. II. Warszawa, 1908.

²⁾ Tadeusz Grabowski. Juliusz Słowacki, jego żywot i dzieła na tle współczesnej epoki. Kraków, 1909.

³⁾ Bromberg-Bytkowski, l. c.

niu się i nabywaniu. Słowacki, będąc, jak go najśluszniej nazywa Chlebowski „gościem wśród świata rzeczywistego“, ¹⁾ szczęśliwy wówczas tylko „kiedy się w ciemnych marzeń zainknał ciśnie, zbliżał się do Byrona o tyle, o ile własna jego, nieukładająca się w życiu doczesnem do krain wysnionych tęskniąca dusza w pokrewne go parła dziedziny. Byrona przypominał, może się z nim nawet w pewnych uczuciach schodził, lecz nie ulegał mu, odeń się nie uzależniał, duchem nie zapożyczał. Własny bowiem nieukojonny duch wystarczającą był mu legitymacją przypisywanego mu byronizmu. Zeń czerpał może cechy jego zewnętrzne, w oczy bijące efekty, całą tę korę od innych, byronskie wyróżniające postaci, duchem je jednak wyposażał własnem i własnym smutkiem żywił. Nietylko w naturze swojej, ale nawet i w życiu miał dostateczne onego smutku powody. Kogokolwiek bowiem ukochał, czy się doń tylko zbliżył — tracił go na zawsze: jedyny przyjaciel zgiął samobójczą śmiercią, Ludka uczuć jego podzielić nie mogła — odeszła. Osamotnienie wznagało się przeświadczeniem, iż stworzonym jest on jedynie „do życia mnisiego“. „Wszystkie przyjemności życia mijają mnie i obchodzą kołem, mówiąc: nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowej marzy“. (List z dn. 24 marca 1832 r.). Poeta, który widział się „sam jeden na świata przestrzeni“ — ujrzał się był i w Warszawie pośród „nieznanych serc“ — „sam jeden w tym obcym mu tłumie, w którym nikt jego myśli, serca nie zrozumie“ („Matka do syna“. Dzieła I., 15). Czuł tedy wyraźną potrzebę samotności, której długie godziny trawił, „leżąc na sofie“, na marzenia „o różnych poematach“. Rozbudzona twórczość poetycka nagliła wyobraźnię do coraz to nowych pomysłów, a te, zrodzone w czasie, kiedy tragiczne poczucie niemożności dostrojenia do otaczającego go ła tak bardzo było wyostrzone, rzecz zrozumiała, jeden bardziej od drugiego odgłosem był owej wysoce tragicznej rozterki duchowej.

W tym tedy okresie — wstępnym — przeważa według subtelnego rozróżnienia St. Majkowskiego ²⁾ zajęcie się Słowackiego jednostką dla jednostki. Szereg cały z tej epoki pochodzących utworów: „Szanfary“, „Hugo“, „Mnich“, „Arab“ — to z ducha poc-

¹⁾ Chlebowski, l. c.

²⁾ Stanisław Majkowski. Anelli Słowackiego w świetle najnowszych badań krytyczno-literackich. Sprawozdanie Dyrekcji c. k. Gimnazjum VI, we Lwowie za rok szkolny 1908-9.

ty, jego tchnieniem tragicznem owionięte postaci. Odbijają się w nich przejrzyście osobiste przeżycia Słowackiego, przydając tragicznemu ich na świat wejrzaniu jaskrawszych tonów: mściwości i nienawiści. Serca ich, jak koralu gałązki:

„Szukając wsparcia przyłgnęły do skały,
wśród zimnych głazów wiecznie czuciem drżące
pośród kamieni, same skamieniały“.

(„Szanfary“ 272—274).

Wielekroć razy wskazywano na sztuczność uczuć, w jakie się wtedy właśnie przy tworzeniu onych „kopii byrońskich“ przystrajał jakoby Słowacki. Czyż istotnie podkład uczuciowy poety naówczas był sztuczny? Czy w charakterze samego twórcy, który szczerością i bezpośredniością od pierwszych już wierszy zadziwiał, nie znajdujemy tłumaczącego tę „sztuczność“ odpowiednika? Słowacki, od wczesnych lat pokłócony był z życiem, nie dlatego, by ono specjalną mu było udręką, jeno z racyi, iż się poprostu obcy czuł życiu, odeń dalekim, że indygenat miał rozleglejszych krain—marzenia, które właściwą było ducha jego ojczyzną, że powłoka rzeczywistości, którą tylko znosił, ale do której nigdy nie przywykł, bo zbyt go często i zbyt boleśnie raniła dla ducha jego schronem była tylko czasowym, postojem po drodze ku innym światom: ...„ja zawsze taki sam. Ciągłe układam kamyki na własny grobowiec, a życie puszczam mimo siebie“... (List z dn. 24 marca 1834 r.). Wszystko tedy co z życia było—było mu obce, a jeśli wpoprzek mu stawało i nienawistne. A ponieważ wówczas jeszcze nie był sobie poeta wyraźnie stosunku swego do życia uświadomił, tedy skarżył się i cierpiał. Skarżył się na osamotnienie, ilekolwiek obcej rzeczywistości unykał i cierpiał z powodu razów, których mu jednak, ku życiu zwracającemu się, ono nie szczędziło. I to obijanie się męką dlań było, źródłem nigdy nie ukojonego tragizmu.

Tragizm tedy życia Słowackiego tłumaczy pośredniość jego do tegoż życia stosunku. I pośredniość uczuć. Ilekroć razy życie to budzi w sercu poety uczucia—mają one w sobie wysoce indywidualny ton i sobie właściwe zabarwienie. Płyną one nie z bezpośredniego oddania się życiu i jego sprawom, lecz wpływem są imaginacyjnego doń stosunku:

„Żałować mnie będziecie — spowiada się poeta w liście do matki z dnia 26 maja 1832 r.—że nie mam żadnych przyjemności uczuć, tylko przyjemność wrażeń“. I ludzi i losy ich nie takimi

brat jakieni były, jeno jakieni mu się wydały z oddalenia. Nie znaczy to wcale, aby poeta uczucia swoje przetapiał przez filtr spekulacji—przeciwnie: wtedy dopiero, kiedy obchodzącą go rzeczywistość przeniósł był w swoje światy, rosła w nim i potężniała wrodzona uczuciowość i tonem jego duszy pierwszym była, niemilkącym: ...„blade uczuć dziecko—mówi o sobie poeta w „Godzinie myśli”—niechaj przecuciem szuka zakrytego świata, to potem wiele dawnych marzeń stanie przed nim i ujrzy je zmysłami“...

Do czasu, kiedy poeta przebywał z rodziną w Wilnie, czy Krzemieńcu, zajęty wyłącznie sobą, gdy jeszcze z dziecka nie wyrósł w młodzieńca, codzienność obcowania z ludźmi i miejscem wytwarza w nim pewien odruch niechęci i nudy. Zmuszony do nieustannego, prozą powszedniości przenikniętego stykania się z wiecznie tymi samymi objawami prowincjonalnego życia, uczuwał potrzebę pewnego oddalenia się, pewnego dystansu, nie jako retrospekcyi w odniesieniu do otoczenia. Potrzeba ta wynikała z natury jego odczuwania pośredniego. Wyrwać się tedy pragnie z domu, gdzie się właśnie „uczył wszystko w sobie zamykać i łyżę pożerać w milczeniu“, być samotnym, z własnymi tylko sam na sam myślami. A gdy się już był znalazł w Warszawie pośród „nieznanych serc“, kiedy pewien czasu przedział ubarwił mu całą beztroskę pacholęcych dni, kiedy ludzie i miejsca, i czasy, zbywszy powszedniości, zniewolą sobie serce jego tęsknotą, szepnąć pocznie poeta, niepomny dawnej niechęci i nudy:

„Choć myślą wracaj w ojczyste krainy
i przenieś się na łono kochanej rodziny,
przypomnij dom, gdzie lata spędziłeś dziecinne“...

Matka, o której w „Pamiętniku“ wyraża się poeta, iż dręczy go, płacząc, że skargi jej nudzą go, a jej marzenie o wspólnej za granicę podróży jemu niemiłe—taż matka

...„która zniosła smutek rozłączenia,
czyliż także nie zyska miłości wspomnienia?“

(„Matka do syna“. Dzieła I, 15).

Odtąd, skazany na przymusowy rozdział ze wszystkimi i ze wszystkim, co w sercu wzbudziło tęsknotę, coraz uporniej wracać będzie sercem i myślą do swoich: „Szczęśliwy, kto nigdy z oczów komina ojcowskiego nie straci, kto jak liść uwiędły padnie u stóp drzewa, na którym wyrósł“ (List z dn. 22 września

1833 r.). Lecz kiedy po latach spędzać będzie we Włoszech czas pewien z Januszewskimi, osobiste to zetknięcie znów go od nich odtrąci: „Filowie wyjeżdżają... może rozżaleni na mnie, że nie byłem takim, jakim być należało. Czuję i cierpię nad tem“... (List z dnia 28 maja 1836 r.).

Z tej też pośredniości w odczuwaniu przez poetę zdarzeń rzeczywistości wyrósł jego patriotyzm. Młodzieńcze lata poety wypadły na chwilę, niezwykle w historii narodu naszego ważną. Upadek Księstwa, wytworzenie nowej konfiguracji prawno-państwowej—Królestwa, wzrost narodowych oczekiwań i razem ich szybki, do zera chylący się upadek, okres nieustannego wrzenia, gotującego noc 29 listopada—wszystko to było wysoce plennym posiewem dla duszy wrażliwego dziecka. Posiew ten jednakże później dopiero właściwe wyda owoce. Duch poety nasiąkał wrażeniami otoczenia i środowiska, przetwarzał je na swoją modłę, doskonalił, ażeby później z wieszczą je siłą odtworzyć. Owoczesna dni rewolucyjnych atmosfera stolicy nie mogła nie wywołać w sercu poety znaczniejszego poruszenia.

Dwudziestoletni chłopiec, pogrążony w rozpamiętywaniu o niecodzienności swego losu, wychowany zdala od sprzysiężeń i spisków, obcy, chociażby temu niezwykle podniosłemu tętnu, jakim biło studenckie życie Mickiewicza—znalazł się w rozgorączkowanej nadciągającą burzą listopada w Warszawie, w środowisku gorejących głów i lawą wzbierających nadziei przepętlonych serc. Tragedya, do jakiej gotował się naród cały, zabiła w nim na moment tragedję osobistą. Zespolic się pragnął z poczynającą się walką, walki tej wszystkie miecze we własne wgłębić serce i pieśń-pobudkę dźwigającej się Polsce wyśpiewać. Z siedmiostrunnej lutni zerwał tedy poeta dwie struny weselne i drugie dwie „co sto tysięcy wyrazów słodkich, miłych, miłosnych umiały i usnąć smutne serce umiały najprędzej“ i zerwał dwie trzecie, powtarzające słyszany dokoła płacz, aż pozostała „jedna“, ta, co teraz woła:

O! wy, co w prochu myśli maciecie i serca,
z tych sere otrzyjecie rdzę — podnieście czoła!

(„Ułamki“. Dzieła I, 59).

„Oda do wolności“, „Hymn“, „Kulig“, „Pieśń legionu litewskiego“ — rozsławiają na moment sięgającego po laury tyrteuszowe poetę. I w chwili właśnie, kiedy obudzony, zda się, do życia poeta wszedł w nie i z nim się pragnie zespolic, okrutna rzeczy-

wistość, która tyle już dotkliwych wymierzyła mu klęsk, jak obuchem uderzyła weń enuncyacją Lelewela. Jak kwiat mimozy, drżące swe listki, stulający w kielich, jak urażony ślimak w małżowinę, skrył się poeta w swój własny świat. 8-go marca 1831 r., a więc w najbardziej rozgorzałej chwili, opuszcza Warszawę, kierując się drogą na Wrocław. „Dopełniając woli kochanej mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się, wyjeżdżam zagranicę“—donosił w liście z dn. 17 marca 1831 r.¹⁾ i spędzony tak brutalnie z progów życia, do którego się rwać począł, snuć będzie dalej wątek przerwanych odczuć. Pod wpływem odgłosów rozgrywającej się obocznie walki, klóci się poeta z własnym sumieniem. Najdrobniejszy jej szczegół w targanej duszy młodzieńca budzi bolesne wyrzuty. Wojażując po Europie, upornie wraca myślą na pola, oroszone krwią, na ziemi, mającą stać się „krajną mogiłą i krzyżów“. Raz po raz zrywają mu się z ust słowa gotowości do czynu, lecz rychło gasną w przyrodzonej niemocy. Śmierć wuja na polu walki wywołuje w nim uczucie zazdrości,²⁾ w przerażającej dlań prawdzie, jawiąc beztreściwość własnego życia. Budzi się w nim chęć dokonania ofiary ze siebie samego

1) Wyjazd poety w decydującej chwili z Warszawy przytaczany jest zazwyczaj na świadectwo krzywdzącej poetę, zdaniem naszym, opinii nieomal tchórzostwa. Powyższe wyznanie Słowackiego w liście do matki ma słuszność owej opinii nieodwołalnie rozstrzygać. Czyżby w istocie tak było? Słowa te „aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się“ (wola matki) ani są „naiwną“ spowiedzią młodzieńca, jak twierdzi prof. Grabowski, boby spowiedź taką nie naiwną, lecz raczej cyniczną wypadło nazwać, zwłaszcza po patryotycznej liryce warszawskiej, ani też tem mniej telną tym cynizmem rozpieszczonego jedynaka, co znów upatruje prof. Tretiak. „Chęć“ poety wpływa nie ze źródeł obawy przed rewolucją, bo dlaczego w takim razie nie opuścił Warszawy wcześniej, przed wybuchem, jeno była naturalnem pragnieniem wyrwania się ze środowiska, które po ogłoszeniu broszury Lelewela nie bardzo serdeczne musiało być dla Słowackiego. A że go to bolało, że wyrwać się zeń coprędzej pragnął i jak najdalej uciec—coż w tem dziwnego? Pewnie, że winien był wznieść się ponad chwilowe przykrości osobiste i hańbę ojczyzna własną zmyć ofiarą... Po latach odpowie poeta matce Makrynie: „Godności nie mam, przed męką uciekłem“, wyznanie to pozornie tylko z naszym tłómaczeniem się klóci, albowiem 1) mówi ono tylko o powinności, która bezwarunkowo dyktowała poecie pozostać i 2) nie przeczy jednak możliwości odruchu, jaki niezależnie od „powinności“ miał być miejsce, co stwierdzają towarzyszące odruchowi temu okoliczności i cała ówczesna psychologia poety.

2) List z dn. 24 stycznia 1832 r.

(„może Bóg pozwoli mi skonać, jak skonali inni“. ¹⁾ Poczęta wtedy praca ducha, sycona obrazami upadającej ojczyzny, wzmoże się ziarnami pokrewnych wpływów środowiska. Zabłąka się w te dni dawna, na pałacowym dziedzińcu Tulczyzna urodzona myśl, klnąca te czasy, w których „mieszkanie zdrajcy było mieszkaniem pierwszego poety“. ²⁾ I wierzyć pocznie już wtedy, w dzieciństwie, że wypadki życia poety „winny być czyste i wznoszące duszę“. Jest to na mgnienie oka błysk białej anhellicznej szaty, jest to zapowiedź dokonanego po latach cudu—przetworzenia własnej duchowości na mocny, na rycerski ton. Osiałszy na stałe w Paryżu znajdzie poeta dla tej pracy odpowiednie tło. Nie ulegać mu będzie, lecz pełną dłońią zbierać zeń karm dla olbrzymiej duszy. Tłumy wychodźców, ciągnące w kraje cudze legionem pokonanym, z szarów bojowych nie ostygłe jeszcze, w oczach własnych i z eutuzyzmem witającej ich Europy, opromienione bohaterstwem czynu, wydadzą się poecie hufcem ofiarnym bojowników, budząc w nim przygasłe już nieco wyrzuty. Na takim podłożu, w ciągłym, codziennym obcowaniu, w podniecającej atmosferze dokonanego poświęcenia siebie, jaskrawiej wystąpi męcząca Słowackiego myśl o własnym bezczyniu.

Wszystkie te, rosnące w nim uczucia, którym tak niedawno obcym był zupełnie, wzbierają w nim z dnia na dzień potężniejącą falą.

W duchowym tym procesie poety godnym zastanowienia jest fakt, że istotnie głębokim tym uczuciom, brak było gruntu rzeczywistości, któraby wywołała je takimi, jakimi były. Nie zrodziło ich „dziś“, bo od tego „dziś“ dalekim był poeta, lecz „wczoraj“ i „jutro“ narodu. Pośredniość w odbieraniu wrażeń nie mści się jednak u Słowackiego na ich głębi, owszem, wsparta o genialną intuicyę, daje złudzenie przeżycia. W świecie imaginacyi czuje się poeta panem, jak w swoim przyrodzonym władztwie. Tego tylko wymiaru czyny tkwały duchowi jego „płaszcz niewyżebnany“. Nie mogąc inaczej, tą drogą myśli odkupić zaciągnięty u ojczyzny dług, dla niej pracować, dla chwały jej imienia tworzyć. Wiedział, iż jest poetą pierwszorzędnym, nie-

¹⁾ „Babuniu droga i dziaduniu... możecie być dumni z waszego syna (Jana Januszewskiego, który był zginął w powstaniu), który tak skończył jakbym ja kiedyś życie chciał zakończyć; i przyjdzie jeszcze chwila“.
(List z dn. 24 stycznia 1832 r.).

²⁾ „Pamiętnik z lat 1817—1829“.

równie, o wiele głów przerastającym współczesnych sobie, a tak przecież licznych pieśniarzy, że mu się słusznie wśród nich jedno z najpierwszych miejsc należy, a że służbę swą narodowi w ten sposób pojmował i w ten tylko sposób—pieśnią—potrafił mu służyć, tworzył, bo tworzyć musiał, by narodowi chwały przyczynić. Śpiewał jednak „pustemu morza brzegowi“. Słuchaczów miał głuchych, posiadał senne królestwa. Głos jego pieśni nie obudził echa. „Niezachęcony pochwałami, niezabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę otchłań milcząca, która pierwsze połknęła“...—skarży się poeta w przedmowie do trzeciego tomu swych poezyi. ¹⁾ Wydając pierwsze dwa tomy, nieuświadomił bowiem sobie jeszcze wówczas, iż są one „bez duszy“, iż, jak zwykle, nie szedł w nich ręka w rękę z życiem, tak dalece odległe mierzając drogi, że innym ku temuż życiu zagadał językiem: „Pokazałem się... po raz pierwszy jako artysta ludziom, którzy bynajmniej o artystowstwie nie myśleli... ważną i okropną tragedją rzeczywistą zajęci“. ²⁾ I w tem rozminięciu się z chwilą bodaj czy nie najboleśniejczy tych lat mieści się tragizm poety. Być nierozumianym! Wkładać w poezye, której się jest kapłanem, całego siebie, za służbę ojczyźnie ją mając, ³⁾ równie dobrą, jak inne i echa i zrozumienia tej służby nie znaleźć! Być odtrącanym i pomijanym przez życie, które, darzone obojętnością, tem samem się wypłacało pocię — to los tragiczny każdego duchem ponad to życie wyrastającego człowieka. I, jak nie było poza to jego umykanie rzeczywistości, tak równie i przypominanie się jej i cierpka na jej obojętność skarga — świadectwem jeno jest odbywającej się w duszy Słowackiego walki na tle wyolbrzymionego kontrastu ducha poety z codziennem życiem. ⁴⁾ Wydając tom trzeci w Paryżu, przejęty kurzawą niedawnych walk w ojczyźnie i świeżych od zgonionego wychodźstwa wrażeń, pocznie już poj-

¹⁾ Dzieła X., 54.

²⁾ Przedmowa do trzeciego wydania poezyi. Paryż 1833 ibd.

³⁾ „...Przez ośm lat pracowałem bez żadnej zachęty dla narodu... aby literaturę naszą, ile jest w mojej mocy, silniejszą i trudniejszą do złamania wiehrom północnym uczynić“. („Kilka słów odpowiedzi na artykuł p. Z. K.“ Dzieła X., 59).

⁴⁾ „...Krytyk... dotknął najgłębszej struny sumienia mego zapytaniem: dlaczego, pomimo wytworności kształtów, poezye moje tak mało mają odgłosu w Polsce. Jest to dla poety *to be or not to be*, nad którym ja, jak Hamlet rozmyślam..., a którego rozwiązanie Bóg zapewne grobowi mojemu zostawi“. (Kilka słów odpowiedzi, l. c.).

mować Słowacki, iż raczej przystoi mu być minstrelem narodu, przy łożu jego śmiertelnem wieszczącym zmartwychwstanie (Przedmowa do III wydania poezyi), że rycerzem mu być tej „nadpowietrznej walki, która się o narodowość naszą toczy“ i pieśniarzem, który uczynić winien „z Polski nazwiska pacierz co płacze i piorun, co błyska“... On, który dzieckiem będąc, modlił się o sławę, choćby po śmierci, na pogardzane, niepoznane, najmieszczęśliwsze godząc się życie¹⁾—teraz o innej sławie zamarzy²⁾; w smutku, w jakim pędzi swe dni „czuje jakąś pociechę, myśląc, że młodość (jego) nie jest zupełnie stracona dla dobra ojczyzny“. Zawsze jeszcze uważając „teraźniejszość za czas czyścicowej próby“, dąży do pogodzenia się ze swoim stosunkiem do życia: „wszystkie moje nauki i książki, których używam, zmierzają do tego, abym w sobie filozoficzną piękność moralną utworzył. Dotąd już tyle w nauce tej postąpiłem, że czuję w sobie jakąś spokojność, natchniętą przez godność natury człowieka (List z dnia 27-go kwietnia 1834 r.). Opanowywać go poczyna pewnością pełna i ukojenia cicha rezygnacya: „Żyję, jak kwiat na jednym miejscu tą samą rosą i tem samym słońcem, dziś, jak wczoraj, jutro, jak dzisiaj... jedyna myśl mnie pociesza teraz w życiu: oto zdaje mi się, że jestem tem, czem być powinienem, zdaje mi się, że nie minął mojego powołania, że zapełniam sobą jedną małą kratkę na świecie“... (List z dnia 13 lipca 1834 r.). W samotnej ciszy genewskiej, zdala od waru paryskiego życia, upodabnia się poeta do śpiącego spokojnie w głębi róży zielonego żuka: „zdaje mi się, że on ma teraz los podobny do mnie, który spoczywam cicho w głębi pięknego, szwajcarskiego ogrodu“... (List z dnia 23 sierpnia 1833 r.).

Po latach burzy i szamotań się, nienawistnych ku ludziom odruchów, byrońskiej mściwości i nieukojonej rozpacz—gdy żył wśród ludzi, ucisza się poeta i odnajduje siebie w samotnych rozmyślaniach. Już mu i ludzie nie ciężą, zatęskni nawet czasem do nich, bo go nie ranią dalecy.³⁾ W skupieniu, pełnem melan-

¹⁾ „Pamiętnik“.

²⁾ ...„Sławy nie dla mnie, lecz dla mojej biednej kuzynki (Polski) pragnę“. (List z dn. 22 września 1833 r.).

³⁾ Wyjście w świat III części „Dziadów“ odtrąciło Słowackiego po raz wtóry od bezpośredniego stosunku z ówczesnym jego paryskim środowiskiem. Nie będąc głównym, jedynym powodem opuszczenia Paryża (por. „Sprawa medalowa“ przez Wł. Kłyszewskiego, „Bibl. Warsz.“ I, 1907), wystąpienie Mickiewicza boleśniej może nawet, aniżeli to pierwsze, Lelewela, dotknęło

cholíjnej zadumy „nie tej wszakże, która kamieniem jest ludzi topiących się, lecz która z mocy, skrzydłem jest wysokich ludzi“—snuje poeta przedzę swych przeobrażeń. Po nieudanej próbie zidentyfikowania się z masą w patryotycznych utworach warszawskich, wchodzi poeta w fazę twórczości, której naczelnem zagadnieniem będzie stosunek jednostki do masy. Zagadnienie to wpływało z głębin poetyckiego usposobienia Juliusza i z jego charakteru. Było też ono rezultatem tego doskonalenia się, przez jakie był przeszedł poeta dotychczas. Pochodzący z tej epoki „Kordyan“, będąc w dużej mierze odtworzeniem własnych przeżyć, pierwszorzędnego dostarcza materiału dla ujawnienia w całej pełni tragicznych doznań poety. Stosunek jego do świata, dosadny i niezwykle wyrazisty, w samej już koncepcji, znalazł był swój wyraz.

Przeszedłszy drogę codziennych udręk życie odnalazł „w powietrza błękanie“ i ożył. W monologu na szczycie Mont-Blanc, będącym swego rodzaju i na swój sposób pojętą improwizacją, Słowacki oręduje, nie jak Konrad za wszystkich, jeno dla wszystkich i to ponoć najwালniejsze jego od twórcy „Dziadów“ odróżnienie.

„Ludzi znać nie chcę, lecz niech się obeznam
Z ziemią piastunką ludzi!..“

(Akt III, scena 8).

A cały ten monolog aktu III, sceny 8-ej:

„Spłyńcie się teraz w jednej myślnej chmurze
Wszystkie sny marzeń latające błędnie!“..“

(Dziela V, w. 947 i nst.).

— dokumentem jest owej, według Krasíńskiego“ siły odwcielań i zaprzeczeń“, która pierwszym jest warunkiem tragicznego losu.

„Kordyan“ przeto, mimo, iż dziełem jest lat dojrzałych i przemyślanych, że powstał z ducha twórcy nieustannie wzwyż doskonalącego się, dlatego tylko, że utworem jest „autopsychograficznym, poświęconym problematowi splatającego się boleśnie

poetę, dosięgło go bowiem w momencie, kiedy był się w nim odbył już porachunek z tą chwilą i w którym na wszystko, co z nią było związane, specjalnie był on wrażliwy. Pominąwszy już tedy wzgląd na pamięć męża umiłowanej matki, poeta, w postaci „Doktora“, jakby raz drugi przeżył owe dni, które go wówczas wygnały z Warszawy.

stosunku jednostki do masy“, ¹⁾—z tych samych pokładów duszy wyrasta, co i bohaterowie wstępnego okresu twórczości. Jak tanci, bunt nosi w sercu, a w oczach beznadziejny smutek.

Ucieknie tedy poeta w „nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny“ (List z dnia 18 grudnia 1834 r.). W nim poczuje się sobą. „Wychodzi na świat Balladyna... obdarzona wewnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie“. ²⁾ Ucieczką tą w kraj baśni, w kraj nierzeczywistych zdarzeń, raz jeszcze stwierdzi poeta obcość swą życiu i niemożność pogodzenia z nim swych dróg.

Pograży się tedy najzupełniej w fantastycznym świecie legend, gdzie otoczą go „ciżbą gwarzącą różne cienie ludzi niebyłych, wyszłych z mgły przedstworzenia“. (Dedykacya „Balladyny“).

III.

„Niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy... jeżeli to wszystko—powiada w Dedykacyi „Balladyny“ poeta o osobach i położeniach w tragedyi—ma wewnętrzną siłę żywota, jeżeli stworzyło się w głowie poety podług praw Boskich, jeżeli natchnienie nie było gorączką, ale skutkiem tej dziwnej władzy, która szepcze do ucha nigdy wprzód nie słyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy, we śnie nawet nie widziane istoty, jeżeli instynkt poetyczny lepszym był od rozsądku, który nieraz tę lub ową rzecz potępił: to Balladyna wbrew rozwadze i historyi zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błysnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości“.

Wyznanie powyższe Słowackiego odnieść należy nietylko do tej poszczególnej tragedyi—jest ono jego poetyckiem „credo“. Chlebowski, określa je, jako „wyzwolenie twórcy-poety nietylko z wszelkiej zależności od reguł i wzorów literackich, ale od rzeczywistości, od praw fizycznych, prawdy dziejowej, z zachowaniem tylko prawdy psychologicznej, ograniczonej tylko do uczuć i wyobraźni. A więc — konkluduje — w „Balladynie“ nie trzeba

¹⁾ Majkowski, l. c.

²⁾ Dedykacya „Balladyny“.

szukać tragedyi“...¹⁾ Twierdzenie to zasłużonego badacza dziejów literatury naszej, wydaje się nam i niesłuszne i na niczem nie oparte. Przeciwnie bowiem, jeśli gdzie u Słowackiego w okresie twórczości poprzedzającym podróż do Ziemi św., to przedewszystkiem w „Balladynie“ szukać należy tragedyi. Jeśli gdzie sięga ona nieraz wyżyn klasycznych, to właśnie w tej, wskrós tragicznym losem wyposażonej przez poetę, heroinie nadgoplańskiego świata czarów i baśni. „Ze wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgowica urodziła — pisze poeta w liście do matki dnia 18 grudnia 1834 roku—tragedya ta jest najlepsza“.

I miał słuszność Słowacki.

Mimo wszystkich wad, jakie posiada „Balladyna“, przez wyraźne postawienie i konsekwentne przeprowadzenie tragicznego problemu w szeregu osób i sytuacji — stanowczo wyróżnia się z dotychczasowych jego utworów.

Mając na uwadze „kompozycyjne“ niejako błędy twórcy-tragika, o których mówiliśmy powyżej²⁾ i cechy tragizmu, które we wstępnych uwagach niniejszej rozprawy staraliśmy się wydatnić, łącno dojdziemy, iż w „Balladynie“ wrodzone Słowackiemu tragiczne ujęcie życiowych powikłań dosadny bardzo swój wyraz znalazło. Stosując do tej tragedyi wysnutą definicyę tragizmu: istnienie absolutnej wolności czynu z absolutną koniecznością ku nieuchronnej wiodącą katastrofie, odnajdziemy klucz do zrozumienia, gdzie i w czym objawia się tragizm zarówno samej „Balladyny“, jak i innych osób, biorących udział w tragedyi.

Nigdy i nigdzie nie jest powiedziane, aby materiałem, z którego poeta czerpie swój wątek tragiczny, miała być koniecznie rzeczywistość. Odmawianie tedy „Balladynie“ znamion tragedyi na tej tylko zasadzie, jak to, obok Chlebowskiego czyni i prof. Grabowski, iż jest ona dramatem *fantastycznym* — jest po prostu nieporozumieniem. Cóż to bowiem jest t. zw. dramat fantastyczny i czym się on od dramatu rzeczywistości odróżnia? Jeden tylko znany zasadniczy warunek wszelkich dramatycznych sytuacji czy się one dzieją w świecie fantazyi, czy rzeczywistości—to konflikt. Bez niego niemasz dramatu, z nim, gdziekolwiekby się działo, jest nim zawsze.

¹⁾ Słowacki Juliusz. Opracował Bronisław Chlebowski. Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Tom IV. Warszawa, 1908.

²⁾ Str. 25 i nst.

W „Balladynie“ pełne odczuwanie tragicznej grozy traci jakoby swą moc przez splątanie feeryi ze światem „ludzkich czynów“.

Goplana i wszystek jej świat czarów jest niewątpliwie logicznie zupełnie zrozumiałym wstrętem; działania jej i kierunek tych działań w strukturze scenicznego pomysłu mają swoje wytłómaczenie i swój cel. *Sytuacyjnie* bowiem, feerya w „Balladynie“ jest organiczną częścią tragedyi: z niej, z tej feeryi, poczyna się przecież snuć wątek tragicznych położzeń. Miłość Goplany do Grabca i wynikła stąd jej chęć usunięcia niebezpiecznej rywalki—pierwszą jest przyczyną sytuacyjnego objawu tragizmu, żyjącego jednak in potentia w charakterze bohaterów tragedyi:

„co mam potęgi, co nadprzyrodzonej
siły nad światem, to obrócę na to,
aby to serce podbić i mieć mojem“...—woła Goplana.
(Akt I. sc. II. w. 516 i nst.).

I siły tej swojej i potęgi nadprzyrodzonej używa, aby zniewolić jadącego przez most grafa Kirkora do zatrzymania się w nieopodal stojącej chacie ubogiej wdowy i w sercu jego, pragnącym miłości, miłość tę ku Balladynie obudzić. Lecz pomysł ten, tak prosty, przez niewytłómaczoną niezaradność Skierki nie zostaje wykonany. I ta właśnie niezaradność dziwi trochę i zastanawia, odsłania nam bowiem brak konsekwencyi u samego autora. Złe wykonanie przez Skierkę polecenia Goplany spowoduje tragiczną sytuację, w jakiej niebawem ukaże się Balladyna:

„sympatycznymi kwiaty poukraszam
obie dziewice—postanawia Skierka—bo moja królowa
nie powiedziała do której naklonić
serce Kirkora“...

(Akt I. sc. III. w. 647. nst.).

A przecież słyszał rozmowę Goplany z kochankiem o Balladynie, mógł więc i powinien wiedzieć, że Goplanie o nią, nie o Alinę chodzi:

„...czy słyszałeś Skierko
moją rozmowę z kochankiem“?—pyta Goplana.

Skierka:

„nie karz... ciekawość... szczerą moją skrucha,
biały powoju kwiatek uszczknąłem
i końcem różka włożywszy do ucha
słyszałem... przez kwiat“...

(Akt I. sc. str.).

Czemże więc ów niewątpliwy błąd w konstrukcyi tragedyi wytłomaczyć? Jest to posługiwanie się przez Słowackiego działaniem przypadku, który, jak wiemy ¹⁾ nie może być czynnikiem istotnego tragizmu. Rzeczą jest tedy pewną, że, budując nasze odczucie tragizmu na tak chwiejnem podłożu, jak ten konflikt, wynikły z przypadku, musimy przyznać słusność pełnemu myślowej uczciwości zdaniu Chmielowskiego: „Nie możemy wypadków w tragedyi przedstawionych—mówi on—rozważać na seryo, jako objawów życia ludzkiego, lecz patrzymy na nie, jako na genialną igraszkę wielkiego talentu, który swobodnie puścił wodze swojej brylantowej fantazyi i chciał uwydatnić dziwną płataninę spraw świata wogóle, nie dbając o jakiegokolwiek ich usystematyzowanie“. ²⁾

Ale bo też feerya, z której się rodzi tragizm położeń „Balladyny“, ³⁾ jest jej organiczną częścią, lecz, jak podkreśliliśmy, jeno sytuacyjnie. Luźno bardzo związana z właściwą tragedją, zawierającą się wyłącznie w świecie „ludzkich czynów“, dla ewolucyjnego jej biegu w akcji, czynnikiem jest obojętnym. Tragizm Balladyny ujawnia, ale go nie rodzi. On bowiem tkwi w niej samej, żyje w niej, czekając możności objawienia się. Inuemi słowy—zasadniczy konflikt, powodujący moc grozy tragicznej w „Balladynie“, mieści się nie w przypadkowości fantastycznego świata nadgoplańskiej baśni, jeno w samej tkwi Balladynie, w kontraście cech jej charakteru z wyłączającym możność ich rozwinięcia tłem.

W „Balladynie“ rozróżnia się dwie słabo jakoby ze sobą powiązane akcye: jedną ma być usiłowanie wprowadzenia na tron Popiela III, drugą zaś—dzieje samej Balladyny. ⁴⁾ Można się też i trzeciej dopatrzeć: będzie nią właśnie ów feeryczny świat Goplany, Skierki, Chochlika, równie, jak tamte, odmiennym od zasadniczego konfliktu rozwijający się korytem. I znów niesłusznie. Wszystkie te trzy łożyska, któremi rozwija się tragedia, wiąże mocno i spaja posępna postać Balladyny: jej dzieje, ujawnione

¹⁾ Str. 6.

²⁾ *Historia literatury polskiej przez Piotra Chmielowskiego*. T. IV. Warszawa 1910.

³⁾ „Popłatałam ludzkie czyny tak, że Bogu—mścicielowi trzeba wziąć grom i upuścić na ludzkie dzieła i winy“ — mówi Goplana w akcie V, scenie I., w. 39 i nst.

⁴⁾ Grabowski l. c.

w pierwszej, rozwijające się poprzez drugą, w trzeciej „akcji“ osiągnęły swój szczyt i wyłącznie już w niej zapanują.

Jest więc Balladyna postacią naczelną tragedii nie tylko dlatego, że najwięcej tragizmu ujawnia, ale, i to przede wszystkim, z powodu, iż tragizm całego utworu powoduje. Z niej się on rodzi, w niej najbardziej uwydatnia, ona wreszcie działaniem swoim tragizm innych postaci objawia.

Omyłka Skierki—pełna przypadkowości forma objawiania się tragizmu położenia Balladyny pozostanie, jak rzekło się wyżej, konstrukcyjnym błędem Słowackiego, w niczem jednakże nie umniejsza grozy, jaka spływa na nas z postaci Balladyny, która, jeśli nie w ten, to napewno w inny sposób znalazłaby drogę do objawiania wskrószonej tragicznej mocy swego charakteru, z chwilą, kiedyby tylko została wprowadzoną na scenę. Wprowadzona zaś na nią—poczyna żyć. A żyje zbrodnią. One to bowiem—zbrodnie—cechę jej charakteru stanowią najistotniejszą. I już po pierwszej scenie w chacie wdowy, po wstępnej rozmowie córek z matką i zachowaniu się ich wobec nieoczekiwanego uśmiechu losu—widzimy i poznajemy całą przepastną różnicę ich charakterów i ostrzegamy już wyraźnie zarysy konfliktu.

Alina, siostra późniejszej Lilli, biała, jak śnieg, figlarnej pełna pustoty, beztroską czystego sumienia szczęśliwa i jasna, wiecznie uśmiechnięta i pogodna, wierne i czule kochające serce, jak maleńka ptaszyna świergająca radością, mającego się spełnić marzenia, jej, jak kryształ, czystego, dziewiczego serca—pokochała rycerza Kirkora, lecz pragnie na szczęście zarobić. Ale kocha też i matkę, i siostrę miłuje. I kiedy widzi, że Balladyna niezebrawszy malin, zazdrośnie na jej pełen dzbanek pogląda, gotowa jest nawet maliny swe oddać i wyzbyć się swych marzeń, byleby tylko proszono ją o to:

„A kto wie siostrze? gdybyś poprosiła,
pocałowała usteczka Aliny,
możebym dała?... spróbuj, Balladynko“...

(Akt II, sc. I, w. 207 i nst.).

Lecz Balladyna prosić nie umie. Chce wziąć. Więc lęka się siostry swej Alina, bo w oczach jej widzi zbrodnię. Spojona losem z krwawą siostrzycą, Alina musi zginąć. Zbyt wielkim jest kontrast jej z siostrą, aby nie spowodował sytuacyjnego konfliktu. Nie zebrać malin, a więc nie ubiedz siostry nie mogła, bo od niej bardziej była pracowitą i zawsze ją ubiegała w lot. A tu szło jeszcze o narodzoną miłość, której nie znała, a której już

serce swe czyste oddała. Gdy już, jak było do przewidzenia, ubiegła Balladynę, musiała zginać z jej ręki, bo silniejszej stanęła na drodze, bo stała się dla Balladyny jeno tym krwawym progiem, przez który ta, jeśli żyć miała, wejść musi w inny, rozleglejszy świat. Takie, wyłącznością wyboru zaostrenie konfliktu, czynią z Aliny, tej białej gołębiczy, rzuconej na tło naturze jej obcych pragnień Balladyny—postać pełną tragizmu. Konieczność jej śmierci, bo ta ze zderzenia się tych dwu tyle odmiennych natur w dążeniu do jednego celu nieubłaganie wypływa, tragizm ten motywuje i tłumaczy. Po zabójstwie siostry—Balladyna coraz to potężniej wyrasta w oczach naszych, jako postać mocy tragicznej, wstrząsającej.

Z natury zła, próżna, leniwa, wiejska strojnisia, pragnąca tylko używać rozkoszy i samych jeno radości życia zaznawać, nie kochająca nikogo, a przez wszystkich psuta — Balladyna stanowczo wyrasta z opłotków rodzimej zagrody, która ani dla jej charakteru, ani też zwłaszcza dla tajonych planów nie jest odpowiedniem tłem. Takie, jak ona, nie idą spokojnie przez życie. Ich celem zazwyczaj — wyniesienie się i poddanie sobie wszystkich, przez zbrodnię lub bez niej—to jedno. Przyrodzone formy życia za ciasne były Balladynie i wyrwać się z nich za wszelką cenę pragnie, a, gdy zaświtała możliwość, wyrwać się musi. Nie zniosłaby siostry ponad sobą, aniby w chacie pozostała, gdy siostra na zamku osiadzie. Ona grafinią być musi: lekce sobie marzenia matki ważyła, śmiała się z nich i wyszydzała je, lecz gdy zjawi się, zda się, jak sen, możliwość ich realizacyi, staną się one jej własnem dążeniem, jak lont zbrodniczą jej duszę rozpalą pożądaniem. I już nie ulegnie, życiu się nie podda, a los ślepy mocną swą dłońią ku sobie nagiąć potrafi. Przed niczem się nie cofnie, a co jej na drodze stanie—zdepcze, choćby to własna siostra jej była. Balladyna musiała popełnić zbrodnię. Nie jest to bowiem zbrodnia dla zbrodni, ale mus, który jej włożył nóż w ręce i dłońią kierował zabójczą. „Co moje ręce zrobiły“?... woła w przerażeniu po dokonany czynie.

— ...„Któż zabija

Za malin dzbanek siostrę?.. Jeśli z boru
kto tak zapyta?—powiem—ja. Nie mogę
skłamać i powiem: ja“!

(Akt. II. sc. I. w. 229 i nst.).

Słowa te dostatecznie chyba uzasadniają powyższe nasze uwagi na temat zbrodnicy Balladyny: są one wołającym w niej

sumieniem, lecz są też zarazem dowodem, że nie szła ona w las z zinnem wyrachowaniem zabójstwa, że zbrodnię spełniła niejako odruchowo, że, słowem, nie zwykłą jest zbrodniarką, jeno postacią wysoce tragiczną. Krew zamordowanej Aliny przeraża ją, lecz i hartuje zarazem. Uświadomieniem swego przeznaczenia usypia własne sumienie i zyskuje pewność, że jest „zrodzona pod gwiazdą“.

— ...„rozum już przywyknął
do twojej śmierci. Skorobym otarła
krew z mojej ręki... byłabym szczęśliwa“...

(Akt II. sc. I. w. 373 i nast.).

Szczęśliwą jednak nie będzie. Krwi z czoła nie zmyje i nie wybieli rąk. Chcąc ukryć zabójstwo, rozgłosi je sama i nowe zbrodnie wywoła i spełni. Spokoju nie zazna; miota się w walce z przypomnieniem, które jej krwawe rzucać będzie obrazy, jako wyrzut, czy jako karę, nieumiejącą powiązać własnych słów, z których ludzie odczytają zbrodnię. Zdradzi się przed Pustelnikiem i przed Kostrynem odsłoni. Niewinne napomknienia Gralona w sercu jej zbudzą obawy dalszych zdrad. Zabija go tedy, z jednej w drugą grzęzną zbrodnię i wiąże się z Kostrynem. Temu oddaje swe ciało, mężowi łamiąc wiarę. W rozwartą otchłań występku idzie bez namysłu, byleby dalej uciec od zbrodni, tej pierwszej, byleby bezpieczniej ukryć tajemnicę. Matki się własnej wyrzeknie, w noc burzy ją z zamku wypędzi, byleby stracić z oczu najmniej ślad pamięci pokalanych zbrodnią czasów. W koło bez wyjścia się wplącze, pójdzie drogą, na której tylko nowa krew obmyje dawne ślady. Ale ich nie zniszczy. Ponad świat tedy stanąć zapragnie i ponad sprawiedliwość. Karzący miecz prawa w swoje, krwią ociekające umyśli chwycić ręce, by ująć jego pościgu. Sięgnie po koronę Popielów, mordując Grabca. Krwawe swe czoło przysłoni dyademem, a uderzenia wylekłego serca monarszą stłumi purpurą. Wiedziona żądzą zabicia nękających ją nieustannie mar w niej, w tej koronie i panowaniu najpewniejsze od sądów ludzkich znaleźć się spodziewa schronisko.

— ...„Życie
na dwie połowy przecięła korona.
Przeszłość odpadła jak od płytkiej stali“...

(Akt V. sc. IV w. 368 i nast.).

Wszystko tedy, co z tą przeszłością związane—musi być zapomniane, musi przestać istnieć. Losu tego nie ujdzie i Kostryn. Już teraz on raczej przeszkodą być może. Pewniej bowiem kryje popełnione zbrodnie powagą majestatu, aniżeli oddanie i wierność przygodnego ich współnika. I prawdziwie tragiczną i piękną w swej grozie jest scena sądu w królewskiej sali Gniezna. Balladyna „wyższa teraz nad sąd ludu“, dobiegła ostatniej rubieży ratunku. Lecz go nie znalazła. I sądzi własne, przez siebie popełnione zbrodnie.

„Jeśli fałsz wydam—przrzeka—niechaj będzie ze mnie
gniazdo robaków! Niech się ogniem spalę!
Ani mnie ujmie dobroć, ani trwoga,
ani odwiodą ludzie, ani czarci.
Przysięgam sobie samej, w oczach Boga,
być sprawiedliwą*.

(Akt V. sc. IV. w. 392 i nst.).

Sądzi więc siebie i za otrucie Kostryna i za morderstwo Aliny i za pohańbienie matki. Wsparta o poręczę tronu, wie, że już dalej karze nie ujdzie, że tu już kres. Ani zbyt wyniosła, ani też nadto wylękała, pada rażona piorunem. Gdzie ocalenie znaleźć myślała, znalazła śmierć.

Balladyna, mimo szereg cały popełnionych zbrodni, nie jest jednakże typem odstręczającym, typem zbrodniarki. Ze zwykłej wiejskiej dziewczyny, idąc za popędem natury, nabiera wyniosłości tragicznej postaci, gnanej koniecznością występku.

— ...„Na niebie
jest Bóg... Zapomnę, że jest, będę żyła,
jakby nie było Boga*...

(Akt II. sc. I. w. 236 i nst.).

— przrzeka sobie w chwili po dokonaniem zabójstwa Aliny. Nikomu porachunku z win swoich nie złoży, sama za nie odpowiedzialność przyjmie i winy swoje osądzi. A winną jest tyle tylko chyba, że jest sobą, że taką jest obdarzona naturą, której zbrodnia nie celem jest, ale środkiem i nie do rzeczy złych, lecz do rzeczy koniecznych, bo do zużytkowania życiowych predyspozycji. Zabójstwa Aliny dokonała nie z chęci, lecz z musu, który ją na tę zawrotną drogę dalszych koniecznych występków wprowadził. Biegła więc po niej, od dręczącego ją widma pragnąc jak najdalej uciec, skryć chcąc się odeń i o niem zapomnieć.

Lecz w tej ucieczce zagradzające jej drogę kamienie napotka. I znów je musi usunąć, bo ją by one przygniotły. Będąc silną indywidualnością nad sobą nikogo nie zniesie, obok zaś tylko równych. A że życie jej zbrodnią było wypełnione, więc równych w zbrodni. Znosi więc Kostryna, ręka z nim nawet w rękę idąc i szła by dalej, gdyby, jak on, pospolita, dla osobistych tylko korzyści była zbrodniarką. Lecz ją od niego odróżnia sumienie. Ono ją gna poprzez nowe zbrodnie i ściga nieubłagane aż po kres, który ludzi ukojeniem. Ale by ukojenie to było zupełnem, przeszłość żelazem wypalić należy. I ślad najinniejszy zniszczyć. Odciąć ją od życia jednym cięciem miecza, by, jak „połowa jabłka... zgnięła i czarna jadem“ od życia drugiej połowy odpadła. Kostryn więc umrzeć musi, by Balladyna kresu dobiegła. Truje go tedy niedawna kochanka i zbrodni jego powiernica. Pewne więc znamię tragizmu nosi tedy w sobie i ten „syn wisielca“. Jako taki, który dobrowolnie na drodze onej siły niszczącej stanął i jako podległy konieczności śmierci.

Tragiczny też odblask i na Kirkora pada, jak zresztą na wszystkich, losy swe wiążących z losem Balladyny. On, rycerz nieugięty, pogromca fałszu i zbrodni, chrześcijański bojownik o prawdę, wzniosły i szlachetny, naiwnego i prostego serca — ginie z ręki orlicy, którą był mienił łagodną i sobie oddaną gołębicą. Nie ujawniając w samej tragedji świadomości swego położenia, jest niemniej postacią tragiczną już dla kontrastu, jaki w odniesieniu do Balladyny stanowi. I jemu śmierć przeznaczona, bardziej bowiem może nawet, niż kto inny powołany jest do zmierzenia się z potęgą „zła“ on, „dobra“ będąc potęgą. Jego dążenia zaprzeczeniem są dążeń Balladyny, jej świat — mu wrogim. Samo już przeciwstawienie sobie dwu tych, biegunowo odmiennych natur, rodzi nieunikniony konflikt, wywołujący nieuchronny tragizm. Kirkor ginie, bo się poprostu nie da obok Balladyny pomyśleć, bo, siłą kontrastu, jest jej zaprzeczeniem.

Tragicznej grozy pełnym jest równie i los matki—wdowy. Łagodna i cicha, potulna wiejska kobiecina, boleśnie jest targana przez współzycie ze zbrodniczą córką. Ogromu swych przeżyć objąć zrazu nie potrafi. Losowi swemu nie wierzy. Bo spokojnym go i pogodnym mieć chciała i mieć mogła, gdyby nie świat okrucieństw i zbrodni, w który została wplątana.

Świat ten, tyle jej obcy i daleki, na każdym ją kroku rani dotkliwie, aż wreszcie zabija. Tragizm jej położenia wyolbrzymia jeszcze miłość do okrutnej córki. Miłości tej zbyć nie potrafi i wydrzeć jej z serca nie może. Przed królową, pytana, imie-

nia złej córki nie wyjawi, na sądy jej nie skarże. „Ona niewinna”—zaświadczy. I na torturach skona, Bogu oddając ból swój matczyny. Konflikt jej serca z nielitosną rzeczywistością zbyt dla niej był zabójczy i nazbyt bezwzględny. Pozbawiona miłości obydwu swych córek — jedynej w starości ostoi, wygnana przez „złe córczysko“, żarta bólem, skarży się na swój los, lecz nie o zemstę, jeno o litość dla serca swego uprasza. Żale te jednak sądom nie wystarczają, wyroku na córkę żądać od niej będą, więc miłość jej matczyną obrażą. „Świat, który był dla niej pustynią“, wyda się jej na sądzie, tej ostatniej godzinie, z wszelkich jej uczuć wyzutym. Odejdzie tedy z bolesną pewnością, że ludzie serca jej nie rozumieją, jego bólu nie złagodzą, skarg nie ukoją.

„Umarła cicho... A na suchej twarzy
dwa wykopała dołki śmierć kościana
i w obu dołkach stoją łzy“.

(Akt V. sc. IV. w. 569 i nst.).

Tragiczną jest wreszcie poniekąd i Goplana. Postać „innego wymiaru“, wplątana w tragiczną sieć „ludzkich czynów“, przeżywająca je, te czyny, pobudek ich nie rozumie; owładnięta miłością do człowieka, miłością nieodwzajemnioną — cierpi. Duch raczej, nie człowiek, urealnia się w pewnych momentach tragedyi, występując w niej przeciw, jako siła powodująca zniszczenie i zbrodnię. I ta właśnie świadomość udziału swego w poczęciu zbrodni przez Balladynę grozą zdejmując Goplanę i smutną ją czyni. Porzuci swe władztwo nadgoplańskie, na północ „w okropną lejąc krainę“. Wygnania ją przez nią samą wywołana zbrodnia.

„Puszczajcie biedną, wygnaną—żegna się z Choehlikiem i Skierką—
kiedyś wam o mnie zaśpiewa
piosenkę obca ptaszyna,
usiadłszy na gałązce płaczącego drzewa.
Bądźcie zdrowi! moja wina,
że wygnana w północ lecę“.

(Akt V. sc. I. w. 45 i nst.).

„Balladyna“ ze wszystkich utworów Słowackiego za najmniej może oryginalną jest poczytana. „Wszedł w nią — powiada prof. Windakiewicz — cały katalog sztuk Szekspira... Poeta, myśląc balladę Chodźki przerobić na tragedję w oprawie feerycznej, przeczytał do niej najmniej siedem sztuk Szekspira: „Makbeta“, „Ryszarda III“, „Króla Lira“, „Jak wam się to podoba“,

„Ugłaskanie sekutnicy“, „Sen nocy letniej“, „Burzę“. Z wszystkich tych utworów przydał mu się nie ten, to tamten szczegół (do nowej kompozycji“. ¹⁾ I jest to znów tylko połową prawdy.

Nie mamy bynajmniej zamiaru bronić oryginalności pomysłów Słowackiego. W dużej części dadzą się one porównać z podaną powyżej literacką ich parantelą. Ale rodzi się uzasadnione pytanie—czy takie wykazywanie pokrewieństw w czemkolwiek wytłómaczy tajemnicę artystycznego trudu, czy ułatwi zrozumienie, czy zbliży nas do lepszego zdania sobie sprawy z istoty twórczości naszego poety? Nie zapożyczanie pomysłów stanowi przecież o wartości utworu sztuki, jako takiego, lecz jego artystyczne wykonanie. A że ono u Słowackiego zawsze jest świetne i zawsze na miarę najwyższą -- tego chyba dowodzić nie potrzeba..

Nie będziemy więc wchodzić w to, czy i o ile i kogo dana postać z „Balladyny“ przypomina i której postaci Szekspira odpowiada. Nie podejmiemy analizy zagadnień w rodzaju np. czy „Balladynę porównywać należy z Lady Makbet, jak to czyni prof. Małecki, czy z samym Makbetem, co usiłuje wykazać Bromberg-Bytkowski, czy wreszcie z córkami obłąkanego Lira? Nie będziemy mierzyli dystansu, dzielącego Goplanę od Tytanii, a Bottoma od Grabca, Lira od matki wdowy, czy też Kirkora od Lira—to są w każdym razie rzeczy drugorzędne. Ważnem jest tylko to, że każda z postaci „Balladyny“, jakkolwiek znaleźćby mogła prototyp w szekspirowskim świecie, żyje własnym swoim, niezapożyczonym życiem, postacią jest sama dla siebie, nieledwie typem, nie figurą, że wszystkie posiada właściwości, jakich się domagać ma prawo od tworzącego je autora. Słowacki sam zresztą odpowiada na czynione mu jeszcze za życia zarzuty niewolniczego naśladowania cudzych wzorów: „*Ojca zadżumionych*“ chce (p. Z. K.) zrobić naśladowaniem Ugolina, tak właśnie, jak gdyby kto powiedział, że grupa Nioby, tracącej dzieci, jest naśladowaniem posągu Laokona z dwoma synami zjedzonego przez węże“. ²⁾

Specjalnie zaś co się tyczy „Balladyny“ to, jakkolwiek postaci jej przypominają Szekspirowskie, to jednak owiane są tak

¹⁾ Stanisław Windakiewicz. Badania źródłowe nad twórczością Słowackiego. Kraków 1910.

²⁾ Kilka słów odpowiedzi l. c.

odmiennym kolorytem, ¹⁾ wyposażone w tyle od tamtych różne cechy i właściwości, że naprawdę słuszną ma prof. Grabowski, mówiąc: „iż nie mają one posągowych kształtów greckich, ani surowych zarysów szekspirowskich, których dostarczała angielskiemu mistrzowi nudna, gadatliwa, jednostajna kronika Hollingsheda. Mają rysy prawdziwie polskie, ludowe, te rysy nadają czar pierwotności i prostoty całości“. „Poeta—dodaje prof. Grabowski—nie tworzył ani w duchu sofoklesowskim, ani szekspirowskim, ale szczerze i zupełnie własnym, jak wykazuje rozwój dramatycznej akcji“. ²⁾

WŁADYSŁAW KŁYSZEWSKI.

¹⁾ „...do tragedyi własnej stawil zarazem Juliusz teatr, jakoby przenośny, w okładkach, że tak rzekę, książki schowany. Są tam dekoracye z listki rosami mokrych uwite—rzutami pstrego światła ozłacane—malin woni i konwalii pełne. Rozpruj książkę—radzi Norwid—i przeciągnij po stole pionowo karty jej stawiając, a okaże ci się gajów zielonych i chat, i baszt połamanych perspektywa Ojcowskiemu i Pieskowo-skalnemu podobna wąwózowi“. (O Juliuszu Słowackim. Cypryan Kamil Norwid. Wyd. II. Kraków 1909). Do M... S... O Balladynie—(Dodatek).

²⁾ Grabowski l. c.

Generał-major Ziemi Czerskiej.

(Przyczynek do historii powstania narodowego 1794 r.)

W kartkach tych, które są dosłownym wyciągiem z dokumentów archiwum rodzinnego, nie odnajdzie czytelnik żadnych sensacyjnych rewelacji, rzucających nowe światło na ową bolesną, a jednak pełną chwały epokę rozpaczliwych zapasów wielkiego narodu, ani grozy odgrywającego się dramatu, ani opisu rozstrzygających walk lub bohaterskich czynów—lecz tylko z przeszło już wiekowego oddalenia wywołany na chwilę żywy obraz ówczesnej wewnętrznej organizacji wojskowej, usiłowań, zabiegów, obaw codziennych, pracy i myśli nieznanych, a przecież godnych poznania jednostek.

Pisze się i mówi często, iż upadła Polska pod wpływem śmiertelnych zarazków, toczących jej wnętrzości. Tak atoli nie jest. Zapewne, pierwszym warunkiem przyszłej naprawy, to przyznanie się do winy. Więc grzeszyliśmy—oczywiście; grzeszyliśmy zbytnią wybujałością indywidualizmu, brakiem ładu, nieuszanowaniem i niezrozumieniem potrzeby silnej władzy, zapoznaniem idei państwowej, praw dobra publicznego, podporządkowanych pojedynczym porywom patryotyzmu, a nawet prywacie — lecz z tych błędów i niedomagań społeczeństwo wyleczyć się mogło i dotąd może. Rozkładu wśród nas nie było i niema. A dowodem, że po utracie niezawisłości, rozlane po całym świecie nasze siły i soki żywotne, wezbrały wszędzie nawalnością potoku, wybujały nowemi, potężnemi pętami; dowodem jeszcze, że w tym gminie szlacheckim, oskarżonym, iż on to właśnie miał przyprawić o zgubę Ojczyznę—w każdym czasie, a szczególnie w chwilach ostatecznej pozornej zagłady, znajdowali się zawsze mężowie

hartu, czynu i poświęcenia, gotowi nieść tej Ojczyźnie życie i mienie w ofierze, skromni, swych zasług nieświadomi, i w tej obywatelskiej prostocie swojej schodzący do grobu.

Takim to szermierzem dobrej sprawy, zasłużonym synem Ojczyzny, był ten żołnierz z czasów kościuszkowskich, Karol Wodziński, generał-major milicyi narodowej Ziemi Czerskiej. Zajmując się tu tylko jego działalnością wojskową w okresie ostatnich chwil istnienia Rzeczypospolitej, ograniczę się na streszczeniu poprzednich, pamiętniejszych etapów w jego służbie obywatelskiej.

Urodził się w dobrach Wierzbno, na pół drogi między Mińskiem Mazowieckim a Kałuszynem leżących, z ojca Konstantego, podkomorzego Ziemi Liwskiej, i matki Anny ze Świdzińskich, kasztelanki gostyńskiej, jako najmłodszy z licznego, bo z sześciorga synów i dwóch córek składającego się rodzeństwa. Wcześniej poświęcił się sprawom publicznym. Podpisał elekcyę Stanisława Augusta. Trzykrotnie sprawował funkcyę poselskie. Na sejmie 1777 r. wystąpił z memoryałem, mającym na celu przeprowadzenie pewnych zmian i uproszczeń w zarządzie spraw podanych do decyzji Rady Nieustającej. ¹⁾ Król, w tym samym roku, reskryptem imiennym potwierdził mu swoją aprobatą. Witął monarchę na czele delegacyi przy otwarciu kadencyi sejmowej 1785 r. Został mianowany prezesem komisyi do uporządkowania ziemi Nurskiej, komisarzem policyi Obojga Narodów, cześnikiem liwskim w r. 1766, podstolim w r. 1768, podczaszym nurskim w r. 1774, chorążym liwskim w r. 1775, wreszcie w 1785 r. starostą grodowym nurskim, kamieńczykowskim, ostrowskim. W tymże samym roku, już jako starosta, a więc ze zgwałceniem praw, które z urzędu swego strzedz był powinien, dn. 3 lipca w jednym z najdramatyczniejszych spotkań, z których kronika pojedynków zachowuje wspomnienie, dobiegając szóstego krzyżyka, kulą od pistoletu kładzie trupem młodego Jerzego Kownackiego, pisarzewicza ziemi Nurskiej, który był stanął na placu w zastępstwie ojca swego, rzekomo przez starostę znieważonego i skrzywdzonego. Na banicyę i wieżę skazany, Wodziński kary nie odsiedział. Król szczególnym go obdarzający szacunkiem, a w listach swych, mianowicie, w czasie wyborów sejmikowych, często pole-

¹⁾ Ekstrakt Rezolucyi Nay. Pana za zdaniem Rady przy Boku Jego Nieustającej na Memoryał J. W. Wodzińskiego wydany, z Protokołu ekspedycyi *in publicum* wyszłych ad № 22.

gający na doświadczeniu i wziętości wpływowego, zamożnego ziemianina, niebawem go od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił. W dziękczynnym więc adresie do tronu, stosując się do rad monarchicznych, by na przyszłość wrodzoną krewkość i zapalczywość poskramiał, *ut ipse modeste se gerat, rixarum et contentionum occasione non praeberat*. Starosta obiecuje poprawę, lecz tylko w prywatnych swoich stosunkach. W sprawach publicznych, dotyczących dobra Rzeczypospolitej, obrony Ojczyzny, ratowania niepodległości państwowej, krew w nim znówu, mimo zbliżającego się siódmego krzyżyka, jak u młodzieńca zakipi. To też na głos Kościuszki bez wahania opuszcza dziedziectwo, ulubioną Suchę, wśród łąk i lasów nad Pilicą rozłożoną, i pośpiesza do obozu. W końcu kwietnia 1794 r., obejmuje dowództwo nad milicjami narodowymi czterech powiatów: górskiego, wareckiego, grójeckiego i garwolińskiego, z główną kwaterą swoją w Warce. Tu go dopiero w czerwcu dochodzi patent na szarżę generała-majora ziemi Czerskiej. Dokument ten na welinowym arkuszu spisany, opatrzony pieczęcią narodową i charakterystycznym, pięknym podpisem „T. Kościuszko“, w dosłownej swojej osnowie brzmi, jak następuje:¹)

„Tadeusz Kościuszko, Naywyższy Naczelnik siły zbroiney Narodowej. Oznaimię niniejszym listem-Patentem moim wszystkim Obywatelom, wszystkim wyższej y niższej Rangi Wojskowym, wszystkim nakoniec mieszkańcom Ziemi Polskiej, iż ia upewniony o gorliwej chęci bronienia Oyczyzny Obywatela Karola Wodzińskiego, nominuję go generałem-majorom Ziemi Czerskiej Millicyi, dozwalając formowania millicyi Woiewódzkiej ku obronie wolności, całości y niepodległości Rzeczypospolitey, tudzież wybierania i nominowania Officyerów, których ia potwierdzić przyrzekam. Co wszystko Generałom oraz wszystkim wyższej i niższej Rangi wojskowym tak liniowych iako i Woiewódzkich korpusów wiadomo czyniąc przykazuję, aby pomienionego Obywatela Karola Wodzińskiego za aktualnego generała-majora Millicyi Ziemi Czerskiej znano, onemu co do prerogatyw Szarży tey właściwych zadosyć uczynione było, z tym jednak warunkiem, że Generał Major Millicyi Woiewódzkiej, pod kommendę Generała Majora Wojska liniowego póysdz powinien.

„Dan w obozie pod Kozłowem, dnia 15 czerwca 1794 roku.

miejsce pieczęci

T. Kościuszko.“

¹) Zachowałem wszędzie pisownię ówczesną.

Lecz już w miesiącu kwietniu, za przybyciem swym do Warki, zapewne po pierwotnem widzeniu i porozumieniu się z Naczelnikiem, objął Wodziński komendę. Jako generał-majora witają go Skilski, Hauman i Wittenhoff, komendanci pojedynczych oddziałów, i jako swemu zwierzchnikowi, składają raporty. A wszystko prawie pozostaje do stworzenia i zorganizowania.

Pod datą 14 maja kreśli generał dla Komisji Wojskowej tej połaci kraju, powierzonej jego pieczy, ustawę, w pięciu niżej wymienionych punktach:

„*Primo*: Obywatele mieszkańcy powiatów ziechawszy się za obwieszczeniem prześwietney Kommissji swoiey na dzień naznaczony, z ofiary przywiązania swego dla Ojczyzny y dla całości oraz bezpieczeństwa osób y majątków swoich, uformują dwa szwadrony konnicy, to iest, każdy obywatel przybyły, zagrzany patriotyzmem, da ze swoich dworskich zdatnych do koni ludzi, iednego lub dwóch podług możności y w osobnym protokule sporządzonym podpisze się.

„*Secundo*: Takich ludzi obligowany tenże obywatel z ofiary podeimuje się umundurować: kurtka granatowa, lelbik płócienny biały i raytuzy płócienne, para pistoletów, lub ieden pałasz y pika. Iedna torba i płaszcz wtrzosowy biały, giwer skórzany, kar tusze lub ładownice.

„*Tertio*: Na tych wszystkich z ofiary żołnierzy, ma być oddany od właściciela, podług woli obywatelskiej głowa — na rok lub pół roku, iak się najlepiej zdawać będzie.

„*Quarto*: Co do gotowości poddaństwa, spodziewać się należy, przy tyłu uniwersałach nappierwszych J. W. Naczelnika naszego, iako y późniejszych, iż Poddani mają piki po wsiach, a tym bardziej Kommissya porządkowa zarządzi, iżby w każdej wsi, byle za lada iakiem zdarzeniem, Pan czy Ekonom, czy Podstarości, czyli Wójt — z miast — Prezydent albo Rady, mieli swoich ludzi wybranych y z zadaniem aby natychmiast w to miejsce wyruszyli, gdzie im naznaczone będzie.

„*Quinto*: Piechoty tym samym sposobem z ofiary obywateli, iezeli broni nie może dać Kommissya — trzy — tym sposobem umundurowanych: karabin, kapelusz oberznięty, pas z ładunkiem, torba na żywienie.“

Do tej instrukcyi, dołącza generał następujący ordynans:

„Z mocy od Rady zastępczey y Naywyższego Naczelnika siły zbrojney Księstwa Mazowieckiego mi powierzoney, zalecam y obowiązuję dziedziców, possessorów y Wójtów od Przybyszewa aż do miasta Warki, aby wieś iedna drugiey donosiła y na piś-

mie od Księży lub ekonomów wyiednanym, codziennie podawała mi wiadomość, gdzieby się nieprzyjaciel pokazał, lub gdzieby się zbliżała komenda Woyska Polskiego, aby również o oney zawiadomiła. Które to zlecenie aby ściśle wypełnionem było, pod surowością praw Woyskowych nakazuję, ręką własną podpisując: dan w Warce, 12 Maja 1794 r.“

W przewidywaniu lada dzień mogących zejść większych lub mniejszych potyczek, zachowywano wszelką czujność i ostrożność. Skilski, ruchliwy komendant powiatu garwolińskiego, donosi pod datą 14 maja.

„Będąc zagrzany Rewolucją Warszawską wraz z J. P. Nikodemem Domańskim, którey przytomni byliśmy, iż Opatrzność Naywyższego, haniebnie nieprzyziaciela zgromiwszy, natychmiast wyiechaliśmy do powiatu naszego garwolińskiego, a wprzód umówiwszy się z enotliwemi obywatelami w Warszawie, do innych *via cursoria* ziazd oznaymiwszy do Siemnicy dla powstania y uczynienia aktu, na pierwszy dzień Maja, ziechaliśmy się, gdzie obywatele nyczuli i naygorliwsi, osobliwie J. W. Bieliński Pisarz Koronny, J. W. Rudziński Woiewoda Mazowiecki nayuroczyście obywatelów zachęcali, a w przytomności Kommissyi porządkowey, nayprzód niżej podpisanego komendantem obrali i tym czasem ludzi zbroynnych, iakich kto z Obywateli mógł mieć, w komendę moią, 4-go tegoż miesiąca oddali, z którymi w Garwolinie stanąwszy, znalazłem porzuconą armatę nie lawetowaną, z Mińska, dóbr W. Borzęckiego przez JMP. Usarzewskiego Majora wziętą. Tę natychmiast podług moiey zności ulawetowałem, amunicyę przysposobiłem, a tym czasem dla pilnowania brzegów Wisły, J. W. Pan Pisarz Koronny dodał Chłópstwa z kosami y bronią do 500 ludzi, nim nadciągnąłem z całą komendą ochotniczą; gdzie stanąwszy, chłópstwo do gospodarstwa kazałem puścić y około roli pracować, z ostrzeżeniem, narządzone zbroie zawsze z sobą, nawet w swoich robotach aby mieli i tym końcem w różne miejsca patrole porozysłałem dla śledzenia obrotów nieprzyziaciela aż do obozu W. Pułkownika Haumana, regimentu Działyńskiego i do obozu J. W. Grochowskiego, od których listę in originali przesyłam. Przewozy pod Leśniki choć popsute, posprowadzałem i poreperować kazałem. Iako te przewozy będą pilnowane od gromady Leśnickiej. Rewers wzięłem innych gromad dla wygody przewiezienia się woyska y publiczności, tudzież aż pod Górę i Karczew przewozy przeprowadzone. Nadto w Mniszewie, na trakcie od Góry do Gruszczyna przewóz sprowadzić kazałem. Most w Romiszowie na Pilicy popsuty przez Rosyan,

napisawszy do W. Czachorskiego iako dziedzica, aby iak naysprzedzey kazał sporządzić, uprosiłem. Groblę z gruntu zepsuta na gruncie Pilickim, dziedzicznym J. W. Moszyńskiego, natychmiast pod rygorem zreperować kazałem. To wszystko zrobiwszy y wedle woyskowości dopełniwszy w ziemi Nadwiślańskiej, od Góry aż do Tarnówka, w kaźdey wsi po dwóch ludzi w dzień, a w nocy po czterech, za rewersami mi danemi, tak Podstarościch iako y od Wóytów—do pilnowania przeprawy nieprzyjaciela nakazałem iak naysurowiey, a odebrawszy ordynans od Kommissyji Ordynacyjney Porządkowey do Garwolina z komendą ściągnąłem. Ponieważ tym ochotnikom od Obywateli w komendę moją danym, czas wychodzi, dalsze J. W. Komendanta Księstwa Mazowieckiego urzędzenia, oczekiwać będę z nayspilniejszym wykonaniem.

Dn. 10 Maia 1794 r. w Garwolińskim obozie.

Adam Skilski, kommandant siły zbroyney Powiatu Garwolińskiego.“

Nie zawsze jednak duch ofiarności płonął równą gotowością wśród obywatelstwa. Znajdowali się i tacy, którzy utyskiwali, iż odrywając ludzi od roli, kraj naraża się na głód i ruinę; że nie dość, pod pozorem patryotyizmu paradować w nowych mundurach i pobrzękiwać szablą; lepiej stokroć służyć tej Ojczyźnie, uprawiając jej żyzną glebę, aby plonem swym wszystkich nakarmiła. Tak przynajmniej pisze J. M. Pan Zambrzycki, właściciel Ustarowa.

„Jaśnie Wielmożny Starosto! Już Go nie trudnię bytnością swoją, z uf nego zaś względu doświadczonych zawsze łask Jego dla mnie, polecam protekcyi pańskiej mój Ustarów, do którego, iż dla wyprowadzonych mi z domu przez Komissyę komorników i urzędzeń wszystkich tutejszych, wyruszyć nie mogę. Zda mi się, że dobrze o wojnie ale także o żniwach pamiętać. Takich tam potrzeba iednak dyspozycyi do uregulowania ludu do obrony y do Rekruta, niech to J. W. Pan dobrotliwie rozkazuje, tem bardziej w tym czasie, kiedy mi się ten kilkunastoletni sługa Leśnicki za przykładem tylu innych rozhukał y tylko mundurów, szlif, uczt, werbunków samsiedzkich żąda. W przeieździe swym, niech Generał występuje ostro, a porządek iaki potrzebny nakaże—dla potrzeb publicznych, ma się rozumieć, ale y z uszanowaniem prywatnych dogodności. Daruy J. W. Pan śmiałość, że go trudnię. Za ułatwieniem się tu, na zawołanie J. W. Generała pospieszę do Warki. Nogi ściskam. Obowiązany nayniższy sługa: Zambrzycki.

„P. S. O rekrutów których wypadnie czterech, niech Pan zapewni aby to ochotnie wypadło, nie, broń Boże, z krzywdą robot w polu, tobym może coś dostawił.“

Czy J. M. C. p. Zambrzycki mógł „coś dostawić“ bez krzywdy robót w polu? nie potrafilibyśmy powiedzieć. Z pozostałych dokumentów widzimy tylko, iż praca organizacyjna nie ustaje, że najznakomitsi obywatele do niej się przykładają i w niej udział biorą. Tak przynajmniej świadczą dwa listy Wybickiego, na owe czasy członka Komisji porządkowej Województwa Mazowieckiego; kreślone w pośpiechu, pod wrażeniem szarpiących całą istotą duchową, przebytych chwil. W zdaniach to zawiłych, to znów beładnych, wyrazy częstokroć niedokończone, zdają się biedz przed sobą rozpędem łoczących się w sercu i mózgu myśli. Obydwa listy datowane z Warszawy; pierwszy pod dniem 11 maja.

„Mokronowski ¹⁾ — pisze pan Komisarz—nie mogąc bydz tego zdania, aby reszta ziemi naszej odkrytą została, skłonił się do przełożeń moich. Haumann pułkownik dostał ordynans stanąć w okolicach lub u samego Grujca i Zakroczyma aż ku Białej Rawskiej, gdzie tylko zdziczona Kozaków horda pustoszy kraj y pali. Piechota, bowiem, pędzona strachem, aż się pod Łowiczem oparła iak nas zapewniaią. Niezwłocznie zatem zawiadamiam generała naszego, bys przez miłość ziemi w momencie o tem uwiadomić mógł Komissyę. Niech też Komissya raczy np. Pana Mokronowskiego generała, albo kogo drugiego delegować. Wyrozumieć wypada y na piśmie od niego wziąć,²⁾ wiele potrzebuie furazu y wiktu, a to dziennie dla koni y ludzi. Wyrozumieć także aby żądany furaz y prowiant był w proporecyi wielości ludzi y koni: nb.: ta ziemia ma się wiele gości spodziewać naszych. Cokolwiek mu wydanem będzie, na to potrzeba od niego odebrać kwit. Gdyby nad proporecyę żądał y zmieyszyć nie chciał, proszę Generała uledz y dać, ale zaraz tego wierny Raport do Komendanta Głównego y Rady przesłać. Proszę i zaklinam aby mieli wygodę. Znam naszą ziemię. Niech sprawiedliwy rozkład każdego w proporecyi ciąży, a gdy wiem wielość korpusów, nie może bydz ciężarem, przeciwnie ukróci może swawolę nieprzyjaciela. Od Generała zależy, o ile możności, złożyć y zachować nam wojsko, ale też niech obywatel nie ma ucisku. Te patrole co będą zasłaniać Rawskie, niech się tam żywią. Obywatele dadzą chętnie. Rozumiałbym aby razem Komendant Gruiecki Haumann powinien bydz o tem zawiadomionym. U nas tu uciekło przecież. Zaczynam uskutecznić jutro obrony Warszawy projekt, który

¹⁾ Generał-lejtnant, bezpośredni zwierzchnik Wodzińskiego.

²⁾ Niewiadomo kogo mianowicie ma tu Wybicki na myśli: czy Mokronowskiego, ale ten był zwierzchnikiem Wodzińskiego, czy Haumana?

ufam razem zapewni bezpieczeństwo wewnętrzne y spokojność. Wiadomości, w tym momencie, kopertowych nie mamy, ale przyłączam generałowi except z listu wielkiej wagi ¹⁾, który generała pocieszy. Bóg z nami, nie traćmy tylko w nim ufności, a jedność i miłość dobra powszechnego niech wszystkich ożywia. W Gdańsku już wielkie początki do rewolucyi. Generała mego nayniższy sługa, Wybicki.“

Musiął Wodziński podług zwyczaju swego, i jak to stwierdza Wybicki zaraz na wstępie drugiego listu, Komisarzowi Rady Najwyższej, natychmiast odpowiedzieć, lecz brak nam wojskowej korespondencyi Starosty. Znać gromadził tylko ordynansy przez swych zwierzchników, Kościuszkę i Mokronowskiego, jemu wydawane, oraz raporty czterech swoich podwładnych komendantów.

„List Generała—donosi Wybicki—14-go Maia pisany, dzisiaj odebrałem. W teyże chwili przez oficera od Gładyszewskiego, Generał Mokronowski mi donosi, iż gdy z obrotów wypadło maszerować Haumanowi ku Naywyższemu Naczelnikowi, brygadyer Dąbrowski zasłaniać będzie Ziemię Czerską. Niechby wcześniej dla niego furaz był przygotowany. Gładyszewski nieco mylnie maszeruje. Trzeba aby patrole wysyłał po nad Pilicę. Dla komunikacyi nieprzerwanych z Dąbrowskim do Pilicy, trzeba wysłać bezustannie, bo Kościuszko nacierając na nieprzyjaciela, gdyby go miał rozproszyć, ku Pilicy w częściach uciekać będą. Winszuję moiey ziemi w osobie Jego, Generała. Pewny iestem, że ziemia nasza obywatelstwa swego da w tym razie dowody, y tu pewnie wściekły nieprzyjaciel się nie ostanie. Mój Generałe, raczysz donieść Mokronowskiemu, czy się wsie nasze uzbrajają, czy panowie Komendanci powiaty swoje obiechali? Wreszcie, na miłość Oyczyzny, niech Generał baczy, aby Obywatele z zalecenia Komissy, koniecznie zapas zboża mieli y rekruta poczęli oddawać, których komenda Gładyszewskiego powinna do Warszawy. Chciey Generał nieprzerwaną z Komendantami mieć korespondencyę. Niechby wsie iedna od drugiey cursoria ułożyły od granicy Rawskiej dla prędkiej wiadomości o wypadającym Moskwicynie z Pruskiej granicy. Słupy po wsiach czy postawione, na końcu wsi rogatki czy porobione, lud uzbroiony? Naywyższy Naczelnik zapewnie przez ziemię naszą poiedzie. Będzie miał Generał o tem wiadomość, y Zbawicielowi Kraju okażesz wdzięczność, miłość i uszanowanie. Niech Generałowi zdrowie y wszelkie pomyslności sprzyiają, a ia niech za-

¹⁾ Tego listu w papierach służewskich niema.

wsze przyjaźń Jego zaszczyconym będę. Generała mego Dobrodzieia uniżony sługa. Wybicki.“

W tem mieszanu się władzy cywilnej do spraw wojskowych, w tem kierowaniu przez komisarzy operacji militarych z Warszawy, pozostały w ciągu wieków odziedziczone błędy wadliwego ustroju szlacheckiego. Rzecz dziwna, że prawie jednocześnie w rewolucjonizowanym, demokratycznym społeczeństwie francuskim występują, z całą bezwzględnością nadanej im samodzielnej władzy owi osławieni *Commissaires de la Convention*, niezdolnych, podejrzanych, lub wprost, dla przekonań swych, niemiłych wodzów pod nóż gilotyny wysyłający. Różnica ta tylko była, że u nas kontrola powyższa odbywała się, jak to pomiędzy bracią szlachtą, przy pułharze i haśle: „Kochajmy się!“ Zresztą urok Najwyższego Naczelnika, wiara w jego gwiazdę czy taktykę, utrzymywały dotąd wszystkich w upojeniu całkowitego oddania się i ufności. Niestety! nie miał on jednak swoją obecnością rozgrzać serca bojowników Ziemi Czerskiej. Oczekiwany „Zbawiciel“ nie poprowadził szeregów do nowych zwycięstw i ostatecznego wyzwolenia. Spodziewano się go jednak, oglądano się za nim długo w tej prastarej dzielnicy książąt Mazowieckich. Między najruchliwszymi podkomendnymi generała milicyi Ziemi Czerskiej wypada wymienić Haumana, którego niebawem losy miały ponieść aż do Egiptu i tak związać nadal z fortuną przyszłego Cezara, iż osiadłszy we Francyi, stał się w tej nowej Ojczyźnie swojej założycielem z ojca na syna dobrze zasłużonego rodu wojskowego. W randze pułkownika, podpisuje on raport z dnia 13 maja, lecz nazajutrz, kiedy to, jak donosił Wybicki, kazano mu „maszerować ku Naczelnikowi,“ doszła go już widać promocya na generała, bo w tym stopniu podpisuje dalsze odezwy do dawnego swego szefa. Podaję te listy w chronologicznym porządku.

„Miałem honor dnia wczorajszego z Nadarzyna posłać list ¹⁾ do J. W. Pana Dobr. od Rady do niego adresowany, w którym spodziewam się, przymaszerowawszy z kolumną pod Grujec, iż zastanę żywność dla ludzi i koni, lecz po tak znacznym uczynionym marszu (z Rawy) przyciśniony jestem głodem z ludźmi i końmi, gdyż chleba ani owsa nie widzę z kąd na dziś mogę mieć dostarczone; przeto upraszam J. W. Pana Dob., abyś w tym raczył uczynić zarządzenie. Czekam skutecznej odpowiedzi, zo-

¹⁾ Tego listu brak w pozostałym zbiorze archiwalnym.

stając z winnym uszanowaniem J. W. Pana najniższym sługą.
Hauman Pułk.“

A nazajutrz, czternastego maja:

„Za skomunikowaną mi wiadomość, mam honor podziękować J. W. Generałowi, i z kontynuacją tych że upraszam. Ia także te same tu miałem: lecz że też do Przybyszewa sześciu tylko Prusaków wpaść miało i Burmistrza wzięli. Wysłałem podjazd na dotarcie do Nowego-Miasta, z kąd skoro co ważnego się dowiem, nawzajem Go zawiadomię. Pozostaię i t. d.“

Trzeci raport bez daty:

„Przybył tu J. M. P. Withof z paletami, lecz ztąd żadnego jeszcze nie mam donosu. Spodziewam się iednak, że ten moment zbliża się, w którym nieco odżywiemy się. Wiadomości gruntowney z nikąd osiągnąć nie mogę. Tymczasem odbieram baiki. Wyśłałem często na około patrole, ale dostateczney informacyi o Rosyanach nie mam: iedni mówią, że ich obóz pod Rawą, inni zaś, że się przez Pilicę przeprawiaią. J. W. Pan raczysz mi o Pilicy najpewniejsze udzielić uwiadomienia, tak o Rosyanach, iako y o moście; czy jest gdzie most, lub zamiar postawienia takowego?“

Wreszcie, 20-go maja Hauman pisze z obozu Góry pod Biało-brzegami.

„Powziąłem wadomość, że J. W. Pan Dob. obiecałeś się tu swoją bytnością. Życzyłbym sobie aby to dziś jeszcze nastąpić mogło, gdyż mam w ważnych okolicznościach z nim do pomówienia, a inaczey się nie zobaczymy. J. M. P. Januszkiewicz, porucznik, miał tu dzisia y stanać, lecz go nie zastałem. Posełam mu na to ordynans, żeby na całą noc tu maszerował. Jeżeli Wiel. Skilski iest w Warce, najmocniey go proszę, aby także na całą noc z swoją siłą tu przybył, a żałować nie będzie ieżeli to uczyni. Powtarzam moje najmocnieysze prośby, pozostaię i t. d.“

Lecz Skilskiego już w obozie pod Warką nie było. Wysłany został do Siennicy, skąd w wigilię dnia odezwy Haumana, bo 19 maja, następujący Wodzińskiemu składa raport:

„Donoszę J. W. Generałowi, iż Komissya naszego Powiatu Garwolińskiego, głów 134, a tych ludzi, których Obywateli dali na dni osiem, chociaż przeciagnięto do dni 13, kazała Komissya w obecności mojej rozpuścić do swoich Panów. Za tym teraz przy kilku ludziach moich zostaię własnych, bo przyszły szwadron aż dopiero 30 bieżącego miesiąca ma bydź od Obywateli wygotowany i do Garwolina przystawiani koźmi, ludzie umundurowani z bronią i wszystkim co do żołnierza należy. Teraz więc

komenda moja tak dobrze iak żadna, na jednych chłopów polegać musi. Ieżeliby nieprzyjaciel przeprowiał się tędy, mają z czem kto ma stawać nad Wisłą. Takie urządzenia Komissya w Garwolinie uczyniwszy, wczoray przeniesła się do Siennicy, za którą i ia podążyłem. Z czego daię raport J. W. Panu po obywatelsku, ponieważ nie mając ludzi, innego tym czasem dać nie mogę, aż Bóg dopomoże Obywatelom, aby tey wyprawie nie żalowali się. Co się tycze patrolu mego wysłanego do Wiel. Grochowskiego, taki zdarzył się przypadek, iż Ułan J. W. Pisarza Koronnego, z drugim iadąc nazad, obydwu siebie pogubili. Ieden przyiechał bez pisma, obiecując iż zaraz za nim przyiedzie drugi. Czekał przybyły ułan i ia do dwunastey godziny w nocy, nakoniec tego za tamtym posłałem, a obydwóch dotąd niema. Taki to z ludzi tymczasowych porządek. Można bydź prędzey nieszczęśliwym, niż pewnym dobrego zdarzenia. Tak to i tego nocnego nie ma patrolu, którego z woli J. W. Pana Dobr. posłałem do Przybyszewa i do W. Haumana. Upraszam Pana Generała mocno, iżby ich tam nie zatrzymywał, bo tu iest bardzo potrzebny, a inni także swoim Panom. Polecam się na zawsze łasce pańskiej y iestem z powinnym uszanowaniem, J. W. Pana Generała nayniższy sługa. A. Skilski.“

Do raportu swego dołącza p. Komendant powiatu garwolińskiego, któremu się tak dziwnym sposobem patrol zagubił, wykaz pozostających przy nim ludzi, nie wyłączając i tych dwóch goniących za sobą ułanów.

„Raport tymczasowy z Halarmu (sic) die 17 Maii pod Leśnikami.

„Konnicy ochotnika z dawniejszego: 6.—Z przybyłych ekonomów y pisarzów: 7.—Ieden w drodze pozostał: 1.—Za patrollem onegday wysłanych do Magnuszewa: 6.—Piechoty ochotnika tymczasowego: 20.—Z tych ieden dezertował, pozostaie: 19.—Chłoptwa z dzidami, kosami bydź może 800 (bo dla nocy dobrze obrachować nie można) (sic). Harmata iedna z półwerkiem, z której koła zadnie uszkodzone są znacznie.“

Mógł J. M. P. Skilski nie tracić animuszu, ale przyznać trzeba, że jako żołnierz, aż zanadto wielkiej fantazyi dawał dowody. Patrole po drodze mu giną; liczby szeregowców swoich z powodu nocy sprawdzić nie może; z Haumanem trudno mu przyjdzie także się połączyć, bo jak Wybicki donosił, a teraz generał Mokronowski potwierdza, pułkownik na brygadiera awansowany, odkomenderowany został z całym swym oddziałem do kwatery Najwyższego Naczelnika, zastąpiony w Grójcu przez Henryka

Dąbrowskiego, przyszłego sławnego wodza Legionów. Tak więc dostąpił Wodziński zaszczytu, iż na chwilę pod jego chorągwiami służył jeden z najznakomitszych paladynów epopei napoleońskiej.

Dnia 16 maja bowiem Mokronowski z Warszawy uwiadamił o tem swego podkomendnego.

„Do Obywatela Wodzińskiego, Generała-Maiora Milicyi Ziemi Czerskiej. Ponieważ dla ułatwienia operacyów Naywyższego Naczelnika, podług wyraźnego rozkazu Jego, Generał Hauman od Pilicy jest ruszony, na miejsce którego korpus Vice-Brygadiera Dąbrowskiego pośpiesza, przeto o tem Generałowi Ziemi Czerskiej wiadomość czyniąc, żądam po nim aby Komissyi porządkowej respective przełożył potrzebę wczesnego obmyślenia i mienia w pogotowiu żywności oraz wiktuałów na liczbę ludzi i koni, iaką Iemu wspomniany Vice-Brygadyer specyfikacyę okaże. Goriwość i Obywatelstwo Generała Wodzińskiego nadto są wiadome, aby obiekt wyrażony miał wyciągać obszerniejsze pobudki. Wiadomości iakie mieć może o blizkości nieprzyjaciela oczekuję. Mokronowski.“

Tymczasem Wodziński, który opuścił Warkę dla pozostania w kontakcie z Witthofem i Haumanem, wraca tam pośpiesznie, zaalarmowany doniesieniem J. M. Klarowicza Burmistrza tegoż miasta.

„Wiadomość nas tu doszła — pisze p. Prezydent—a to przez J. M. Ks. Antoniego Rościszewskiego Proboszcza z Promny, który tu przyjechał umyślnie y nam oznaymił, że Rosyanie obozem stoją w Swidnie y rabują Przybyszew, Rykały i Małą Wieś. Upraszamy więc iak nayprędszego ratowania nas. Niech J. W. Pan Dobr. wróci y lituie się nad nami, albo niech choć 50 żołnierzy nam przyśle, bo poginiemy ze wszystkim; co donosząc J. W. Panu, pozostaię Jego nayniższym sługą.“

Nie sądząc, aby 50 żołnierzy wystarczało do ratowania miasta, wrócił nasz Generał do Warki. Płonnemi jednak okazały się obawy J. M. P. Klarowicza. Nieprzyjaciel miasteczku nie zagrażał, do żadnej potyczki nie przyszło, więc z obozu swego Wodziński zdaje relacyę Mokronowskiemu.

„Według zaleceń Generała przystawienia prowiantów oraz furaczy Vice-Brygadyerowi Dąbrowskiemu—o wydostarczenie pilnie starałem się. Obywatel daie chętnie; każdy dotąd dostawił. Nie wiesz czy paletowanie nie powinno by ustadź, gdyż J. M. C. Witthof przysłany z Warszawy do skupowania y zakładania magazynów, za pieniądze kupować by powinien od tych, którzy są w stanie przedania, a przez palety uciemieża się i tych, którzy

wcale nic nie mają. Rozkład bowiem paletów jest zawsze równy na ogół do liczby kominów.

Ziemia nasza nie mało przez nieprzyjaciela szkody ponosząca, po za Pilicą, od tegoż wcale nie zniszczona, a dla narodowego Wojska nie zwrócone ponosząc wydatki, w słusznej jest obawie, aby powszechnego nie doznała ogłodzenia, ile dla suszy y upałów dziennych a mroźnych noc, przyszłe urodzaje nie pewne.

„Kantonistów wybieranie nie tak łatwe, gdy według wyimiarkowanej ludności, ieden kantonista z piątego komina wypadać musi, że dziedzicowi przyjdzie y samego oddać gospodarza. Ieżeli tak zwierzchność rządowa zadecyduje, żaden dziedzic nie odważy się woli rządowej wyczekiwać, gdyż wszystko teraz z karbów podległości nieiako wypada, a ludowi pospolitemu więcej się podoba bydź próżniakiem, iak przywiązaniem nawet dla własnego dobra szczerze gospodarzyć. Wszystkich złych konsekwencyi się lęka a od ratowania się od nich nie nabiera energii, tylko się fermentuje. Rada porządkująca raczej sposób exekwowania swojej woli, zawczasu obmyśleć powinna.

„Komendantów powiatowych wykomenderowałem do powiatów należnych dla uprawienia ludu pospolitego w energię obrony powszechny, wsiów kołowrotami zamknięcia, znaków alarmowych zakopania według uniwersału Rady.

„Pik 200 przystawiwszy do Warki, między Włościan rozdalem. Zdałoby im się więcej, ponieważ wiele wiosek przez poprzedni rabunek nieprzyjaciela nie są w stanie się zaopatrzyć.

„Dla nienadeszłej ieszcze Komendy P. Gładyszewskiego, nie mając czem patrolów wysłać, wydałem dyspozycję do miasteczka nad Pilicą y bliższych granic Województwa Rawskiego będących, aby na piśmie raporta o zbliżeniu się nieprzyjaciela, lub o zdarzonych iakich wypadkach donosili — wieś wsi podając, rąk moich dochodzą, które komendantom poblížszym komunikuję.

„J. M. Pan Januskiewicz za ordynansem J. W. Pana Dobrego w moiej Komendzie będący, z liczby wolonterów, ieden żyć samowolnie przywykły, na moje ręce dostał ordynans od J. M. Pana Haumana—lecz sposobem rewolty —odmówił nam ludzi 50 którzy, i komissyi porządkującej i całego sztabu utrzymywali bezpieczeństwo. Z naszymi się tylko zostaliśmy służącymi. Przy jego odejściu, kilku koni gwałtem zabrano; tych przez wolonterów odebrać kazałem, na ich przechód do Warki, nie mało z boku skarg odebrałem. Wojujemy z nieprzyjacielem o odzyskanie wolności, a odwraca się od tego celu nie ieden, przemoc drugiemu czyniąc. Takowy unyś i podobne reflexie wielu Ichmościom,

a osobiwie wolonterom nie podobają się. Ktokolwiek życzy dobrze Oyczyźnie, niech się stara o pomnożenie liczby wolonterów w własnym kraju exystować mających. W cudzy, gdyby można, niech ich wyprowadzą. Młodzież naychętniejszych rodziców, czem jest liczna palestra dawna, iakby to było dobrze iżby się zaciągnęła do regularnego woyska, która dotąd wśród ziemi, znaków woyskowych nie używając, intrygi praktykuje, a subordynacyi przeszkadza. O czem, i iak czuły Obywatel i z powierzonego mi ziemiańskiego dowództwa, winien iestem ostrzedz i donieść.“

Cały charakter starosty objawia się w tych słowach. Należał do rodu, który od najdawniejszych czasów, bądź służył w chorągwiach, bądź te chorągwie do boju prowadził. Siedmiu z nich walczyło pod Wiedniem; a w drugiej połowie ośmnastego wieku, czterech, blisko między sobą spokrewnionych, niemal jednocześnie występowało w randze generałów Rzeczypospolitej¹⁾. Wzrósł zatem młody Karol w tradycyi karności wojskowej, w poczuciu subordynacyi i surowej dyscypliny. Choć karmazyn, szlachciec starego autoramentu, rozumiał potrzeby nowych czasów, ale też ze zdziwieniem i nieraz w sercu ukrytym żalem patrzył na ten wszystkie dawne burzący pojęcia przełom dziejowy, na to „Chłoptwo,“ jak się wyrażają jego oficerowie, powołane do swobody, do pełnych praw obywatelskich, do równego udziału w życiu narodowym i społecznem. Więc drażnić i boleć go musiały nieodłączne usterki, tak nagłego przewrotu: to rozluźnienie więzów uświęconej wiekowemi ustawami hierarchii, rozpanoszenie się danyh jednostek, wśród jednych pyszałkowatość, upodobanie w wewnętrznej tylko błyskotliwości rzemiosła wojennego, przeradające się często w nadużycia lub swawole, u drugich, w zaskorupiałych zwyczajach i egoizmie kastowym, niezrozumienie wielkości zadania, do którego powoływał oswobodziciel kraju. I mu-

¹⁾ Stanisław Wodziński, brat naszego generała ziemiańskiego, a zarazem jego szwagier, gdyż żoną jego była Eleonora Godlewska, starościanka nurska, zmarł w 1760 r., jako generał-adjutant Augusta III-go. Ignacy, bratanek dwóch poprzednich, znany w całym kraju jako komendant korpusu kadetów, generał-lejtnant 1792 r., towarzyszył królowi do Grodna. Uchwałą sejmu czteroletniego ofiarował mu kraj za zasługi drogocenną szablę, która do niedawnych czasów znajdowała się w zbiorach ordynacyi hr. Maltzahnów w Meklemburgu (córka generała, Izabela, wyszła była za Maltzahna). Wreszcie stryj komendanta kadetów, a brat stryjeczny Stanisława i Karola, także Ignacy, generał-adjutant Stanisława Augusta, piszący się dla wyróżnienia „dziedzicem z Kunek“, z ustąpieniem króla podał się do dymisyi.

siało tak być poniekąd. Jakżeż to odradzający ogień czystej miłości Ojczyzny miał od razu zapłonąć w tych warstwach głębokich ludu, od wieków leżących odłogiem? Jakaż to siła była zdolną porwać, natchnąć, uświadomić te na pół dziecinne, na pół jeszcze prymitywne kniecie dusze? Jakaż potęga geniuszu, aby te tłumy przejąć przeświadczeniem, iż z zaparcia, z wyrzeczenia się samego siebie wypływa dobro i zbawienie ogółu? Spozstrzegął starosta ujemne strony nowego porządku, ale dla tego rąk nie opuszczał, nie poprzestawał w ostatniej chwili w nawoływaniu do poświęceń, do zgody, do jedności, a szczególnie do posłuszeństwa i wiary, gdyż od nich zależały dalsze losy kraju. Nie dokonał on większych dzieł, nie przyczynił się do zwycięstw, z ust jego nie padły bohaterskie zaklęcia, ale wytrwał na posterunku, ani krwi, ani mienia swego nie szcędząc, bo gdy mu rabowano dziedzictwo, choć w bliskości, nie ruszył się z obozu, jedynie spełnieniu swoich obowiązków oddany.

A jednak w tych dniach pełnych grozy, jakby jaśniejszy odbłyśk, przeplatały się także chwile komizmu.

I tak, odbiera generał raport od Jmci Pana Pawełckiego, sekretarza poczty w Mogilnicy, z którym, po zaznajomieniu się, musiał pewnie zawołać: „Konia z rzędem temu, kto tę zagadkę rozwiązać potrafi“. „Daję niniejszy raport, iako pocztylion z listami do Nowego Miasta powracając nazad, spotkał kozaków w Wólce pod Brzostowem—czterech. I wzięli go napowrót do Nowego Miasta, a i stamtąd go wzięli do obozu. Pod Strzałkami i Rutkami stoją w polu; a strofowali go o polskich, gdzie stoją — aż im powiedział, że stoją w Gruycu; a oni powiadają: trzeba z pod Gruyca ruszyć obóz, a inny obóz przystąpi na to miejsce. W tym obozie niema więcej, iak tysiąc, y harmat tylko trzy maią; a drugi obóz stoi za Rawa, ale nie wiedzą wiele ich tam może być; tylko Xiądz powiedział, że ich niema więcej, iak 4000 razem z Prusakami. Ieden kozak wlaźł na komin w Nowem Mieście y wyglądał za Pilicę, y on tam zobaczył, że się ruszyło w obozie, to też zaraz z komina wsiadł na koń y wyiechał na górę y stał na koniu, a patrzył za Pilicę czy Polacy nie iadą do nich. Na co ia się podpisuię. Działo się w Mogilnicy, dn. 29 Maia 1794 r. I. Pawełcki, sekretarz poczty“.

Nieprzyjaciel, nie szukając bitwy, ale też nie znajdując nigdzie oporu, dwory i wsie, gdzie się nadarzało po drodze pładrował i palił. Takiemu też zniszczeniu uległy Białostrzegi i Sucha. Jak wyżej wspomniałem, generał nawet myśleć nie mógł o zabezpieczeniu lub ratowaniu dziedzictwa. Był to właśnie okres

najruchliwszy, najbardziej wytężonej jego pracy w organizowaniu siły zbrojnej milicyi mu powierzonych. Gdy kadry prawie że uformowane zostały, Mokronowski, w drugiej połowie czerwca, wysłał mu następujący rozkaz dzienny.

„Daię ordynans obywatelowi Wodzińskiemu, generałowi Ziemi Czerskiej, aby bez straty momentu od tych obywateli, którzy dla wieku, słabości lub zdrowia, lub też niebytności w kraju sami na pospolite ruszenie stawić się nie mogą — odebrał wyprawę w ludziach uzbroionych, a to stosownie do woli Najwyższego Naczelnika i uniwersały w tej mierze przez Radę Najwyższą wydane, a przez delegowanego od niej obywatela Wybickiego komisji porządkowej Ziemi Czerskiej do ściślej eksekucyi naznaczonego, --których to ludzi zbrojnych niezwłocznie do obozu mego przystawić winien. Zalecam również temuż generałowi Wodzińskiemu, aby niezwłocznie 580 ludzi, podług rozkładu tymczasowego, przez obywatela Wybickiego uczynionego na pospolite ruszenie, aż ku Mogielnicy i o pół mili po bokach, ku lasom od Gruyca poczynił, a 100 ludzi do obozu mego przystawił. Resztę ludzi z Ziemi Czerskiej, podług uniwersałów pospolitego ruszenia mieć w zupełnej gotowości, tak, aby na pierwsze wezwanie stawieni byli. Zarazem po odebraniu tego ordynansu zaleci podkomendnym swoim, aby także z chłopstwa doświadczonego porozstawiali kresy, iżby te stykały się z kresami rozstawionemi przez komendantów powiatowych Błońskiego i Tarczyńskiego, do których w tej mierze wysefał ordynans. A także generał Wodziński da mi znać o obrotach nieprzyjaciela ze strony Miednic, Mszczonowa, Błonia, Tarczyna y na okół. A ponieważ z woli Najwyższej Rady, przez delegowanego od niej obywatela Wybickiego, wszystkie konie ekonomów y pisarzów wzięte są w rekwizycję, zalecam iaknaysilniej tego urzędzenia. Generał Wodziński wyznaczy taxatorów, konie każdego otaxować każe, a takową taxę, z wymienieniem człowieka, do komendy naszej z końmi prześle, na które dla zapłacenia każdy właściciel od obywatela Wybickiego kwit do Komisaryatu uzyska. Dan w obozie pod Przybyszewem, dn. 19 Czerwca 1794 r. Mokronowski.“

Nazajutrz dochodzi generała pismo odręczne samego Najwyższego Naczelnika, podpisem i pieczęcią narodową opatrzony, również organizacyi obrony krajowej poświęcony.

„Tadeusz Kościuszko, Najwyższy Naczelnik
Siły Zbrojney Narodowej.

„Daię ordynans Wodzińskiemu, generałowi-majorowi Milicyi Xięstwa Mazowieckiego Ziemi Czerskiej, aby stosownie do Pa-

tentu sobie odemnie konferowanego, wybierał kantonistów z pięciu dymów iednego pieszego, a z pięćdziesiąt—iednego konnego; a to z tych, które ieszcze nie oddały kantonistów. Pieszcy ma być uzbrojony w pikę albo kosę i lenungiem miesięcznym po złp. 15 opatrzoney. Kantonista zaś konny powinien być na własnym koniu, dobrze ekwipowanym, w ieden pistolet, szablę y spisę uzbrojonym y podobnie lengiem miesięcznym opatrzoneym. Z tych kantonistów, iakoteż z ludzi luźnych, leśniczych, gaiowych y Kurpiów, celnie strzelać umiejących, ma formować korpus ku obronie wolności, całości y niepodległości Rzeczypospolitey, a dopóki na kres do obozu dostawionymi nie będą, mają dostawać na żywność y furaz, które komisya ma dostarczyć, albo sami brać za kwitami. Lenung zaś komisya wydawać będzie na mocy ninieyszego ordynansu. A iak skoro staną w obozie, będą płatni ze skarbu Rzeczypospolitey, piechotni iak Infanterya, konni iak pułki lekkiej jazdy, byle tylko nie po iednemu, ale po kilkanaście lub kilkadziesiąt przystawiani byli. Od tych kantonistów, iako też wolontaryuszów y ochotników Ziemi Czerskiey, tudzież y od innych, którzy są zaciągnięci do służby, a ieszcze przysięgi nie wykonali, odbierze generał-maior przysięgę na Rotę, którą on sam przedemną wykonał. W całym zaś tym zaciągu nayprzywoiciey zachować się z obywatelami, nie czyniąc im żadney krzywdy, przykazuię. Dan w obozie dn. 20 czerwca 1794 r. Kościszko.“

Rozkaz wodza natychmiast Wodziński, tak podkomendnym swoim, jak i obywatelom, podał do wiadomości.

„Na mocy ordynansu od Naywyższego Naczelnika rekwiru ię wszystkich obywatelów, tak dziedziców, iako też y posesorów dóbr duchownych y królewskich, tudzież teyże natury miastom y miasteczkom, aby na dzień 30 terażnieyszego miesiąca do komendy moiey w Warce stojącey, każdy dziedzic y posesor z pięćdziesiątego dymu, podług dyspartymentu przez Komisję Ziemi Czerskiey uczynionego, szeregowego w kurtkę granatową a raythuzy płócienne ubranego, na koniu dobrym, z siedzeniem, lederwerkem, w pistolety, pałasz y pikę uzbrojonego, zdrowego y do boju zdatnego przystawić. Sołtysi zaś i Wóytowie mają sami w osobach swoich, podobnież na koniach dobrych y również umundurowani y uzbrojeni, przez siebie lub przez synów swoich, stanąć; a którzy by nie mieli lub przez starość nie byli do pracy wojenney zdatnymi, dwóch szeregowych konnych, również iak wyżey umundurowanych y uzbroionych, są obowiązani na pomienne miejsce y dzień za siebie przysłać; które te wyprawy, każ-

dy dostarczając swego, ma otrzymać 15 złp. lenungu miesięcznie. Takowe zaś urządzenia bez odwłoki y sporu aby dopełnione były, władzą Naywyższego Naczelnika oraz miłością Oyczyzny obowiązuję. Także kto jeszcze nie wydał rekrutów, tych na tenże sam dzień y miejsce niech przysyła, aby nie popadł rygorowi na nieposłusznych rozciągać się mającym. Dan w Warce na Winiarach, dn. 21 czerwca 1794 r.“

Niestety! przy werbunkach nie obchodziło się bez nadużyć, gwałtów, a nawet i morderstw. Zabójstwa w tych okolicznościach dopuścił się szeregowiec, dworski poddany, na osobie dawnego swego podstarościego, mszcząc się zapewne doznanych krzywd. O tej zbrodni donosi Komisji porządkowej czerskiej kapitan wojsk koronnych, Fontana.

„Podpisany, zawiadomiony, iż poddany z klucza Czaplńskiego, wsi Sułkowie, w korpusie wolontaryuszów pieszych popełnił zabójstwo, mordując własnego podstarościego, IM. Woyciecha Wronowskiego, dopraszam się przeto od Prześwietney Komisji, iżbym takowego zabójcę rekwizycją swoją do JW. Generała Ziemi Czerskiej odebranego mieć mógł do oddania go pod sąd w Warszawie.“

Komisya człowieka wydać kazała, o czem dowiadujemy się z instrukcyi generała:

„Daię ordynans W. Ianuszkiewiczowi, porucznikowi, iżby człowieka, obwinionego o zabójstwo podstarościego z Sułkowie, imieniem Błażej Karbowski, między wolontaryuszami, pod moją komendą będącymi, znajdującego się; Wiel. Fontanie, dóbr Czaplńskich posesorowi y kapitanowi wojsk koronnych, wydał natychmiast, y od tego Wiel. Fontany rewers, że go do sądu kryminalnego dostawić ma, iako z komendy odebranego, wziął, na co się podpisuję. Dan w kwaterze mojej na Winiarach.“

O dalszych losach tego Błażeja Karbowskiaka śladu niema. Niedaleko Winiar, bo w Rososzy, do dziś dnia istnieje legenda wśród tamtejszych włościan przechowywana, jakoby w lesie, na piaszczystych pagórkach wyrosłym, w czasie wojny za czasów polskich, panowie mieli powiesić chłopca „za to, że jednego z nich ubił“. Czy to podanie odnosi się do Karbowskiaka, wątpić należy. Ze wspomnień dawnych w pamięci gminu kojarzy się najczęściej kilka najróżnorodniejszych wypadków w jedno ogólne na wątku prawdy powstałe w wyobraźni pojęcie. Tak i tu zapewne z dwóch od siebie niezależnych epizodów zrodziło się i dotrwało do naszych czasów podanie.

Otóż jednocześnie z zabójstwem podstarościego przez Karbowskią w miasteczku Pilicy, dobrach do Moszyńskiego należących, ekonom tego majątku, niejaki Kalenberg, wraz z zięciem Fryderykiem Vogt, obydwaj Niemcy, lecz w kraju naszym osiedli, schwytani w przemarszu oddziału z brygady Haumana pod zarzutem szpiegostwa — do głównej kwatery odstawieni zostali. Przechowane zeznania świadków przesłuchanych pozwalają nam odtworzyć obraz ówczesnej procedury wojskowej.

„Podług zeznania Jana Szaniawskiego, poddanego, ciż ludzie, to jest Kalenberg, teść Frydrycha Vogta, oraz tenże Frydrych, zostawiając w Pilicy, pierwszy jako ekonom, drugi jako zięć — bywszy w służbie rosyjskiej porucznik — mieli być pomocni nieprzyjacielowi swoim interesowaniem (?) w czasie przechodów wojsk nieprzyjacielskich.“ Zaś po wybuchu rewolucyi, gdy Rosyanie za Pilicą ulokowani rozpoczęli rabunki po wsiach, opowiada tenże Szaniawski, iż w tygodniu wielkanocnym dnia sobotniego „pojechał z Frydrychem do Lichawic, gdzie przyechawszy, zastali więcej jak 30 koni Rosyan. Tam Frydrych zostawił Szaniawskiego samego y kazał na siebie czekać, sam zaś ięździł z Rosyanami, ale świadek nie wie gdzie. Powrócił w godzin sześć lub pięć do Lichawic z tymiż samymi Rosyanami i bawili się do obiadu. Po obiedzie znowu ięździli y powrócili wieczorem. Wieczór dopiero pojechał i on, Szaniawski, z nimi do obozu, gdzie nocowali. Nazajutrz zaś tylko we dwóch wrócili do Lichawic, zkąd zeznawszy, Jan Szaniawski pojechał do Pilicy a Frydrycha zostawił w Lichawicach, który mu powiedział, że odjechać nie może, gdyż go p. Boskiego syn zaprosił. Za przybyciem do Pilicy, Szaniawski zastał zrabowane wieś y dwór, a Kalenberga przez Rosyan zbitego, który go natychmiast wysłał po zięcia do Lichawic. Śpieszno zatem udał się do Lichawic, zkąd z Frydrychem wrócili do Pilicy. Jak tylko przyjechał, tak zaraz z żoną chciał wracać do obozu rosyjskiego y namawiał teścia, aby z nim jechał. Wzbraniał się tego dnia Kalenberg iechać, tylko że od niego nikt nie chciał kluczy odebrać. Bryczkę kazał we środę sporządzić Frydrych, i mieli wyjechać, lecz tego samego dnia zięci zostali przez naszych y do obozu odstawieni.

„Takowa indagacya z osoby Jana Szaniawskiego czyniona w przytomności gromady, to jest: Krystyna Solubinka, Marcina Floryana vel Stanisława Jaraczewskiego, Franciszka vel Józefa Woźniaka, którzy tylko tyle zeznali, że Kalenberg, ekonom, zawsze im kazał pilnować wsi a nie kryć się, mówiąc: „Póty jesteście tu pewni, póki ja dosiadaię, skoro zaś mnie nie będzie,

to i wy nie macie czego siedzieć“. Dodali ieszcze i to, iż zawsze Kalenberg się z nieprzyjacielem łagodnie obchodził i hoynie częstował. O Frydrychu zaś powiadaią, iż mało co mówił, tylko się z teściem po niemiecku zawsze rozmawiał. Ieden z nich, to iest Krystyn Sołubiak, to ieszcze zeznał, iż Frydrych się pokłócił z pikietą rosyiską, która chciała wołów i odstraszył ich ze wsi.

„Prócz tego wyżej wymienieni to ieszcze zeznali, że gdy raz nakazany był furaz do obozu rosyiskiego z pod Mniszewa y Rosyanie przyiechali brać siano y owies, a iuż fury do ładowania przepędzili, natenczas Frydrych poiechał do obozu, gdzie niedługo zabawiwszy, powrócił z żołnierzem i ukazem, by furaz nie dawać—iakoż się fury wróciły. Ciż wszyscy świadkowie podpisują znakiem krzyża świętego.“

Mniej dla oskarżonych korzystnie wypadły zeznania młynarza, arendarza oraz ogrodnika, wszystkich trzech w Pilicy osiadłych.

„Jędrzey Nadobny, młynarz, zeznał, że nic więcey nie wie, iak tylko, że go Kalenberg posełał do Gruszczyna, mówiąc, aby się pytał czy niema listów z poczty od Grafa (Moszyńskiego?) i żeby się dowiedział czy w bliskości znayduie się obóz rosyiski, gdyż zięć jego ma tam interes i chciałby tam doiechać.“

„Noson Jakubowicz, arędarz, zeznał, iż Frydrych chciał od niego wziąć konia do Lichawic, a gdy mu go dać nie chciał, powróciwszy, łaiął go i odgrażał, że go Rosyanom wyda. W kilka dni potem wymógł na nim, aby mu 150 złp. pożyczyl. Musiał mu dać złp. 25, potem się wypytywał, gdzie swoje rzeczy schował. Gdy mu powiedział, że w boru, ieździł tam i szukał. Kalenberg zaś z tem dał się słyszeć, że ieżeli zięć mój poiedzie do obozu, to i ia muszę—bo tu przez Rosyan źle będzie.“

Zeznanie swoje Noson Jakubowicz poświadczył własnoręcznym, hebrajskim podpisem.

„Jakób Szokalski zeznał, iż aktualnie, tak oyciec Kalenberg, iak y zięć Vogt, wybierali się do obozu rosyiskiego. Gdy przyszli ludzie do niego, Frydrych z dobytym pałaszem dopominał się, aby rządy po teściu Kalenbergu on odebrał, mówiąc: „Jedziemy do obozu, aby się ztamtąd dostać do Prus, iak wam sprowadzimy tu Rosyan.“ Co podpisem stwierdza.

„Notandum: W czasie tey indagacyi, nadszedł poddany z Ostrołęki, Bartłomiej, który poznał swój kozuch na Kalenbergowej samey, będącey tu w Pilicy, dopraszając się, by mu był oddany, gdyż mu został wzięty przy rabunku dóbr Ostrołęki przez

kozaków. Ten kozuch oddany iest. Gdy zaś zapytana Kalenbergowa została, dlaczego się ten kozuch na niey znalazł, odpowiedziała, iż te same kozaki, które zrabowały Ostrołękę, powracając nazad do obozu, wstąpili do folwarku w Pilicy i ten kozuch rzucili. Od ludzi zabocznych o tem wiadomości niema, gdyż przy tej okoliczności, prócz Kalenberga y iego zięcia, nikogo więcej nie było.

„Którą to indagacyę, z mocy ordynansu na dniu dzisiejszym przez JW. Wodzińskiego, generała Czerskiego, mi danego, uczynioną i przez zeznających podpisaną, na gruncie dóbr Pilicy dopełnioną, podpisuję. Jan Słończyński.“

Trudno przypuścić, aby na mocy podobnych poszlak, przez wyżej wspomnianego Słończyńskiego w charakterze sędziego śledczego zebranych, mógł jakikolwiek sąd, wojenny czy też koronny, oskarżonych Vogta, a tem mniej jeszcze Kalenberga, skazać na śmierć przez powieszenie. Stwierdzenia też tak okrutnego wyroku nie odnalazłem. Na tej indagacyi bowiem urywają się zapiski z owej pamiętnej epoki, przechowane w archiwum służewskim. Dołączył tylko do nich generał ręką własną kreślony, obszerny memoriał pod tytułem: „Opis uczynionych szkód w dobrach moich dziedzicznych Suchy podczas rabunku przez Woyska Rosyiskie w dniu 6 czerwca 1794 r.“

Po długim wykazie poniesionych strat na folwarkach, jako to w inwentarzach, stadninie, gumnach, szpichlerzach, browarach i gorzelnii, magazynach, w piwnicach, następuje bardzo szczegółowy obraz rabunku w samym dworze. „W całym domu, co tylko znajdować się mogło, nie przed mściwą ręką nieprzyjaciela ocalonem nie zostało; gdyż rzeczy wszystkie, iako też i sprzęty, iedne pozabierali, drugie potłukli i porąbali—i tak: sepety z bielizną stołową iako y z sukniemi, deliami, futrami; daley skrzynie samemi naładowane iedwabiami y dywanami; trzecią także, w której piernaty, koldry, poduszki, pawilony dwa, kitaykowy karmazynowy, drugi zielony adamaszkowy znajdowały się—podbijali, a to wszystko zabrali, także cztery duże dywany z Persyi sprowadzone.

„W pierwszym pokoju komody duże wyłupali. W iedney suknie mojej od polowania, mundury, trzy szable z rękojeścią kamieniami drogimi wysadzana, pistoletów par trzy, których iedna para Kuchlera 80 dukatów kosztowała. Papiery prawne y inne rodzinne, nadania, listy królewskie porozdzierali. Stół wielki, stoliki francuskie, także meble potłukli. Tudzież lustra, kanapy,

krzesła... Srebra stołowe, porcelany, iednem słowem kredens, iaki był, do najmniejszego kieliszka, potłukli. Okien taflowych in № 20 powybiiali. Portretom oczy spisaą wykłuli, landszafty porozczinali, czego razem sztuk przeszło 30.

„W pokoju drugim zwierciadło wielkie w ciężkich ramach złożonych y zegar duży francuski grubo złożony — wzięli. Sofy poobdzierali y popsuli. Biurko ze szczętem połupali; rzeczy w nim będące—pretiosa, koronki różne, pasów starych z altembasu złotem i szychem tkanych sztuk 5 zabrali. We wszystkich innych pokojach, co tylko w nich było, również w kawałki porąbali.

„W apteczce prócz różnych likierów, trunków, soków, konfitur i konfettów, kawy przedniey kamieni 3, cukru kanaryjskiego kamieni 4 i świec woskowych kamieni 3 zabrali. Puzdro z dwunastoma flaszami kryształowemi, w srebrze oprawnemi, wzięli, zgoła nic, prócz kawałków y drobnych części z popsutych mebli y sprzętów cennych nie pozostało.“

Nic nie pozostało! tragiczne słowa, które tak do mienia jednostki, jak do świetności i niezawisłości kraju odnosić się mogą.

Po klęsce maciejowickiej wrócił starosta do opustoszonej siedziby, lecz w starem sercu nigdy i do ostatniej chwili nie wygasła nadzieja. Skoro zaświtały nanowo jej promienie, wyrwa się do pracy i służby publicznej. Dobrami ziemskimi już rozporządził na rzecz jedynego syna; córkę wydaną za Kossowskiego, kasztelana inowłodzkiego, wyposażył. Nic go zatem nie wiązało więcej z tym światem, prócz nieustającej troski, niestrudzonej gorliwości o dobro ojczyzny. Gdy nowokreowany przez Napoleona król saski pierwszy raz zawitał do stolicy swego Księstwa Warszawskiego, delegowany przez województwo mazowieckie dzielny żołnierz kościuszkowski w gorącej oracyi, za długiej, abym ją tu mógł powtórzyć, przemawia do monarchy. Fryderyk August niebawem go też mianuje członkiem najwyższego sądu. W r. 1809 zostaje sędzią pokoju, w następnym roku obdarza go medalem i reskryptem dziękczynnym za załagodzenie największej ilości spraw w departamencie warszawskim. Wreszcie dnia 2-go grudnia 1812 r. minister Breza, w imieniu panującego, posyła Wodzińskiemu nominację na senatora-kasztelana w rządzie zasiadania dziewiątym. Liczył wtenczas lat 82; słuszne uwieńczenie długiego żywota służbie publicznej od zarania młodości poświęconego. A był to ten rok pamiętny „obfity we zdarzenia, nadzieją brzemienny“. Po wiosnie wojny, wiosnie urodzaju, nadeszła zima pogromu i rozpaczy. I patrzył na nią jeszcze sędziwy

senator, patrzył na upadek mocarza, w którego on, jak cała Polska, niby w Boga uwierzył, i patrzył, niby łuną wieczności, na zapowiadające się czasy dźwignięcia dla kraju. I z tą łuną w duszy zamknął powieki osiemdziesięcioletni starzec. Zwłoki jego złożono w grobach kościoła OO. Kapucynów warszawskich. Dobrze o nim powtórzyć z poetą:

Nakoniec pełen wieku i przystojnej chwały,
Sam się *prawie* położył jako kłos dojrzały.

A. W.

KRONIKA LITERACKA.

III.

„Uroda życia“, jako wyznanie wiary patryotycznej Żeromskiego.—Odrodzenie duszy polskiej i jej upadek w otchłani bezwładu. — „Bój i zwycięstwo“ za błękitami: walka duchów i symbolów. — Wielki pęd do polskości i jałowość czynu.—„Uroda życia“, jako obraz niemocy polskiej.—Aryman mści się.—Najnowsze utwory Przybyszewskiego: powieść „Mocny człowiek“ i dramat „Topiel“ — „Ku gwiazdom“ czy—na szubienicę? — Tragedya czy sensacya?—Zbyteczne *ad lectorem* Przybyszewskiego. — Nowele Antoniego Langego: racjonalista czy mistyk? — Kazimierz Przerwa-Tetmajer i VII serya jego „Poezyi“: smutek dni minionych i niepowrotnych; pieśni góralskie, jako wyraz artystyczny nastrojów ducha poety. — Władysław Orkan i jego ostatnie utwory: „Z martwej roztoki“ i „Drzewiej“: mgła melancholii i wichur namiętności. — Spuścizna poetycka po Antonim Szandlerowskim: „Poczye“ i „Confiteor“, liryki i listy.—Poeta cichej melancholii i zwiewnych nastrojów: Z. Dębickiego „Oglądam się za siebie.“ — Poetyczny pamiętnik życia: „Na przełomie“ Wł. Bukowińskiego.—Jeszcze liryki i liryki: J. Lemański, J. Nitowski, Wł. Zalewski, I. K. Hakowiczówna, W. Wolski, St. Fulkowska, St. Stamirowski, J. Guranowski, L. Benedyktowicz.—Posucha letnia w teatrach warszawskich: „Gra serc“ Stefana Kiedrzyńskiego.—Dramaty książkowe: „Pani słoneczna“ Savitri, „Sen dnia letniego“ Józefa Wiśniowskiego, „Więzy“ i „Kondotyrzy“ Maryi Kościelskiej, „Droga ducha“ Kazimierza Chylińskiego, „Złote czasy“ Witolda Bunikiewicza, „Hannibal“ Bolesława Eustachiewicza.

Nie zawsze można wywiązać się ściśle ze złożonego przyrzeczenia.

W zakończeniu ostatniej, sierpniowej „Kroniki“ zobowiązałem się w następnej poddać rozprawę krytycznej kilka zbiorów utworów lirycznych, wydanych w ciągu ostatnich miesięcy.

Aliści zaszyły okoliczności, które plan ten zmieniły, przynajmniej do pewnego stopnia. Na półkach księgarskich ukazało się kilka książek tak wybitnych autorów, że należy im się bezwzględnie pierwszeństwo.

Do dzieł tych zalicza się przedewszystkiem nowa powieść Stefana Żeromskiego p. t. „Uroda życia“. Rzecz ta, mimo że ukazała się latem, w „martwym sezonie“, dla powodzenia książek wogóle najmniej przyjaznym, zdążyła już wywołać tyle sprzecznych sądów, że szczegółowszą, niż się zazwyczaj na tem miejscu czyni, jej analizę uważam za rzecz konieczną.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy, iż „Uroda życia“ pod żadnym względem nie sprawiła nam niespodzianki: zarówno w tem, co w niej jest piękne i wzniosłe, jak i w jej chwiejnościach i niedociągnięciach, jest dalszym rozwojem pierwiastków, zawartych w dawniejszych utworach Żeromskiego, jeszcze jednym obrazem tych nastrojów duchowych, które ujawniły się w całej dotychczasowej twórczości autora „Popiołów“ i „Sułkowskiego“.

W organizacyi psychicznej Żeromskiego dziwnie kojarzą się pozornie sprzeczne i nawzajem wyłączające się pierwiastki: miłość i nienawiść, cześć i pogarda, dążenie do ogromu, do potęgi i poczucie nędzy istnienia. Zawsze sięgający najwyższych szczytów, nie zna i znać nie chce rzeczy pośrednich; pełen rozdarcia wewnętrznego i najostrzejszych kontrastów, uderza w niebo lub spada w otchłań przepaści, entuzyasta najwyższych rozkoszy ciała i ducha, entuzyasta bólów najsroźszych i smutków najgłębszych, jakie zna polska beletrystyka współczesna.

Gończy miłośnik dobra—i ponury malarz mrocznego państwa Arymana; płomienny wyznawca wszystkich najszlachetniejszych ideałów ludzkości—i pesymista o zaprawnych goryczą ustach, pesymista, nie wierzący w możność pełnienia się dobra na ziemi; czuły kochanek istot słabych i bezbronnych—i okrutny inkwizytor, skazujący tysiące istnień, a wraz z nimi i siebie samego, na stos ofiarny samoudręki—oto oblicze duchowe Żeromskiego, jako autora „Opowiadań“, „Promienia“, „Ludzi bezdomnych“, „Sułkowskiego“ i „Urody życia“. Słowem, Żeromski we wszystkim, co pisze, jest zawsze i wszędzie w niezgodzie z samym sobą.

Zobaczmy teraz, jak to rozdarcie duchowe wygląda na gruncie ostatniej powieści.

Pamiętamy wszyscy opowieść, pełną tragizmu i wewnętrznego skupienia, „Echa leśne“.

Generał-Polak w wojsku rosyjskiem, wierny honorowi żołnierskiemu i przysiędze na wierność, skazuje w r. 1863 na roz-

strzelanie swego synowca i wychowawca, dezertera z armii cesarskiej, którego oddział jego schwytał z bronią w ręku, jako powstańca.

Skazany przed śmiercią bohaterską jedno wyraża życzenie: by syna jego, małego Piotrusia, wychowano — po polsku. Dziad obiecał to uczynić, ale z tej obietnicy dyabeł zapewne się śmieje, jak mówi autor w zakończeniu noweli.

Ten właśnie Piotruś jest bohaterem „Urody życia“. Wbrew uroczystemu przyrzeczeniu, dziad oddał go do krewnych w Rosyi — i oto Piotr Rozłucki po dojściu do pełnoletności, po świetnem złożeniu egzaminów ostatecznych w Akademii wojskowej w Petersburgu wobec Wielkiego Księcia, z dumą odczuwa swą przynależność duchową do narodu rosyjskiego, którego dzieje studjuje z niekłamanem upodobaniem, o dalekiej swej polskiej ojczyźnie nie myśli zgoła.

Aż oto rozkaz zwierzchności, czy może kaprys autora, przenosi młodziutkiego oficera artylerji do jednego z miasteczek Królestwa, brudnego i cuchnącego partykularza, w rodzaju tych, jakie Żeromski chętnie malował w licznych swych utworach, od „Promienia“ do „Dziejów Grzechu“.

W tem nowem otoczeniu, wśród nowych wrażeń dusza Piotra Rozłuckiego staje się jak gdyby palimpsestem: zwolna zacierają się świeżo nakreślone przez wychowanie, wpływy dzieciństwa i wczesnej młodości obce głoski, a z pod nich ukazuje się dawno zapomniane pismo. Piotr, który niedawno jeszcze z pogardą patrzył na ludzi i kraj, mówiąc o nim z przekąsem: „Polsza!“, niebawem widzi się skłóconym ze społeczeństwem, które go wychowało, obdarzyło dyplomem i rangą, otwierając przed nim szeroko podwoje przyszłej kariery wojskowej.

„Za błękitami był bój i zwycięstwo!“ Ten werset Słowackiego daje się w zupełności zastosować do bohatera „Urody życia“. To bowiem, co się w jego duszy od chwili przyjazdu do Polski dzieje, wkracza w krainę nie ściśle wymotywowanej psychologii, ale raczej — symbolu. Podobną metamorfozę odtworzyła Orzeszkowa w „Gloria victis“, w noweli p. t. „Oficer“, a odtworzyła ją w sposób prosty, bezpretensjonalny, po ludzku i po ziemsku, a przecieź głęboko rażąc w serce czytelnika, szkląc oko jego łąką szlachetnego wzruszenia.

Dusza polska budzi się w Rozłuckim żywiołowo, niemal bez przygotowania. Widok pól i łągów, przechadzka po ulicach Warszawy, jedna-druża rozmowa z krewnymi-Polakami, rewolucjonistą-studentem, Wiktorem, i jego siostrą, żarliwą patriotką, Ka-

ma, jakaś „niezrozumiała polska piosenka“, jedna bytność w kościółku wiejskim, kilka podpatrzonych wypadkiem posiedzeń kółka tajnego uczniów gimnazjalnych, kilkanaście przerzuconych i z ledwością zrozumianych książek polskich z ich biblioteczki, na strychu ukrytej (tu przypominają się sceny z „Syzyfowych prac“)—wszystkie te wrażenia ulotne, przypadkowe, nie mogłyby wystarczyć, by zetrzeć z Piotra pokost kultury obcej, owoc lat kilkunastu wrażeń codziennych, nauk szkolnych i uniwersyteckich.

Ale Żeromski przywołuje na pomoc potęgę silniejszą o wiele od rozmów, piosenek i książek polskich, od wrażeń krajobrazoworodzajowych: krzyż na mogile ojca powstańca.

Ten widoczny dziś jeszcze, jutro już może mający rozsypać się w próchno ślad tragicznej przeszłości, symbol przynależności młodego oficera artylerii do narodu i ziemi—„mogił i krzyżów“, zwycięża w nim wszelkie inne wpływy.

I oto ten, który niedawno jeszcze, w rozmowie ze stryjem Michałem, ojcem Wiktora i Kamy, zacnym hreczkosiejem, z zimną pogardą mówił, że „Polski niema“, że „Rosya w Polsce to nie kapota na ramieniu żywego człowieka“, niebawem dla Polski tej składa największą ofiarę—ofiarę serca. Ten, który „studjowanie języka polskiego uważał za czynność poprostu nieprzyzwoitą, banalną, nie uchodzącą w dobrem i dobranem towarzystwie zwierzchników i kolegów“, wkrótce potem zaczyna się z niepojętą rozkoszą i chciwością wczytywać w książki polskie, a pewnego razu, ku wielkiemu zdziwieniu stryja, przemawia doń—w ojczystym języku. Ten, który dopiero co uczucie polskie nazywał „szowinizmem“, a dążność Polaków ku zachowaniu odrębności narodowej mianował „dziwnym polskim uporem“, w kilka miesięcy potem, w rozmowie ze zwierzchnikiem, generałem Polenowym-Czernowratskim, okazuje ducha buntowniczego, a w duszy jego odzywają się echa polskich hasła i polukiwań po lesie. Ten wreszcie, który niedawno jeszcze na pewną młodą, nieznaną Polkę, spotkaną w wagonie kolei, patrzył z gniewem, wyczytując w jej oczach nienawiść i pogardę, teraz w obronie jej dobywa szabli przeciw własnym kolegom z pułku i pada, ciężko porąbany.

Podobnym nieoczekiwanym przeobrażeniom ulega stosunek duchowy Rozłuckiego do krzyża-mogiły: za pierwszą bytnością w tem smutnem miejscu patrzy nań suchem okiem, z „twarzą zimną, głuchą, surową“, a potem „w milczeniu trzykroć składa na piersiach trzy znaki krzyżowe swej prawosławnej wiary“; gdy zaczyna odczuwać, że krzyż ten, którego „dolny kół, jak cios boleści, nastawił się przeciw nagiej ziemi“, którego „spękane próchn-

no ostrym kształtem bezzałosnego gniewu zarysowywało się zdała, niby nogi, jedna na drugą założone i wraz gwoździami przybite“, że krzyż ten zapomniany na rubieży leśnej zbyt głębokie ślady ryje w jego duszy, chce przemocą zdusić w sobie to uczucie, nabierające w nim kształtów coraz bardziej realnych, niby obraz, ukazujący się szybko z za mgły, silnym wiatrem zwiewanej; udaje się więc na mogiłę, a namacawszy rękami „suche próchno krzyża“, usiłuje „męską dłonią pochwycić i zdusić widziadło...“

Wreszcie zachodzi jeszcze jedna, ostatnia odmiana w nastrojach duchowych Piotra: pewnej nocy księżycowej idzie na grób ojca, odkopuje ziemię, a znalazłszy czaszkę, przypada do niej ustami...

„Syn począł odgarniać ziemię rękoma. Rozsuwał ją naprawo i nalewo, ni to czarne zwoje i fałdy zasłony. Tkliwe jego palce wynurzyły, wyczarowały z ziemi czaszkę, potrzaskaną w kawałki, szczękę rozwartą. W bezwiedzy, w szlochach przypadł do tych kości ustami. Wargi jego namacały usta, które się stały czarną ziemią. Głaskał po tysiąc razy miejsca złamań, gdzie były śmiertelne dziury od sołdackich kul. Tysiącem pieśczośliwych nazw przewiązywał każdą ranę, łzami zmywał każdy cios. Wcielał przedśmiertelny ojcowski ból w najczulsze słowa, w najtkliwsze dźwięki, jakie tylko znał w nowo-pokochanym polskim języku“.

Od tej chwili wskazaną już miał drogę. Iść po niej—musiał.

A scena ta, pomimo pewnej sztuczności teatralnej, swą głęboką nastrojowością silnie sprawia wrażenie i należy do najcelniejszych w powieści.

Ale Rozłuckiego czekają jeszcze ciężkie próby i doświadczenia. Do walki z podnoszącym się z grobu widmem ojca-powstańca staje nowa potęga: miłość, kobieta. Miłość cudna i głęboka, zawrotna, jak wir morski, płomienna, jak sam żywioł ognia, mocna, jak życie i jak śmierć, miłość do pięknej córki generała Polenowa, Tatjany.

Jak skończy się ten bój „za błękitami“ i czyje będzie zwycięstwo? Dusza Rozłuckiego rozdwa się: pragnie on Tatjanę całą mocą młodej, gorącej duszy i rozbudzonych gwałtownie zmysłów, a jednocześnie czuje, że pomiędzy nimi leży przepaść cała różnicy pojęć, upodobań, uczuć społecznych, kultury, światów. Tatjana roztacza przed nim całe bogactwo swych ponęt; natura prosta a namiętna, nie zna, nie chce znać obłudy konwenansów, a ulegając pędowi przepotężnego instynktu, szepce Piotrowi na

ucho podczas pewnej schadzki: „Chcę mieć małą córeczkę, słiczną, z czarnymi oczami. Będę ją karmiła, będę chowała...”

Ale wkrótce rosnąć zaczyna pomiędzy nimi mur niechęci, wzniesiony dłońmi setnych pokoleń. Najlepiej ujawnia się to podczas pobytu obojga w Paryżu. Pewnego popołudnia Piotr modli się w kościele Notre Dame przed posągiem Matki Boskiej, obok którego postawiono mały posązek Joanny d'Arc, by przemieniła się dusza Tatjana; a jednocześnie w kościele Saint-Germain-des-Près Tatjana na kolanach błaga Maryę Pannę, żeby „jego polska ponurość i twardość zelzała, żeby się uśmiech w nim narodził, żeby na niego pierwszy powiew wiosny przyleciał, żeby mu słońce zaświeciło w duszy.”

Daremne modły! O lada pozór wybucha sprzeczką, krzyżują się słowa, wyrzuty, skargi. A kiedy Piotr zaczyna opowiadać Tatjanie o straconym ojcu, polskim powstańcu, o jego mogile w pustce pod lasem, o spróchniałym krzyżu, ona przerywa mu te zwierzenia serdeczne z nienawistnym oburzeniem: „Przestań już o tem mówić. Mam wstręt do tych twoich wszystkich historii. Nie mogę tego przed tobą ukrywać...”

Pod takimi wróżbami zadzierzgnięty romans musi się rozwiązać tragicznie. I tak się też kończy: Piotr niemiłosiernie odpycha od siebie rozkochaną w nim do zapamiętania Tatjanę, zbyt srogo ukaraną za winy nie swoje, a ona z rozpacz i dla jego ukarania rzuca się w objęcia pierwszego z brzegu wielbiciela, a poczuwszy się matką, kończy życie samobójstwem, wpędzając sobie kulę w brzuch: chce zabić jednocześnie siebie i płód, w niemiłych uściskach poczęty...

Na zakończenie tego romansu jeszcze jedna niepospolitej siły scena: pogrzeb Tani. Za trumną idzie Piotr, wśród nienawistnych spojrzeń wrogiego mu tłumu, który patrzy nań, jak na mordercę, w kieszeni ma rewolwer z odwiedzionym kurkiem, gotów skierować sobie nabój w usta, w razie gdyby jeden głos, jeden gest zwrócił się przeciw niemu; ale oto, gdy schyla się, by rzucić grudkę ziemi na trumnę Tatjana, doznaje „nadziemskiego uczucia, uczucia głębokiej pociechy i wielkiej łaski“, poznał bowiem, iż „uściskała mocno jego dłoń zimna glina“, „uczuł nieomylnie, że to ojciec, z ziemią złączony, ziemią doń przyszedł i z ziemi tej oddał mu pomocny uścisk ducha...”

Tak zakończył się ten „bój za błękitami“, gigantomachia ducha polskiego w miłości synowskiej i ducha rosyjskiego w miłości ku kobiecie.

Walka duchów i—symbolów.

A choćbyśmy i zgodzili się na to, że obrazom tej walki brak „żywotniejszej cery“, inaczej mówiąc, że abstrakcja przemaga tu nad realizmem psychologicznym, przyznać należy, że pierwszy tom „Urody życia“ posiada niemało momentów prawdziwie tragicznych i wzniostych. Autor nie tylko kocha ziemię, gdzie „stare brzozy stoją nad zjeżdżonym traktem, lamentując nad sprawami ludzkiemi, co przez tyle już lat ciągną się w błotach, piaskach i kolejach tej drogi“, kocha też lud, chłopów, co „tacy sami są, jak za polskich królów, o których nikt już nie wie i nie słyszał“, nie tylko pełen jest wiary w niezniszczalność mocy żywiołowej, w piersiach tego „siermiężnego narodu“ ukrytej, ale i czuje w sobie wielki, nieodparty pęd ku polskości, po trupach serce i żywotów rwącej naprzód, ku światłu...

Zdawałoby się więc, że tak cudownie zjednany dla owej polskości, po tragicznych przejściach z Tatjaną i z własną złamaną duszą, Rozłucki wielkich dokona czynów, a stawszy się z marnotrawnego wiernym synem ojczyzny, pracować dla niej będzie w trójpcie czoła i z niemałym pożytkiem dla „sprawy“.

Ale—i tu właśnie załamuje się „Uroda życia“; i tu właśnie mamy dowód rozterki wewnętrznej w duszy Żeromskiego, tego heroja-pesymisty współczesnej beletrystyki polskiej. Zawodzą nas pod tym względem wszelkie nadzieje: Rozłucki z chwilą, gdy zrzuca z siebie skórę rosyjską, staje się jednocześnie wykolejńcem i rozbitkiem nie tylko, co samo przez się jest logiczne i zrozumiałe, pod względem kariery życiowej, której droga byłaby przed nim otwarta w razie, gdyby był ożenił się z Tanią, ale—i w rozumieniu duchowem. Piotr, silny i niezłomny, póki stał na rozdrożu, zdolny do zdeptania w sobie najpotężniejszych pokus serca i zmysłów aż do bohaterskiego samozaparcia się, wyczerpuje się jakgdyby w tej walce, traci wszelką energię czynu i pozwala unosić się falom wypadków i własnych przelotnych wrażeń i kapryśnych zachcianek.

Przewieziony za karę do fortu „Orzeł Czarny“ w twierdzy Zasięku, marzy o podniesieniu dobrobytu ojczyzny polskiej, a jednocześnie studjuje teorię galeryi kontr-minowych, obmyśla nawet pewne ulepszenia w ich systemie, czem zdobywa sobie nawet głąchą sławę wśród oficerów.

Te marzenia i prace pozostają jednak najzupełniej jałowe. Rozłucki od śmierci Tani już nie włada sobą. Pewnego razu przysłała mu myśl, by zobaczyć i poznać tę, dla której dobywał szabli i krew przelewał: piękną młodą Polkę. I oto widzimy go tego samego dnia w wagonie kolei żelaznej, pędzącego na dale-

kie Podlasie, nad Bug, zajeżdżającego bez wyraźnej przyczyny i celu do obcego domu, gdzie przyjmują dziwnego gościa w mundurze artyleryjskim z niemałym zdziwieniem i zakłopotaniem.

Tejże nocy prowadzi Piotra na nabożeństwo unickie w lesie rezydent miejscowy, ksiądz Wolski, skłócony z władzą kościelną, a potrosze i z samym sobą, i pracujący gorliwie dla dobra nieszczęsnego ludu, dziwak dobroduszny, mający jednak swoje chwile istotnej wzniosłości, nabrawszy po jednej rozmowie dziwnego, niczem nieusprawiedliwionego zaufania do poznanego przed kilku godzinami oficera.

Jeszcze mniej zrozumiałym jest stosunek do Piotra hr. Nastawy, dumnego arystokraty, do szaleństwa rozkochanego w pannie Marzeńce; Nastawa przeczuwa w Rozłuckim rywala, gdy więc podczas ciemnej nocy wracają obaj karetą, korzy się przed nim, do nóg mu pada, byle się z drogi usunął...

Jedyny czyn wybitny, jakiego dokonywa Rozłucki, jest dziełem przypadku: dowiedziawszy się od skruszonego podoficera Biereżkowa o istnieniu planu przekupienia straży i uwolnienia zamkniętych w fortecy Zasięku więźniów politycznych, odbiera od niedoszłego winowajcy klucze i sam wypuszcza tych, którzy u.u. byli najzupełniej obojętni, do których „przywykł nienawistnie, jak przywykł do murów, ziemnych nasypów, armat, fos i korytarzy podziemnych.“ Żadna potrzeba wewnętrzna postępku takiego nie usprawiedliwia.

A jednak postępek ten wykoleja Rozłuckiego do reszty. Wykoleja też w zupełności i powieść samą. To, co się na ostatnich stu stronicach „Urody życia“ dzieje, jest jakby snem o dowolnie zmieniających się, bez logicznego związku, obrazach. W Krakowie Piotr jest świadkiem w jakimś dziwnym, po średniowiecznemu pojętym sądzie partyjnym nad księdzem Wolskim, oskarżonym o rzekome roztrwonienie sum publicznych: to obraz „podłości w Polsce“, poczem obaj bankruci życiowi wyjeżdżają do Paryża, aby po kilku tygodniach ni stąd, ni zowąd, puścić się na drugą półkulę.

Gdy po wielu latach strasznych walk życiowych, nadludzkich wysiłków i upadków powracają obaj do Europy, sprzymierza się z nimi jeszcze jeden wykolejeniec: powracający z Sachalinu wygnaniec polski, Gustaw Bezinian. A kiedy znaleźli się wszyscy trzej w Londynie, następuje iście tragikomiczna scena, przedstawiająca, jak ten tryumwirat wyrzuconych za burtę życia rozbitków poprzysięga sobie nawzajem, wobec huczącego miasta, niezmiernej siedliska potęgi, że „pomnożą do najwyższej grani-

cy moc polskiego ducha... władzę polską... pracę polską... dobro w Polsce...“

Te podniosłe wyrazy brzmią, jak krwawa ironia. Przecież ci nieszczęśliwi rozumieją chyba, że dla Polski nic, nie zupełnie uczynić nie mogą: Wolski, z trudnością zarabiający na obczyźnie na kawał czerstwego chleba, niebawem ginie nam z oczu doszczętnie; Bezmian, nazajutrz po przyjeździe do Warszawy, zostaje aresztowany, może znów odwiedzi Sachalin?

A Rozłucki? Rozłucki najwyżej sięga: zdawna zamiłowany w lotnictwie, buduje statek powietrzny i wznosi się na nim w przestworza, śmiga nad Bałtykiem, nad Polskim Morzem, aż wyczerpawszy zbyt szczupły zapas benzyny, spada w wodne odmęty i budzi się — na okręcie wojennym marynarki pruskiej, otoczony przez ludzi o stalowych, nienawistnych spojrzeniach.

Tak się kończy ta polska tragedia...

Nie zbawi Polski machina latająca, jak ocalić jej nie zdoła przyrząd cudowny, niweczący całe armie nieprzyjacielskie, w zakończeniu „Róży“. Nie mechanika rozrządza losami narodów...

Cóż więc pozostaje po „Urodzie życia“? Dlaczego Piotr, póki był oficerem rosyjskim, miał przed sobą jasno wytknięty cel, do którego dążył wytrwale, a skoro zbudziła się w nim dusza polska, poczuł w sobie niemoc i rozterkę? czemu trudy Rozłuckich, Wolskich, Bezmianów, pędzonych wichrem niedoli po świecie, idą na marne, rozsypują się w próchno, jak krzyż samotny na mogile powstańca?

Czyżby — straszno zadać sobie to pytanie — te niepowodzenia bohaterów ostatniej powieści Żeromskiego miały być symbolem bezpłodności wszelkich wysiłków polskich?

Gdyby tak być miało, byłoby to wprost okropne, a „Urodę życia“ musielibyśmy uznać za najrozpaczliwszą z powieści polskich; chcąc bowiem utwór ten uważać za logicznie i konsekwentnie przeprowadzoną całość myślową, musielibyśmy, mimowoli i wbrew wszelkim popędom uczuciowym, stanąć... na gruncie generała Polenowa i Tatjana.

Tak przecież nie jest. W tej otchłani ciemności tu i owdzie migają przecież światelka: praca Kamy i Witolda nad uświadomieniem ludu, chłopci, przychodzący do stryja Michała „na gazetkę“, uczniowskie kółko „kozdrojowców“, orzeczenie stryja Michała o roli ludu w minionych i przyszłych dziejach narodu, a nade wszystko owo piękne marzenie o przyszłej wolnej Polsce ludowej.

Dochodzimy więc do wniosku, że „Uroda życia“, jak w poszczególnych epizodach nie jest dostatecznie wymotywowana, ule-

gając nieraz wszechwładnemu *sic volo* autora, tak i w całości kształcie swej budowy przedstawia obraz rozstroju i rozterki, smutny obraz tego bezwładu czynu przy nadmiernie pobudzonej wyobraźni, jakiemu ulegali i ulegają najwybitniejsi twórcy nasi ostatniego pokolenia.

W duszy Żeromskiego walczą rozpaczliwie dwa wrogie sobie duchy: Ormuzd, bóg światła, i Aryman, szatan ciemności. A chociaż pierwszy z nich ma chwile swego tryumfu, zawsze w końcu „Aryman mści się“ i pisze na kartach powieści autora „Popiołów“ mroczne „dzieje grzechu“.

Albowiem „dobry jest szatan i państwo jego rozkoszy: noc...“

*

*

*

Jednocześnie z „Urodą życia“ ukazały się dwa nowe dzieła Stanisława Przybyszewskiego: powieść p. t. „Mocny człowiek“ i dramat trzyaktowy „Topiel“.

W „Mocnym człowieku“, który minął dotąd jakoś bez żywego echa, Przybyszewski zdaje się powracać do dawnych swoich marzeń o nad-człowieku, których obrazem jest trylogia p. t. „Homo sapiens“. Bohaterem tytułowym utworu jest idący przebojem przez życie dziennikarz, Henryk Bielecki. Ma on przyjaciela, suchoтника, niezwykle utalentowanego poetę, Jerzego Górskiego. Nieszczęsny ten młodzieniec jest już nad grobem, wie o swoim stanie, ale—wszystko mu już teraz jedno, drwi z życia, drwi ze świata, z siebie samego, drwi gorzko z Henryka. Gotów mu oddać, rzucić gestem wielkopańskim wszystkie swoje papiery, zrobić go jedynym spadkobiercą całej swej spuścizny literackiej, dla niego bowiem te ochłapy myśli nie przedstawiają żadnej wartości...

Bielecki podchwytuje tę myśl, a chcąc być bliższym jej urzeczywistnienia, podsuwa choremu—fłaszeczkę ze strychniną. A kiedy rzecz się dokonała, w obliczu sztywnego trupa samobójcy i jego kochanki, cichej i łagodnej Łusi Szumskiej, kradnie wszystkie papiery zmarłego.

Niebawem rozgłosiła sława przed całym narodem, że Henryk Bielecki otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie dramatycznym. Optywa więc teraz w dostatki, szacunek, uznanie, wziętość...

O tem, że dramata jest własnością duchową nieboszczyka, wiedzą tylko dwie kobiety: Łusia, którą pociągnął ku sobie Bielecki urokiem swej mocy, i Ada Karska, kobieta-demon, rozciągająca z kolei nad Bieleckim tajemniczą władzę swych niesamowitych powabów.

Karska nie zdradzi tajemnicy, o nie! Ale Łusia... Łusia jest nieostrożna, nieobliczalna, Łusia to słaba, nerwowa istota. Łusia przytem nie przestała jeszcze kochać Jerzego, jest więc dla tamtych obojga wielce niebezpieczna. Trzeba przeto usunąć ją z drogi. Bielecki zręcznie to urządzi: jakiś wypadek na morzu, wyrwana barka, tajemnica Górskiego utonęła w falach Adryatyku. Resztę papierów Jerzego Bielecki wraz z całym domem podpalił — wszystkie ślady zbrodni zaginęły. *Sic itur ad astra*, temi słowami kończy Przybyszewski swą ostatnią powieść.

Ad astra? Ktoś złośliwy mógłby to strawestować: „tak idzie się na szubienicę“.

Że Bielecki jest łotrem godnym szubienicy, o tem sam autor zdaje się nie wątpić. Truciciel, złodziej, oszust, podpalacz i zabójca nie wart niczego lepszego. Popatrzmy, z jaką zimną krwią częstuje przyjaciela strychniną, niby ze współczucia nad nim, żeby w każdej chwili był panem swego życia i śmierci; posłuchajmy, jak ohydnie naradza się dwoje zbrodniarzy: Henryk i Ada, jak zgładzić ze świata Łusię, niewinną, trwożną gołębicę; zauważmy, jak nikczemuie uspokaja Bielecki swoje sumienie względem Łusi, drwiąc z niej, z rozmazganej duszyczki i śmiesznego sentymentalizmu!

Ale teraz zachodzi pytanie: czem usprawiedliwi Przybyszewski tytuł swej powieści? O tem, że Bielecki jest mocny, mówi się wielokrotnie w powieści. „Jesteś silny, mocny, masz władzę i mir!“—woła doń Jerzy. „Och, ty mocny człowieku!—przytrzymała się doń Ada—jesteś bezwzględnie do szpiku kości łotrem, niezwykle inteligentnym, niezwykle bystrym“! A po jego odejściu, przeciągając się rozkosznie, dodaje: „Niezwykle szarmancki łotr“!

Przyznam się szczerze, że nie znajduję w Bieleckim żadnego powodu do tych pochlebnych epitetów. Zręczny dziennikarz, rozdymany żądzą sławy i poklasku, a bez odrobiny talentu literackiego, nie posiada w żadnej mierze znamion jakiegokolwiek wyższości.

I oto stajemy wobec pytania: czem jest dla Przybyszewskiego Henryk Bielecki, nadcześniakiem, czy pospolitym zbrodniarzem? inaczej mówiąc: czy określenie „mocny człowiek“ na-

leży rozumieć dosłownie, czy ironicznie? Jeżeli dosłownie, zna-
czyłoby to, że Przybyszewski stracił wszelką miarę i poczucie
jakiegokolwiek słuszności w ocenie swych bohaterów, że jego doktryna
o nad-człowieczeństwie zblądziła w ohydne nory zbrodni i krymi-
nału; jeżeli zaś zawiera się w tem odcień ironii, byłoby to z je-
dnej strony ironiczne zarazem potępienie własnego kierunku twór-
czości z przed lat kilkunastu, z drugiej zaś sprowadziłoby to „Moc-
nego człowieka“ do poziomu nowoczesnego *Rauberroman*, a Bie-
leckiego postawiłoby tuż obok... Arseniusza Lupina i innych po-
dobnych mu „bohaterów“, „królów-włamywaczy“, „lordów-zło-
dziejów“, tem tylko odeń różnych, że w samej rzeczy o wiele
zręczniejszych i prawdziwie „szarmanckich“.

Sprowadziwszy „Mocnego człowieka“ do takiego złowro-
giego dylematu, z którego wyjścia niemasz, chyba żebyśmy (do
czego nas tekst powieści nie upoważnia) bohatera tytułowego
chcieli uważać za niepoczytalnego szaleńca, którego opanowała
mania wielkości, uważam, iż dość już długo zajmowałem nin
uwagę czytelników. Pragnę teraz kilka słów dodać o dra-
macie.

Od pewnego czasu Przybyszewski opatruje swe utwory przed-
mowami, w których bądź tłómaczy się ze swych zamierzeń arty-
stycznych, bądź nawet zabiera głos w sprawach osobistych. Jest
coś nieprzyjemnego w tem wprowadzaniu ciekawskich do własnej
kuchni literackiej; przykrzejszym jeszcze zgrzytem odzywają się
zwierzenia w rzeczach domowych i rodzinnych.

W *post-scriptum* do „Topieli“, zatytułowanem „Ad aeternam
rei memoriam“ występuje w obronie samego utworu — i własnej
przeciw potwornym plotkom i domysłom, wkraczającym „w sferę
jego najbliższego otoczenia; znaleźli się bowiem oszczercy, któ-
rzy w dramacie tym chcieli widzieć obraz stosunków rodzinnych
autora, a przeto ujrzał się zmuszonym „bronić swój dom i tę,
która jego dom stanowi i jest mu najbliższą: żonę swoją, przed
najniedorzeczniejszą potwarzą“.

Nie wiem, o jakich tu plotkach mówi Przybyszewski, a gdy-
by nawet mię doszły, nie przywiązywałbym do nich żadnej wagi.
Dziwić się tylko mogę, że pisarz tej miary, co autor „Synów zię-
mi“, uważa za stosowne i godne siebie polemizować z gawiedzią
i tłómaczyć się przed nią.

Co powiedzieć o samym utworze? Jeszcze to jedno, zani-
kające, przytłumione echo dawnych piosenek: mocny, mocno me-
lodramatyczny uwodziciel, którego ofiarą pada naprzód ciotka,
a potem — siostrzenica, wuj, mól książkowy, w tejsze siostrzenicy

skrycie zakochany, bezczelny cynizm donżuana, rozpacz i samobójcza śmierć nieszczęsnej dziewczyny, kiedy dowiedziała się całej prawdy, tematy to pozornie nowe, w istocie jednak nie posiadające w sobie nic, coby przykuć mogło myśl i wyobraźnię czytelnika. Przechodzimy około tego, jak mimo sensacyjnego wypadku, wyczytanego w piśmie brukowem, myśląc sobie: „Dziwne bo rzeczy na świecie bywają“!

Mówi Przybyszewski w wyżej wzmiankowanym *post-scriptum*, że rywalizacja między macochą a pasierbicą „w znaczeniu estetycznym“ byłaby „sensacją“, z „natury rzeczy musiałaby przybrać ordynarny charakter“. Nie umiem sobie doprawdy wytłumaczyć, czem lepsze i dostojniejsze jest pod tym względem współzawodnictwo ciotki i siostrzenicy?

Wartości zaś estetyczne „Topieli“ nie są bynajmniej tak wysokie, by z tych zawikłanych stosunków z dziedziny *faits divers*, uczynić istotne dzieło sztuki.

Z nowych, nie spowszedniałych w dramatach Przybyszewskiego postaci znajdujemy tu: płaskiego pieczeniara z wytartem czołem, ofiarowującego się do posług najniższego rzędu, i arystokratę, matołkę, który co drugi wyraz nazywa siebie „pokraką“, „idytą“, „osłem“, „krową w obcym zagonie“, „degeneratem“, przysięga się: „jak mamusię kocham!“ i tysiąc podobnych popełnia niedorzeczności.

Przyznać należy, że takie epizody nie przyczyniają się do urozmaicenia akcji dramatu, który w głównej swej osnowie świeci światłem nie własnym, lecz odbitem od dawniejszych dzieł scenicznych Przybyszewskiego.

Wszystko to zaczyna już być—przebrzmiałą piosenką.

*

*

*

Od kilku lat Antoni Lange, wytworny poeta, dramaturg i essayista, występuje w nowej roli: beletrysty. Pisze oryginalnie pomyślane „Opowiadania“; tworzy obraz symposionu brukowych *viveurów* w przedmiocie miłości i kobiety w powieści p. t. „Stypa“; w ostatnich zaś miesiącach puszcza w świat dwa zbiory nowel: „W czwartym wymiarze, opowiadania“ i „Elfryda, nowele i fantazy“.

Pociąga nas przede wszystkim pierwsza z tych książek samym tytułem sensacyjnym. Spodziewamy się czegoś egzotycznego w najskrajniejszym znaczeniu tego wyrazu, czegoś, sięgającego niezmiernie daleko poza granice wszelkich spraw ziemskich i ludzkich.

I nadzieja nie zawodzi nas. Dawno nie czytaliśmy już w naszej beletrystyce utworów o pomysłach równie fantastycznych, dawno już nie spotykaliśmy obrazów równie śmiałych i niezwykłych: ktoś odmładza się w jednej chwili, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, ktoś inny posuwa się w czasie wstecz zamiast naprzód, jeszcze inny ma swego tragicznego sobowtóra i t. d.

Sąż to mary rozplamionej wyobraźni? Nie! Lange-sceptyk powołuje te dziwo-twory do życia mocą nie wyobraźni, lecz zasilonego kulturą estetyczną i naukową rozumu, tworzy te obrazy na wspak jakby dla igraszki, nie ludząc się bynajmniej nadzieją, by sceny te mogły mieć jakąkolwiek inną wartość ponad chwilowe podniecenie ciekawości. Lange-racyonalista nie jest ani trochę mistykiem, i jego świat nadprzyrodzony jest wytworem czysto mózgowym.

Że jednak szarże te wyszły z pod pióra autora utalentowanego, o rozległej erudycji, że pisane są przez człowieka, który w wysokim stopniu posiada technikę literacką, nie więc dziwnego, że czyta się je z zajęciem, ogląda z zaciekawieniem, jak bibelot misternej, artystycznej roboty, bez względu na to, czy autor wierzy w płody swej własnej myśli, istniejące jakoby „w czwartym wymiarze“, czy też sam się ironicznie uśmiecha.

Bardziej przyziemne są utwory, zawarte w zbiorze p. t. „Elfryda“. Mały tu kilka dobrze podpatrzonych typów (stróż nocny, filozof-moralista w „Widłaku“, pastelowy profil dziewczęcy w noweli tytułowej, wzór samoluba-sybaryty w „Testamencie“), garść zręcznie, zajmująco i żywo opowiedzianych zdarzeń, prawdziwych lub zmyślonych („Schadzka“, „Melodramat“, „Rzeczywistość“, „Pojednanie“, „Zupa więzienna“).

Najmniej udatny jest obrazek p. t. „Bogowie“, świadczący, że psychologii dziecka nie zna autor zupełnie.

Lange nie jest urodzonym nowelistą: środek ciężkości jego dorobku piśmiennego leży gdzieindziej, w liryce. W mowie niewiązanej czuje się on dotąd (a może i zawsze będzie się czuł) jakby na obcym gruncie, jakby szukał właściwej sobie drogi, wahając się pomiędzy realizmem życia powszedniego a wybujałością

egzotyizmu nadzmysłowego, czasem też zbaczając w kierunku dydaktyki („Stypa“).

Ale chociaż nowele te nie oczarują wyobraźni, pozostaną w literaturze, jako świadectwo istotnego talentu, bystrego umysłu, bogatego w pomysły, które pod piórem autora nabierają kształtów prawdziwie artystycznych.

A teraz, spłaciwszy winną dań aktualności, powracam do przerwanego w poprzedniej kronice wątku: zbyt już bowiem długo kilkanaście tomów i tomików utworów lirycznych i poematów dramatycznych oczekuje na swoją ocenę.

*

*

*

Ten przegląd liryki ostatnich miesięcy rozpocząć mi wypada od Kazimierza Przerwy-Tetmajera: z urzędu mu, ze stanowiska, jakie oddawna zajął w poezji naszej, ten zaszczyt należy.

Przypaść mu winno tem więcej pierwszeństwo, że wydana obecnie VII serya jego „Poezyi“ zawiera niejedną najczystszej wody perełkę natchnienia. Zmieniają się nastroje zasadnicze, coraz to inne akordy zrywają się z jego gęślików góralskich, ale siła dźwięku nie słabnie, czystość jego nie mąci się. Po uniesieniach miłosnych, po głębokiej tęsknocie do Nirwany, po męskim poczuciu siły i pełni życia, po grzmiącej pobudce rewolucyjnej, po gorącym umiłowaniu natury i piękna przychodzi chwila uspokojenia, przylegają fale namiętności, przycicha serce, a jednocześnie na duszę zapada szary mrok smutku, zapowiedź wieczoru życia.

Dziś, kiedy życia mego słońce zwolna spada,
ni przyjaźń mnie otacza, ani wdzięczność ludzi;
z jednej strony mej stoi melancholia blada,
z drugiej cień, gdzie nadzieja niczego nie łądzi.

A przecie w tej „z słońcovej kości mojej wieży“
niejeden bok się szczerą ludzką krwią czerwieni,
niejeden jęk ludzkości w fundamencie leży
i u szczytu dusz ludzkich dość świeci płomieni.

Dziś, kiedy życia mego słońce dąży spadać,
jedno li widzę, czego trzeba mi żalować:

zem był zmuszony słowo swoje wypowiadać,
a nie mogłem li sobie w sobie go zachować.

Tak skarży się poeta w pięknym wierszu p. t. „Straszny żal“. A smutek swój, smutek człowieka, czującego, że więcej ma poza sobą, niż przed sobą, wyraża nietylko bezpośrednio („Źródło“, „Dawna chwała“, „Życie“, „Elegia na wiolonczelę“), ale i przyobleka je w czarowne kształty prostej, lecz jakże wymownej dla duszy pieśni góralskiej. I wtedy jest, mimo całej prostoty, iście ludowej, najkunsztowniejszy.

Posłuchajmy naprzykład bolesnego dyalogu poety ze starym gazdą-przewodnikiem, „ostatnim z dawnych jego przyjaciół“, z którym żegna się—już na zawsze, jak i z niejednym wspomnieniem młodości.

— Cyt! Bądź zdrów, mój stary!

Już my się więcej nie obaczym,
mrok się na świecie rozległ szary,
na tym parszywym i sobaczym!

Mieszczkańskie drumle skomlą w mroku —
bądź zdrów! bo mi twe słowa głuszają — —
odejdz i stań mi tam w uroku,
gdzie człowiek dojdzie tylko duszą.

A jest to świat zaczarowany,
świat dziwów, strachów i mocarzy,
Święty Las w ciszy nieprzebranej,
który szczeł — a dziś duch go marzy...

Albo nastawny ucha, skąd dochodzą smętne tony śpiewnej rozmowy Juhasa i Pasterki, melodia rozległych hal, po których dźwięk niesie się daleko po rannej rosie hen, ku dolinom, budząc echa uspione po ciemnych jeszcze źlebach skalnych. Juhas woła z sercem ściśniętem:

Hej! ka sie nam podziła
dawna kwała i siła?

A do Pasterki zwraca się z pytaniem: „Coz ty bedzies robiła“? A ona odpowiada mu z bezradnością pogrzebanych nadziei: „A jo bedem płakała“. To pytanie i ta odpowiedź, jak smętny refren, powracają uparcie w tym wierszu.

Wysłuchajmy się w rzewne zawodzenie Juhasa:

Powidz mi, powidz mi,
 moja Maryś jedyna,
 cy juz lepi nie bedzie
 la mojego hoć syna?
 Powidz mi, powidz mi,
 bo unnie hawok poskrąca!
 Jo nie z takik ludzi jest,
 co krew pili z zająca!
 Powidz mi, powidz mi,
 bo sie prasne ze skały—
 cy juz nigda nie bedom
 moje ocy sie śmiały?
 Eh! na mój sto prawdu,
 eh! pre Boga zywego!
 Wyjńdem hań na wirsycek,
 jo sie prasnem w dół ś niego!

Trzeba choć jeden ranek przemarzyć na hali tatrzańskiej, trzeba posłuchać rzewnych pieśni góralskich, posłuchać, jak przedłuża się, rozciąga w dal, ginie gdzieś w głębiach przepaści, na niedościgłych turniach ostatnia zgłoska każdego wiersza, by odczuć w całej pełni piękno tego utworu. A wtedy opłynie cię mgła wspomnień niepowrotnej młodości, z dalekich wirchów zstępująca w dolinę, wypełni ci się dusza tęskną melodią żalu, a wzrok poprzez mgły, coraz gęstszym całunem otulające widnokrąg, śledzić będzie z niepokojem niknące obrazy przeszłości..

Niemniejszej wartości artystycznej jest wiersz p. t. „Stary las“, dwugłos opuszczonej przez kochankę Pasterki i Wędrownego Juhasa, którego duch niespokojny nie umie zadowolić się szczęściem w wiernej i cichej miłości. Utwór ten do złudzenia naśladuje melodye tatrzańskie.

Czasem jednak powracają dawne nastroje dziarskości i mocy. Dowodem tego z istic zbójnickim roznachem i werwą szaloną napisany wiersz p. t. „Jak Janosik tańczył z cesarzową“. Naiwność pomysłu ogólnego i szczegółów, odpowiadająca wiernie pojęciom ludowym, jednoczy się tu z hardą tężyzną dzieci natury.

W takie kształty artystyczne zaklina Tetmajer swe własne przeżycia. A chociaż zapewnia (w wierszu „Był czas“), że poezya jego dziś ma charakter wyłącznie osobisty, jednak nie zerwał nici, wiążącej go z cierpiącym ogółem:

Jam własnej tylko myśli mojej
 poetą — — gdzie mnie wicher rzuci,
 tam harfy mojej struny stroi,
 szumi mnie tylko pieśń pojęta,
 pieśń, której niczem świat nie pęta — —
 to jedno boli, żeście skuci.

I oto jeszcze jeden powód, dla którego poezye Tetmajera, w niniejszym zbiorze zawarte, tak żywo przemawiają do serca.

*

*

Skoro mówimy o góralach i góralszczyźnie, czas teraz i miejsce właściwe, by poddać ocenie krytycznej dwie najnowsze książki Władysława Orkana, najstarszego z poetów „młodego Podhala“, których działalność scharakteryzowałem w poprzedniej kronice.

Jedna z tych książek to zbiór liryk p. t. „Z martwej roz-toki“. Ten nagłówek zawdzięcza zbiorowi naczelnemu z utworów, w którym poeta daje obraz poręby, cmentarzyska lasu:

Niedawno jeszcze, baczę,
 Stał tu smrekowy las —
 Szumiały drzewa —
 Dziś pustka — ja — i ten czas,
 Co się we wieczność przelewa...
 Na cmentarzysku w uboczy
 Stoją trzy jedle-suchary.
 Szerniały ich szkielety
 Widzę na nieba przezroczy.
 W górę wzniesione ich konary
 Zdają się krzyżeć: niestety!
 Za żywa z kory odarte,
 Żalobną pełnię tu wartę.
 Tak moje odarto wiary...

Orkan nie jest rymopisem. Wiersze jego twarde i chropawe, nie pieszczą ucha, nie czarują kunsztowną budową rytmiczną. Ale z nich szczerze i — wymownie przemawia dusza, dusza, „odarta z wiar“, dusza smutna, jak pustka i zniszczenie:

Wszystko w przepaść otchłanną się sypie,
 Rozbija się w popiel, w pył ziemisty —
 Ostaje tylko, jak przygryw na stypie,
 Smutek wieczysty.

Ten sam, co u Tetmajera, żal za tem, co przeżyło się, co nigdy nie powróci:

Już nie wróci, nie wróci
 Młodości mojej burza —
 Czas się przede mną króci,
 A za mną się wydłuża...

Rośnie cementarz krwi mojej,
 Maleje los mych czynów —
 Cóż się śmierci ostoi?..

Rosną kopce spopieleń
 Najdroższych borów serca —
 Jaki-że to wydzierca
 W proch zagroził ich zieleń?

Nie strzelały-ż w obłoki?
 Nie rosły-ż ziemi chwałą?
 Czas po nich przegnał roki,
 I cóż z nich pozostało?

Gdzieindziej mówi poeta, że to, co w nim istniało, żyło jego „kwią serdeczną“, dziś jest „spopieloną mogiłą wieczną“, że wszystko mija bez śladu, zostaje tylko, jak „stygnat z oparzeń, smutek tych rzeczy“, że „sypie się gruz“ jego szczęścia „w otchłań czarną, niby w gardziel mroku...“ Tak nastroje te i obrazy ich poetyckie powracają uporczywie w licznych wierszach tego cyklu.

I te wiersze, mimo swej nieokrzęsanej nieco formy, naprawdę mówią do duszy. I w nich tylko jest Orkan prawdziwym poetą. Nie można tego natomiast powiedzieć o utworach refleksyjno-gnomicznych (z cyklów „Refleksye“, „Na rozstaju“), mniej zaś jeszcze o wierszach opisowych, daru bowiem malowania w wierszu Orkan w znaczniejszym stopniu nie posiada, a poezye jego nie są w dostatecznej mierze muzyką słowa, by wynagrodzić brak plastyki.

Mowa bogów nie jest zresztą właściwą dziedziną autora „Komorników“. O wiele lepiej czuje się on w prozie. Świadczy o tem najnowsza powieść, „Drzewiej“.

Nie po raz pierwszy zwraca się Orkan, jako do źródła natchnienia, ku swemu rodzinnemu Podhalu i tamecznemu ludowi, umie odtwarzać w obrazach silnych i śmiałych tragedye i dramaty, których widownią jest wieś góralska (dramat „Skapany świat“, powieści: „W Roztokach“, „Komornicy“, „Pomór“).

W „Drzewiej“ sięgnął głębiej jeszcze, pokusił się o odtworzenie poetyckie żywiołu-natury i żywiołu-namiętności. Akcyę odsunął w czasy odwieczne, kiedy ludzie żyli poufale z potęgami przyrody, a lasy, zbocza górskie, doliny i hale, stawy i potoki zaludniał rój istot żywych: duchy leśne, małe naguski, topielczyki, planetnicy, południce, boginki, a starzy potężni bogowie: Jesza, Niega, Dzedzilla, Swaróg, walczą o lepsze z nowym: Krystosem.

A ludzie? To pół-dzikie jeszcze twory natury, których pierwotnej prostoty nie skaziły dotąd żadne wpływy cywilizacyi. Grają w nich tajemnicze siły przyrody, żadnym nie strzymywane hamulcem: oto bohaterka powieści, Jewka, dziewczyna góralska, w skwarne, rozkoszne południe, zrzuca z siebie lniane szatki i tarzają się na łące, w gęstwinie traw, „naga, jak bóstwo, równie, jak bóstwo, piękna“...

Pozornie ochrzczeni, noszą w sobie duszę starego poganina i panteisty: „Niech cię nasz stary Jesza i Krystos chronią od zła. Choć mówią, że Jesza już zdał całą władzę na Niego“, tłumaczy się stary, ostrożny gazda Cichorz, a gdzieindziej, zwracając oczy swe ku słońcu, modli się: „Boże wszechmocny, dobry, który wszystkie sprawy ładzisz, nie wypuszczaj nas z opieki swojej, nie daj dostępu złemu“... Imienia boga nie dodał, nie będąc „doznaku pewnym“, którego „władza“ jest większa: „Chrysta-Odkupiciela“, czy Jeszy-Świętowita“.

Słowem, mamy w „Drzewiej“ podobny obraz zmieszania poglądów i wierzeń, jak w „Legendzie Tatr“ Tetmajera.

Panteistą jest i sam poeta w swej ostatniej powieści: nie tylko umie kreślić stany duchowe ludzi-dzieci natury, ale i zwierząt, którym ludzkie myśli i uczucia nadaje; pouczający jest pod tym względem rozdział p. t. „Łowy“, wizerunek starego, chorego niedźwiedzia, którego przytłukło drzewo, wizerunek, niepospolicie pod każdym względem pomysłany.

Na tem tle rozgrywa się tragedia, tragedia, rzechy można, rodzinna, gdyby nie żywiołowość uczuć i namiętności, grających w piersiach uczestników. Jewkę, córkę starego Cichorza, kochają z nieposkromioną siłą namiętności obaj bracia: Prokop i Daniel, a raczej obaj domniemani bracia, Daniel bowiem podrzucony był

w niemowlęctwie przez boginki i sam jest synem boginki. Dziewczyna obu lubi porówno, wysła ich więc do lasu po paproć, kto z nich ją pierwiej przyniesie, ten ją posiądzie.

Koniec tego wariantu na odwieczny temat Balladyny i Aliny wiadomy: Prokop zabija Daniela. Ale szczęścia mu ten krwawy tryumf nad bratem-współzawodnikiem nie daje. Chcąc zagłuszyć szarpiające mu pierś wyrzuty sumienia, rzuca się do szalonej walki z puszcza, aż pada w nierównym boju, a na jego piersi krwawe zwała się tryumfalnie Mrok...

Rozdzierający serce „płacz Jewki“, która w tak straszny sposób obu braci-kochanków straciła, płacz, w którym nieszczęsna szuka ukojenia i współczucia w otaczającej przyrodzie („O, schrońcie mię, wy jedle! O, przyjmijcie mię, sinreki! O wy, buków wzniosłe konary, dajcie mi dach litosny! Nie karzcie wy mnie przecie, gdy los ten bezlitosny odepchnął mnie na wieki — — O świećcie! świećcie! świećcie!“), kończy ten utwór, w szeregu dzieł autora „Komorników“ jeden z najniepospolitszych, dzięki prawdziwej sile i poetyczności wyrazu.

Twórczość Orkana, nie doceniona dotąd, zubożyła się o jedno jeszcze, ze szlachetnego kruszcu, ogniwo.

*

*

*

Dziś dopiero znalazłem sposobność omówienia spuścizny pośmiertnej niedawno zgasłego, u progu świetnie zapowiadającej się twórczości, poety. Mówię tu o Antonim Szandlerowskim, którego poemat dramatyczny, wydany przed kilku laty, „Paraklet“, miałem sposobność witać na innem miejscu, jako objaw szczerego, niezwykłego talentu.

Nadzieje, pokładane w Szandlerowskim, rozwiały się z jego zgonem przedczesnym. Spalił się duch mocny w płomieniu tragizmów życiowych, pozostała garść prochów, nieco fragmentów poetyckich, liryk, nastrojów i listów.

Z tyłu pamiętek złożyły się dwa tomy: „Poezye“ i „Confiteor“.

Dwa uczucia przewijają się i płaczą w twórczości Szandlerowskiego: miłość Boga i miłość kobiety. W naczelnym wierszu w zbiorze „Poezyi“, p. t. „Panień!..“, woła poeta:

Z nią (t. j. z pieśnią) pójdę. Dokąd sny me nie dolecą.
 Dokąd pioruny wracają po burzy...
 Ani mnie gwiazdy nie zwabia, że świecą...
 Ani się zlekne gromów u podnóży...
 Krzyżem naznaczę pierś — jak błyskawicę !..
 Ustami dotknę przenajświętszej kruży...
 Pierś mą skorale miłością człowieka —
 I pójdę, gdzie mnie *Bóg* i *Miłość* czeka !..

Oba te uczucia dobywają z piersi tonów czystych i mocnych, żadne nie brzmi fałszywym akordem. Posłuchajmy np. zwierzeń miłosnych:

Kocham twe oczy — jeziora bezdenne,
 Gdy bazaltowe ich głębie rozblyszły...
 Kocham twe oczy — błyskawice sene,
 Gdy w mrocznej chmurze omdleniem zawisną...

Kocham twe oczy — świątynne ołtarze,
 Z których się bóstwo z cicha wypromienia...
 Kocham twe oczy — czarne wirydarze,
 Gdzie srebrne ptaki tulą lśniące drżenia...

Kocham twe oczy — leśne uroczyska,
 Gdzie odprawiają duchy swe zakłęcia...
 Kocham twe oczy — podziemne ogniska,
 Co zapalają się w cud — Wniebowzięcia !..

Ale ta właśnie miłość gorąca i pełna czci dla ukochanej kobiety była tragedią Szandlerowskiego: on, kapłan katolicki, wiedział, że mu „czcić bogów obcych nie wolno“. Chce wprawdzie wznieść się ponad zimne nakazy i formuły, jest nawet chwilami pewien, że zdeptał je w swem sercu i wywyższył swą miłość ponad grzechową zamię, że niemasz rozterki w jego burzy:

A ty, o Duchu, dasz świadectwo słudze,
 Żem Cię ukochał w prawdzie i światłości...
 A kiedy kłamię — w mąk ognistej strudze
 Palilem ciało... krew... ducha... i kości...
 A gdym Cię dotknął — czulem, że nie brudzę...
 Gdym tron Twój kruszył — niosłem w wysokości!..
 Tyś mię rozgrzeszył, Duchu... a w dłoń wraził
 Miecz, abym bogów nim sięgnął — przeraził.

Tyś mię rozgrzeszył, bom dojrzał twe Moce
 Nie tam, gdzie piorun pada i spopiela...

Nie w trwodze, która Twe imię bełkoce...
 W mieczu, co pole trupami uściela...
 Nie w zimnej, głuchej i ślepej opoce...
 Nie błyskawicą zbrojnego mściciela...
 Ja Cię znalazłem nie tam — w wysokości...
 Lecz tu... w jej sercu... w królestwie Miłości!..

Ale, pomimo tych zapewnień, czujemy w lirykach Szandlerowskiego podziemne luki i dreszcze, świadczące, że serce jego dalekie jest od ukojenia...

Niemniej erotyki autora „Parakleta“ to harmonijna i donośna muzyka uczucia. Dowodem tego, prócz utworów lirycznych, „Dwie pieśni“ nie ukończonego poematu, którego treścią jest — pierwsza miłość naszych prarodziców w raju. Pisany mocną i dźwięczną oktawą, przypominającą czasami wzory Słowackiego, pod względem siły i bogactwa obrazowania, sięga też wysokich poziomów. Dla przykładu jedną tylko zwrotkę przytoczę:

A Ewa wstała i szła. Nad jej głową
 Motyle splotły tęczową koronę
 I popłynęły nad nią — nad królową...
 A gołąb, biały ptak, swe roz tęsknione
 Skrzydła rozwinął — i tajemną mową,
 Trzepotem srebrnych piór — bił o zasłonę
 Złotą, przez którą przezierało lico.
 Zwabiony ptak je śnił swą gołębicą.

I zaprzeczyć się nie da, że w tych obrazach jest Szandlerowski prawdziwym poetą.

Nie mogę zaś tego żadną miarą powiedzieć o tomie, zatytułowanym „Confiteor“. Jest to zbiór listów do ukochanej, „najwspanialszy i najwznioślejszy ogród miłości, jakiemu równego trudno gdzie znaleźć w dziejach serca ludzkiego, w piękno sztuki zaklętych“, jak twierdzi autor przedmowy, znany poeta, Józef Jankowski.

Czytając te zwierzenia serca, mówimy sobie nieraz: jakby to cudnie dało się wyśpiewać! I w samej rzeczy, są rodzaje uczuć, które bez szaty pieśni czy rymów wloką się po ziemi, jak ptak z połamanymi skrzydłami. Miłość, przełożona na język prozy, wpada zazwyczaj w jedną z dwóch ostateczności: albo grzeszy grandilokwencją, albo — zbyt bezpośrednio zmierza ku alkwie. Trzeba być wielkim artystą, by ominąć tę Scyllę i Charybdę. Szandlerowski nie ustrzegł się rozbicia (zresztą, listów tych z pe-

wnością nie przeznaczał do druku), nie uniknął pewnego retoryzmu, sztucznej uroczystości stylu.

Powiem więc: sądzę, że tego rodzaju publikacja umniejsza wprost dostojność i powagę poety w oczach ogółu czytelników. Tak czy inaczej, jest to wdzieranie się w sprawy najzupełniej osobiste. Staje przed nami poeta nie jako wieszcz natchniony, władca dusz, ale jako człowiek ze wszystkimi słabościami ludzkimi, że tak powiemy, w codziennej szacie. Jest to względ, o którym, mówiąc nawiasem, zapominają często biografowie wielkich poetów i wydawcy ich korespondencji.

W zastosowaniu do „Confiteor“ Szandlerowskiego, nie mogę zgodzić się na określenie J. Jarkowskiego: „Piękniejszej rzeczy, zarówno pod względem lotu, jak i jego tęczy rozsypanej, zarówno pod względem piękna metafizycznego, jak i jego wyrazu artystycznego, nie znam w tym zakresie—ani w literaturze polskiej, ani w literaturze świata szerokiego“.

Nie wywołując z grobu wielkich postaci twórców „Pieśni nad pieśniami“, „Raju“, „Sonetów“, „Dziadów“, „W Szwajcaryi“ itd., powiem krótko: znam w tym zakresie rzeczy nierównie piękniejsze: liryki Szandlerowskiego.

*

*

*

Dość już dawno nie przemawiał do nas mową bogów autor „Ekstazy“ i „Nocy bezsennych“, liryk wytworny, poeta uczuć miękkich i zwiewnych nastrojów, Zdzisław Dębicki. Zaprzęgnięty do taczki dziennikarstwa i krytyki literackiej, krótkie zaledwie *otia lucida* poświęcać może twórczości poetyckiej.

Kto wie, czy to właśnie nie jest przyczyną smutku, który gęstą mgłą przysłania horyzont jego myśli i uczuć? Taka mgła bowiem pełźnie ku nam z kart ostatniego zbiorku poezji Dębickiego, p. t. „Oglądam się za siebie“.

Oto jak skarży się np. poeta w wierszu, który dał tytuł całej księżce: „Oglądam się za siebie“.

Oglądam się za siebie... Tyle dni już zbiegło,
Tyle światel przygasło, co się wprzód żarzyło,
Dusza się zbyła złudzeń, a serce radości.

Rozległe moich marzeń roztrwonilem włóści,
A lasy tajnych przeczuć, w pragnieniu prawd skorem,
Zrąbałem nieopatrznie rozumu toporem...

Jeszcze smutniejsza nuta podzwania minorowym akordem
w wierszu p. t. „Winobranie“:

Więc oto dziś, gdy patrzę, jak zbierają plody
Przyjaciele, co mieli w sąsiedztwie ogrody,
Jak się łoży ich bujne gną pod ciężkiem gronem,
Stoję smutny nad cierpkim i napół zielonem
Winem własnem, straciwszy krzepiącą nadzieję,
Że mi jeszcze na słońcu jesiennem dojrzeje...

Próżno codzienną wyglądam jaśniejszej pogody —
Wiatr się zrywa i idą przedzimowe chłody,
Wiejąc pustką i żalem w moje biedne oczy!
O tej porze, kto szczęsny, złote wino tłoczy
I napełnia niem dzbany z wypalanej gliny,
Radując się nadejściem wesołej godziny...

Oto już wokół wszyscy ogrodnicy marzą,
Że się zjedną na ucztę i z wesołą twarzą
Zasiądą w okrąg stołu na dębowej ławie...
Jeśli przyjdą i do mnie — cóż na stół postawię,
Gdy pieśni winobrania z tryumfem popłyną?
Z niedojrzałych owoców cierpkie, kwaśne wino?..

A gdzieindziej temi słowy określa stan swej duszy: „Jakże ciężko w swem sercu rozbitem i chorem spostrzedz pustkę, co gwizdże, jak orzech przepadły, z którego, zanim dojrzał, już jądro wyjadły, kruźganki skryte żłobiąc, czerwie i robaki“.

Taki żal cichy, a przejmujący przemawia do nas z kart liryk Dębickiego, kunsztownych w swem artystycznym ujęciu i wykonaniu. To nie przemijający nastrój, spowodowany pierwszym napotkaniem wrażeniem, ot, bodaj widokiem opadającego liścia; to zawód gorzki i bolesny, którym zazwyczaj życie wypłaca się młodzięcym marzycielom.

Człowiekowi—trudno otrząsnąć się z wrażenia pustki w sercu, obrzasku, jaki pozostawia po sobie cierpki owoc doświadczeń życiowych. Artysta—znajdzie ukojenie w dziełach natury i sztuki, jeśli duszę ma szczerze poetycką. Dębicki żywo odczuwa piękno zarówno w stylowych obrazach epok minionych od średnio-wiecznego gotyku („Anno Domini“, „W zaułku staromiejskim“, „Astrolog“), do wypieszczonego rokoka („Bajka porcelanowa“

„Margrabiny“, „Klawikordu brzęczą struny“, „Na kominku“, „W pałacu“), jak i w ożywczem, kojącem tchnieniu natury (cykl „Z wrażeń włoskich“). A gdy czary natury auzońskiej opiewa, przywodzi nam na myśl niezapomniane obrazy „Italii“ Kono-
pnickiej:

Przede mną morze lazuruowe,
Pogodą lśniące boską,
A za mną szare, biedne życie
Z codzienną szarą troską...

Przede mną szmer błękitnej fali
I bielejące żagle w dali,
A za mną jesień ziemi mojej
Deszczową harfę stroi...

A za mną Polska lka tęsknotą
Za słońca tarczą złotą,
Co na pogodnem niebie sieje
Bezchmurnych dni nadzieję...

W obu więc rodzajach: lirycznego nastroju i lirycznego opisu, jest Dębicki prawdziwym poetą.

*

*

*

Rówieśnik i towarzysz po lutni Dębickiego, Władysław Bukowiński (Selim), rozwija działalność piśmienniczą równie gorliwą i różnorodną: poeta, krytyk literacki, założyciel i redaktor „Sfinksa“, wydawca licznych utworów literackich i naukowych, zapisał się już pamiętnie na kartach dziejów piśmiennictwa naszego ostatnich lat kilkunastu. Pomimo to znajduje czas na poezye, w których spowiada się z wrażeń swego życia. W duszy mu gra dźwięczna harfa Eola za każdym powiewem wzruszeń i przeżyć.

Mam duszę rozśpiewaną,
Jak struny złotych harf.
Gra w niej wieczorem, rano
Moc dźwięków, blasków, barw.

Śpiewa w niej cudna zorza,
Gra poszum starych drzew,

Zawodzą pól przestworza
Swój nieskończony śpiew.

Pieśni pracujących ludzi,
Daleki ptaków chór —
To wszystko w duszy budzi,
Jak w harfy strunach, wtór.

Śpiewa w niej wonna łąka,
Gra strumień pluskiem fal...
Lecz w pieśni wciąż się błąka
Tęsknota, smutek, żal...

Lecz owa „tęsknota, smutek, żal“ nie odzywają się, jak u Dębickiego, ponurem echem pustki i beznadziejności; cichą, spokojną melancholię autora „Ekstazy“ zastępuje u Selima łagodny, młodzieńczy optymizm, który każe mu pogodnym okiem spoglądać na świat i ludzi — pomimo wszystko. I takie też nastroje wyrażają się w nowym zbiorze jego liryk: „Na przełomie“.

Rodzaj i zakres twórczości poetyckiej Bukowińskiego najlepiej, zdaniem mojem, scharakteryzowałoby określenie: poetycki pamiętnik życia. Wspomnienie lat przeżytych, od dzieciństwa i wczesnej młodości, wędrówki po klasycznych krainach Grecyi i Rzymu, wycieczki do Egiptu, gdzie z wierzchołków piramid czterdzieści wieków patrzy na zbłąkanego syna Północy, wraz z czasów ostatniej rewolucyi, pobyt w więzieniu, stosunki rodzinne, wymiana myśli pomiędzy poetą a jego przyjaciółmi i krewnymi, wszystkie te przeżycia w jego śpiewnej duszy przetapiają się na kryształy piosenek.

I tem tłumaczy się, dlaczego w twórczości Bukowińskiego przeważa nad innymi jeden jej rodzaj: list poetycki. Jest to bowiem najswobodniejsza, najbardziej bezpośrednia forma wyrażania na papier rozśpiewanych uczuć.

Dodać należy, iż nuta społeczna donośnie brzmi na harfie poety, który na drogach żywota nie zgubił wiar swojej młodości. Świadczą o tem cykle: „Z pieśni nowego życia“, a zwłaszcza „Echa burzy“, w których brzmi taka np. raźna pobudka:

Naprzód! To jedno hasło przede mną!
Naprzód, ach, naprzód! Wspólnemi siły
Sto słońc zaświecim, gdzie dotąd ciemno,
Do życia zbudzim martwe mogiły!
Oto pękają odwieczne lody,
Oto błysnęło słońce swobody;

Do której tęskni i dąży świat
Przez morze cierpień — tysiące lat.

Naprzód! Przed nami jutrzienka świeci,
A pieśń zwycięstwa huczy w przestworze,
Gdy razem ludu zmierzają dzieci,
Jakaż ich siła powstrzymać może!
Oto już płoną blaski dokoła,
Których duch trupi zgasić nie zdoła,
Mrok i niedola znikają już —
Przed nami tryumf świtu i zórz!

Położona pod tym wierszem data: „31 października 1905 r.“, kazałaby może przypuszczać, że jest on wynikiem chwilowego uniesienia radości i tryumfu, ale — w późniejszych wierszach nie widzimy żadnej rysy na złocistym gmachu nadziei.

Jak Dębicki jest szczerym poetą przez kunsztowną formę swych utworów i gorące umiłowanie piękna, tak Bukowiński zasługuje na to zaszczytne miano dzięki bezpośredniości natchnienia i śpiewnej spowiedzi życia.

*

*

*

O błędnych drogach, na jakie schodzi niepośledni talent satyryczny Jana Lemańskiego, miałem już sposobność mówić w poprzedniej kronice, z powodu „Jasełek“. Nie jest też dowodem opamiętania się i samokrytyzmu nowy zbiorek jego utworów rymowanych p. t. „Zwierzyniec“.

Po różnych zawodach i charakterach ludzkich w „Jasełkach“ przychodzi kolej na — menażeryę. Setka bez mała 12-wierszy, charakteryzujących dzikich i swojskich przedstawicieli świata zwierzęcego. Oto jeden z wzorów — nosorożec:

Choć mina nosoroga (?),
Jest nadzwyczajnie sroga;
Z pozoru — zbójców szef (!),
Lecz straszny jest... dla drzew.

Swym rogiem to stworzenie
Podważa drzew korzenie,

Wrywa z ziemi pień
I liść odgryza zeń (?).

Tak niszcząc roślin życie,
Popęlnia nadużycie,
Bo go instynkty pchły (!!)
Na taki żywot zły.

Chuda omasta humoru i satyry, która okrasza tu i owdzie karty zwierzyńca, nie może wynagrodzić jałowej bezbarwności takich np. określeń: „Król drapieźników — lew, nie lubi w życiu plew, lecz antylopy, łanie ma jadać powołanie“, albo, w innym wierszyku o lwie: „Gardzi postem, krzepki chwostem, zwierząt szef—lew“, ani też, tembardziej, takich ze wszech miar nieszczęśliwych rymów i wierszy: „W zwierzętach przebierając, najslabszy chyba zając“, lub: „Tak jak ci robią dzicy, tak jest i u dziedzicy“ (!), albo wreszcie: „Najlepiej umie lis myśliwych brać na fis“.

A już wprost komiczne, mimo wiedzy autora, czyni wrażenie porównanie dzika do... praojca sentymentalizmu, czułego śpiwaka Heloizy:

Jest dzieckiem natury,
Nie znosi kultury
I wszystkich jej blag,
Jak Rousseau Jean Jack (!!).

Tu już nawet łatwość wierszowania i humor końcówek zawodzą, nie mówiąc o dowcipie, który ulotnił się bez śladu, jak drogi balsam ze zbyt często otwieranego naczynia.

O wieleż lepsza druga część „Zwierzyńca“, zawierająca kilkanaście bajek! Są one może czasem za rozwlekłe, za mało w nich dobitności i plastyki. Ale są dowcipne i trafnie wyrażają pewne myśli moralne i pewne spostrzeżenia obyczajowe. Lecz nie nowe to rzeczy! Wszystkie te, z wyjątkiem kilku, utwory czytaliśmy w zbiorze „Bajek“ z 1902 r., a więc z przed lat dwunastu.

Szkoda talentu, ważkiej sztuki złota, rozmiętej niebacznie na grosze!

*

*

*

Charakter i dążność swej twórczości scharakteryzował p. Jan Nitowski w wierszu wstępnym do zbioru „Pieśni bez echa“ w następujący sposób:

W boleści wielkiej z krwawych łez zrodzona,
 Idź, pieśni moja, idź pomiędzy ludzi!
 Niech głos twój wlewa w trupie głazów łona
 Ogień miłości, niech do życia budzi
 Tych, co w zwątpieniu konają powoli.
 A gdy czas przyjdzie, że w oczach nędzarzy
 Wysechnie ostatnia krwawa łza niedoli,
 Gdy uśmiech szczęścia zobaczysz na twarzy
 Ludzi, co myśleć i kochać umieli,
 Gdy duch swobodny wyjdzie z mroków cieśni,
 Jak jutrznia biała wśród morskiej łopiel —
 Wówczas umieraj, smutna moja pieśni!

Znane to, dobre, czyste dźwięki! Twórczość Nitowskiego to poezja ideałów, ideałów przede wszystkim narodowych. Poeta żywo odczuwa swą łączność z ziemią i potępia surowo tych, którzy te więzy zerwaćby się ośmielili:

Jeszcze czas będzie śnić sny złotemi,
 Wszak wieczność cała jest twoją metą;
 Tymczasem zwróć się do chłodnej ziemi.
 Zbudź się, poeto!

Więzów, co łączą nas z ziemskim światem,
 Nie można targać bezkarnie, przeto
 Pogódź się z ziemią, żyj z nią, jak z bratem.
 Zbudź się, poeto!

Jest to więc dydaktyzm, najszlachetniejszy w swych pobudkach i dążeniach, ale—bądź co bądź—dydaktyzm. Przewaga tego pierwiastka nad uczuciem i artyzmem wyraźnie odczuwać się daje w „Pieśniach bez echa“, w których poeta dobywa „wszystkich dźwięków po kolei, dźwięków miłości, wiary i nadziei“, pieśniach smutnych i tęsknych, „jak my wszyscy smutni“, pieśniach, które są dowodem szlachetnego serca, lecz dość ubogiej wyobraźni poetki.

*

*

*

Nie pierwszy raz występuje przed trybuną publiczną młody poeta, Władysław Zalewski: miałem już sposobność na innym miejscu omawiać dawniejsze jego cykle liryczne: „Skrzydła wichrowe“ (1902), „Pieśń Ormuzda“ (1907) i „Ku gwiazdom“ (1910). Poeta toniewątpliwie utalentowany, biegle władający rytmem i zwrotką, dbały o kunsztowną formę swych liryk i nastrojów, umiejący rozstrnuwać w swych utworach obrazy, przemawiające do wyobraźni czytelnika.

Do serca natomiast nic tu nie przemawia. Zalewski to jeden z naszych młodych parnasistów, wytworny i — chłodny. I on wprawdzie odżywa się czasem na nutę romantyczną:

Przekleństwo łzom, co płyną ze źródła niemocy!
Co rdzawią stal — i miecze płomienne, i młoty!
Przekleństwo dniom, wsłuchanym w spazm bólu, w jęk nocy,
Gdy bije grom i godzą ogniste w pierś groty!..

Więc, czynie, wstań! Niech szumi porporzec twój złoty!
Niech wiedzie w bój — zerwane do lotu orlęta!..
Niech błysną wraz i miecze płomienne, i młoty —
By wskrzesła moc, co w piersiach drga na dnie uśnięta!

Ale wątpić należy, czy kogokolwiek wiersz ten zagrzeje do czynu, powiedzie do boju... Tak i „odwieczna męka buntu“ żadnego tronu nie zwali..

Nie wyśpiewa nigdy Zalewski żadnej Marsylianki przyszłości. I nie w tej dziedzinie szukać należy śladów jego talentu. Znajdziemy je w cyklach: „Pastele“, „Psalmodye jesienne“, „Melodye nocy“, „Widzenia“, słowem, tam wszędzie, gdzie jest nie wodzem, nie wieszczem i nie prorokiem, ale artystą-malarzem i marzycielem zarazem, przenoszącym na papier w subtelnym liniach i łagodnych barwach obrazy wyśnione, mgliste mary roz tęsknionej do piękniejszego świata wyobraźni.

Przeciw jednej tylko rzeczy należy położyć stanowcze *veto* i wyrazić zdziwienie, jak poeta-estetyk, jakim jest bezwątpienia Zalewski, mógł pozwolić, by mu zeszepecono książkę tak ohydne mi, bez sensu i bez żadnego związku z tekstem winietami. Nasze zdobnictwo drukarskie czeka jeszcze na swe postrzyżyny, by nie błąkać się na oślep.

*

*

*

Marzy też o wysokich wzlotach i czynach witeziowych młoda poetka, p. I. K. Hłakowiczówna, autorka wydanego niedawno cyklu „Ikarowych lotów“, gdzie zawierają się pierwociny jej twórczości poetyckiej. W wierszu pod wymownym tytułem: „Bunt młodości“ woła ona z zapałem:

Wiem, zginie, zdeptany nogą
nasz sztandar, sztandar młodzieńczy,
tłum ręką szorstką i srogą
skroń moją cierniem uwieńczy.

Nie traćmy, nie traćmy ducha!
nasz sztandar powiewa w górze,
płomień nad gwiazdy wybucha,
pienią się czary i kruże...

Szaleństwa pełne puhary —
do góry serca i głowy!
Łopocą, świszczą sztandary,
zaczęty lot Ikarowy!

Vox, vox, praeterea nihil! Wybuchowość uczucia obca jest naturze poetyckiej Hłakowiczówny, jak nie odpowiadała nastrojowi duchowemu Zalewskiego, jak wreszcie wogóle u naszych najmłodszych poetów jest zjawiskiem nad wyraz rzadkiem. Nie idzie zatem, by Hłakowiczówna nie zaznaczyła wyraźnie w „Ikarowych lotach“ swej indywidualności poetyckiej, na którą składają się cicha słoneczność marzycielstwa i cichy smutek tęsknoty. Forma młodej poetki nie zawsze niedostatecznie opanowana, ale—to jeszcze sprawa przyszłości.

*

*

*

Czwartą już seryę poezji, p. t. „Mare tenebrarum“, puszcza w świat Wacław Wolski, jeden z najbardziej krańcowych u nas przedstawicieli bezdusznego gongoryzmu. Któż np. doszuka się duszy, serca, uczucia w takim sonecie, p. t. „Bańki księżycy na morzu“:

Mahatma nocy, księżyc, wlecze płaszcz ognisty
Po uśpionego morza czarnym aksamicie,

Jak mityczny Flegeton, lśniący złotolicie,
Albo kłęby płomiennych węzów Trismegisty.

W tyle okrętu-maga, sunącego cicho,
Smuga płynnych dyamentów wizyjnię się pieni
I tęczyje w księżycu, jak ogón syreni,
I fascynuje piany złocistą ognicą...

...Pod górnego pokładu płóciennym namiotem
Światłem Dyany upajam się baśniowem, złotem,
Poprzez poręcz szezlongu przechyliwszy głowę,
Jak ten, co sączy rozkosz powoli z kielicha...

Rzuciła na mnie czary te noc grecka, cicha,
I to morze uśpione, tajemne, kirowe...

Jeszcze jeden krok dalej na tej drodze, a wstąpimy w krai-
nę karykatury...

Zresztą, u Wolskiego wszystko jest nie z tego świata, wymuskane, wymisternione, „baśniowe“ (on nawet pisze „Baśń o kinematografie“), „goy'owskie“ obrazy, „poe'owskie“ nastroje, ronda „purpurowe“ i ronda „egipsko-złote“. Czysta jubilerszczyzna!

*

*

*

A teraz—kilka debiutów, przeważnie dość niefortunnych. P. Stanisława Falkowska wydała niedawno zbiorek poezyi p. t. „Lilie cmentarne“. Znajdziemy w tym tomiku kilka utworów nieco szczęśliwszych, dość dźwięcznych i w miarę obrazowych, świadczących o pewnem uzdolnieniu młodej autorki. Ale naogół p. Falkowska nie umie sobie poradzić ze stylem i wierszem. Rymuje np.: „Smutno — smutkiem roz tęsknienia, co w mem sercu gra... Smutno — żalem rozprószenia dziecięcego sna“(!); albo tworzy taki dwuwiersz: „Gdyż się w was już wściekła ta plugawość piekła, co to — drży i — kłamie“; lub też układa takie rebusy stylowe: „Przyjmij więc ciche — lipowej legendy na snów wrzecionie — uśmiechy“, bądź też mówi o „sabacie ciszy“ (contradictio in adjecto!), o „upiorze zgnuśniałym“ itp.

Za dużo pretensyi, za mało talentu.

W udającym pełną grozy nastrojowość wierszu p. t. „Che-che-che“... taki obraz kreśli p. Falkowska:

...Trupia czaszka, jak klawisze,
Szczerzy zęby na twym stole...
...— Co ja mówię? Co ja piszę?

W istocie, p. Falkowska czasem czyni wrażenie, jakby sama nie wiedziała, co mówi i co pisze, nie zdając sobie sprawy z wartości znaczeniowej wyrazów, chociaż, powtarzam, niekiedy miewa *lucida intervalla*.

*

*

*

W krótkich wyrazach zamknąć można charakterystykę twórczości p. St. Staniszewskiego, autora skromnie, w szarej okładce wydanego zbiorku wierszy p. t. „Bez echa“: myśl zacna, uczucie szlachetne, obrazowanie słabe. Autor odczuwa całym sercem niedolę narodu i ludu i daje jej wyraz w swych utworach.

Wzorem mistrzów woła:

Chciałbym podźwignąć za miliony
Ból, co mą ziemię gniecie,
I stalowemi pchnąć ramiony
Hen, w dal—aż w pozaświecie!

Ale na taki czyn prometejski — sił mu brak. Obrazki jego i liryki, jak „Po wyroku“, „Grunwald“, „Orzeł“, „Z za kraty“, „Matka“, „Dusza ludu“, świadczą o sercu prawego Polaka i gorącego demokracji, sercu, któremu nie przychodzi w sukurs - wyobraźnia poetycka.

O „Zakłętym jeziorze“, poemacie w siedmiu pieśniach Ludomira Benedyktowicza, tyle tylko powiedzieć można, że jest to dość nudna i rozwlekła gawęda wierszowana w starym stylu, a o pierwszej seryi „Poezyi“ Jerzego Guranowskiego tyle zaledwie, że ich autor zdobył palmy zwycięstwa w gwałceniu wszelkich zasad stylu, wiersza, języka i gramatyki. Jeśli bowiem ktoś pisze: „Mój okręt drzemie wśród ciche porty“, możemy minąć go spokojnie, albowiem jego „ciche porty“ nic a nic nas nie zaciekawiają.

*

*

*

Tyle o liryce ostatniej doby—do wyczerpania przedmiotu aż do dna. Niewiele też jest do powiedzenia o poezji dramatycznej. W teatrach naszych panowały do ostatka zastój i ospałość wakacyjna. Wystawione w Warszawie komedye „letnie“: sielanka dramatyczna Ignacego Nikorowicza p. t. „W gołębniku“ i komedya satyryczno-obyczajowa Stanisława hr. Rzewuskiego p. t. „Nasi na Rivierze“, nie doznały zbytniego powodzenia (o wystawionej we wrześniu w Krakowie sztuce Rzewuskiego p. t. „Kobieta, gra i wino“ nie umiem nic powiedzieć). O jednoaktowym melodramacie Władysława Reymonta p. t. „Przeigrana“, który oglądaliśmy u schyłku lata na scenie Teatru Małego, zamilczę w ogóle.

Dopiero „Gra serc“, nowy dramat autora „Karzełków“ i „Dzisiejszych“, p. Stefana Kiedrzyńskiego, dany na rozpoczęcie sezonu jesiennego w Rozmaitościach, wywołał żywsze nieco zaciekawienie.

Nie przez różowe szkieleta patrzy p. Kiedrzyński na życie i ludzi, okazuje nawet wielką skłonność ku podkreślaniu rozmyślnemu ujemnych stron obyczajowości współczesnej. U kogo uczył się sztuki dramatycznej? u werystów włoskich, czy raczej u naturalistów rosyjskich? Pewne typy w „Grze serc“ zdają się wskazywać, że *lux ex oriente* w twórczości młodego autora niemałą odegrał rolę (taka np. postać zbankrutowanego na humanitarnych przedsięwzięciach ideologa, Mory-Morskiego, któremu po rozbiciu życiowem pozostała gitara i gorzki łaskawy chleb u krewnych). Nie brak też w „Grze serc“ postaci wręcz chybionych, papierowych, jak kuzyn Radwan, „mocny człowiek“ *sans peur*, ale nie *sans reproche*, lub skrzywionych moralnie, jak Irena, dziewczyna upadła, ku której autor usiłuje daremnie wzbudzić w widzu sympatyę, daremnie, gdyż w jej warunkach życiowych nie było nic, coby wywołało konieczność jej upadku, jak Roman wreszcie, młodzieniec niezdecydowanego charakteru i małego serca, ale mimo tych wszystkich usterek sztuka trzyma się mocno, ma kilka scen żywych i plastycznych, a chociaż tu i owdzie dłuży się, naogół jest zajmująca, jest dowodem istotnego talentu.

*

*

*

Nawiasem tylko wspomniawszy o dobrze znanej z desek scenicznych „tragedyi ludzi głupich“ Gabryeli Zapolskiej, p. t. „Ich czworo“, z powodu ukazania się tej sztuki w wydaniu książkowym, na zakończenie niniejszej kroniki nieco jeszcze powiedzieć mi wypada o kilku utworach dramatycznych, które ukazały się ostatnimi czasy na półkach księgarskich. W większej części dramaty te nie mają nic wspólnego ani ze sceną, ani z teatrem, prócz—dIALOGU, mniej lub więcej płynnego.

„Pani słoneczna“, dramat Savitri, to jeszcze jedno spóźnione echo rewolucyi 1905 roku, jeszcze jedna apoteoza konspiracyi i konspiratorów. Symbolem rewolucyi jest tu Pani słoneczna; błogosławi ona młodą parę, która dotychczas myślała tylko o miłości osobistej, „na wielki trud, w którym łamie się ciało, jak rusztowanie, przywalone zbyt ciężkim stosem kamieni“.

Młoda „towarzyszka“, Bolesława, traci narzeczonego, Zygmunta, którego ujęto z bronią w ręku w chwilę po zamachu. Zrozpaczona dziewczyna sobie przypisuje winę jego śmierci: gdyby wbrew woli matki podczas rozruchów ulicznych poszła do fabryki, w której od dłuższego czasu pracowała, jako agitatorka socjalistyczna, robotnicy nie dopuściliby się gwałtów, niepotrzebna byłaby interwencya wojska, nie polałaby się krew, a Zygmunt w rozpaczy bezradnej nie dopuściłby się zamachu.

Pomijając już tę wątpliwość, czy jedna słaba kobieta mogłaby istotnie powstrzymać rwącą falę gniewu ludowego, przykra to nad wyraz jest konieczność wybierania między obowiązkami córki a powinnością partyjną. Jest w tem pewna naiwna bezwzględność i sekciarstwo polityczne, czasem nawet wywołujące mimowiedny komizm, jak np. w tym tragicznym okrzyku Bolesławy: „Ojej! we własnym domu mieć taką nieuświadomioną służącą!..“

Dodać winienem, że przez pół symboliczne postacie „Sąsiadki“ i „Znajomej“, odwiedzających matkę Bolesławy na krótko przed jej zgonem, są mocno już spłowiałym szablonem nastrojowości fałszywej.

*

*

*

Do innego zgoła świata przenosi nas p. Józef Wiśniowski, autor dwu seryi poezyi (1901 i 1903), oraz poematów dramatycznych: „Śpiąca królewna“ (1907) i „Krzak gorejący“ (1907), w trzyaktowym pastelu scenicznym, p. t. „Sen dnia letniego“. Jest to, mówiąc poprostu, sielanka lub gawęda udramatyzowana. Wieś, dworek szlachecki, para staruszków, obchodząca złote wesele, po pół wieku wspólnego życia tak sama nawzajem w sobie rozmówiona i tak samo poczciwie swarząca się, by pogodzić się po chwili, jak nazajutrz po ślubie, zacny wujaszek, sypiący, jak z rękawa, cytatami z ulubionych poetów romantycznych, przekomarzenie się dwu par zakochanych, dużo słońca, zieleni, woni kwiatów, śpiewu ptasząt, cały zasób efektów tanich, ale miłych, roztoczył p. Wiśniowski przed czytelnikami.

Walorów scenicznych „Sen dnia letniego“ nie posiada, choćby z tego powodu, że występujące w nim postacie są dość z grubą ciosane i zawsze ukazują się z tą samą maską na twarzy.

*

*

*

P. Marya Kościelska wystąpiła z dwiema wydaniami w jednym tonie sztukami: „Więzy“ i „Kondotyerzy“.

W pierwszej z nich węzeł dramaturgiczny polega na poważnem nieporozumieniu: tezą jej jest zwalczanie konwenansu, nie pozwalającego mężczyźnie przyjąć pomocy pieniężnej od kobiety, chociażby tę kobietę kochał najczystsza i najidealniejsza miłością, chociażby te pieniądze potrzebne mu były dla uratowania ojcowizny z rąk niemieckich. Ależ ten konwenans jest tak — przedhistoryczny, tak nie odpowiada duchowi dzisiejszych czasów, że walka z nim wydaje się bardzo spóźnioną. I dlatego też „Więzy“ nie mogą wzbudzać powszechniejszego zaciekawienia.

Więcej ma na to danych drugi dramat p. t. „Kondotyerzy“. Dr. Seweryn Jarewicz, mężczyzna czterdziestokilkoletni, człowiek poważny i czcigodny, kocha młodą dziewczynę, Astę; przekonawszy się jednak, że jego ukochana skłania się sercem ku młodemu hrabiemu Adamowi, czyni ofiarę ze swego szczęścia i łączy kochającą się parę. A kiedy po upływie kilku lat spostrzeżga, że Asta zmieniła się w kobietę światową i próżną, żądną zabaw, uciech i pokątnych miłostek, wystrzałem z rewolweru odbiera sobie ży-

cie. Biorąc rzeczy logicznie, powinien był właściwie cieszyć się, że los zwolnił go od związku z kobietą niegodną i płochą, ale — niezbadane są drogi serca ludzkiego.

Niema w tym dramacie rzeczy przykrych pod względem etycznym, jak w „Więzach“, ale sporo jest niedociągniętych: postęпки jej bohaterów nie wydają się ani dostatecznie umotywowane, ani—dramatyczne.

*

*

*

Niewiele jest do powiedzenia o dramacie p. Kazimierza Chylińskiego p. t. „Droga ducha“: niedołączny to i niedowarzony płód grafomaństwa, kłócący się nietylko z zasadami stylistyki i prozody, ale nawet—istotnej moralności.

Niewiele co lepsza jest komedia trzyaktowa p. Witolda Bunikiewicza p. t. „Złote czasy“. Tłem rodzajowem utworu jest rok polski, mocno zmanierowany, pomimo sielankowych imion bohaterek (Doryda, Rozalina, Filis) i polskich godności bohaterów (Kasztelan, Rotmistrz, Wojewodzie). Dodajmy do tego akcyę mętną i styl nie zawsze dość poprawny, a otrzymamy całość nie nazbyt ponętną.

Wreszcie—„Hannibal“, dramat historyczny p. Bolesława Eustachiewicza, w którym autor całe dzieje bohatera kartagińskiego opowiedział krótkim, pięcio- lub sześciogłoskowym wierszem. Można sobie wyobrazić, jaki to byłby nieznośny turkot i dudnienie, gdyby komu przyszła do głowy niefortunna myśl recytowania tych dialogów w teatrze.

Ze jednak „Hannibal“ żadnych zgoła zalet, ani scenicznych, ani literackich, nie posiada, możemy spać spokojnie, pewni, że nas to nieszczęście ominie.

Tak przedstawia się plon piśmiennictwa naszego z ostatnich trzech miesięcy.

HENRYK GALLE.

WYSTAWA ARCHITEKTONICZNA W KRAKOWIE.

(r. 1912).

Kraków staje się kolebką odradzającej się myśli architektonicznej w Polsce. Od lat kilku w obliczu zabytków sztuki budowlanej minionych epok, w mieście, w którym dom każdy gwarzy o szlachetnych upodobaniach i wykwintnym smaku dawnych mieszkańców, jednoczą się wybitni architekci, malarze i rzeźbiarze pod hasłem budowy współczesnego domu polskiego.

Mimo braku uczelni fachowej Kraków staje się ośrodkiem ruchu artystycznego w zakresie budownictwa. Skarby architektury, mowa rzeczywistych form więcej działają, niżli katedry profesorów, o które napróżno dopomina się młodzież polska od lat wielu.

Nowe myśli wylaniają się z pięknych kart miesięcznika fachowego, wydawanego w Krakowie p. t. „Architekt“. Pomocnym zaś organem w sprawach sztuk plastycznych i zdobnictwa są „Materiały polskiej sztuki stosowanej“.

Do wytrawnych pracowników na polu odrodzenia polskiej architektury i zdobnictwa, jak Wł. Ekielskiego, Fr. Mączyńskiego i Jerzego Warchałowskiego, przyłączają się ochotnie w imię nowych idei artyści malarze: Jan Bukowski, Józef Czajkowski, Stanisław Dębicki, W. Dąbrowa, Karol Frycz, Antoni Procajłowicz i wielu młodych.

Garstka tych artystów, z zapałem i siłą pokonywa piętrzące się trudności natury artystycznej i finansowej i zdobywa się na czyn, *pierwszą w Polsce* wystawę architektury. Rozumiejąc ile potrzeba walk, poświęceń i trudów przy organizowaniu podobnej wystawy w Polsce, podziwiać musimy to co udało się inicjatorom zrealizować na błoniu krakowskim, pod parkiem d-ra Jordana.

Myślą przewodnią organizatorów, według ich słów, było przedstawienie w sposób poglądowy usiłowań na gruncie rodzimym opartych, w wytworzeniu nowoczesnych form zdrowego, praktycznego i pięknego mieszkania dla wszystkich warstw ludności.

Uwzględniając odśrodkowy ruch w dzisiejszym rozwoju miast, wystawa objęła programem swoim przedewszystkiem budowę i urządzenie wewnętrzne domów mieszkalnych, wzniesionych na możliwie tanich gruntach w otoczeniu ogrodowym, domów składających się najwyżej z parteru i piętra i przeznaczonych dla jednej, dwu, lub paru rodzin. W tej myśli wybudowano w naturze kilka tanich domów, urządzono je wewnątrz i otoczono ogródkami. Kilkadziesiąt modeli plastycznych, wystawionych w pawilonie głównym, rozwija zasadniczą myśl wystawy na licznych i różnorodnych przykładach. Idea miast-ogrodów, fizyczne i moralne zdrowie najszerszych warstw społecznych, szukanie najwłaściwszego rozwiązania kwestyi mieszkaniowej—oto hasła, które skupiły garstkę artystów i ludzi dobrej woli, były im bodźcem w pracy.

Pierwszy rzut oka na budynek główny przekonywa nas, iż architekt odrzucił wszelki patos wystawowy i bez opierania się na jakichkolwiek wzorach historycznych stylów dbał tylko o celowość i użyteczność budynku wypowiedzianą w jasnej i lekkiej konstrukcyi.

Oryginalną jest dekoracya sali reprezentacyjnej, nakrytej płóciennym *velum* harmonijnie zestrojonem z barwą ścian, o wzorze łuski rybiej, starem echu z pasów słuckich. Dekoracya ta i budynek jest dziełem artysty malarza Józefa Czajkowskiego, którego prace są na wystawie najliczniejsze. W czterech przylegających salach mieszczą się eksponaty konkursowe, projekty i modele plastyczne domów mieszkalnych: 1) dla średnio-zamożnej rodziny, 2) dom z ubikacyami do wynajęcia, 3) grupy domów dla jednej rodziny, 4) o tanich mieszkaniach, 5) domu dla kolonii robotniczej.

Twórcy tych prac, przedstawiających wysoką, niejednokrotnie artystyczną i techniczną wartość, starali się w rozmaity sposób wlać rodzimą myśl w ten nowy typ domów mieszkalnych, które u nas za ledwie, że powstawać zaczynają, a które w Anglii mają już dziś swą historję i własną wyrobioną estetykę.

W tym kierunku Anglicy są niedoścignieni i długo Europę uczyć będą jak się mieszka za miastem, zostawiając Niemcom przodownictwo w urządzeniu celowym centrów miejskich.

W projektach podmiejskich dworców podanych przez niezwykle uzdolnionych architektów warszawskich: Zdzisława Kalinowskiego, Czesława Przybylskiego, Guta i krakowskich: Karola i Tadeusza Stryjeńskich, Wł. Klimczaka, Marcina Muszyńskiego i Tadeusza Zielińskiego—wyrażoną jest myśl opierania się na charakterystycznych cechach szlacheckiego dworku i równoczesnego przeobrażania tego typu w bardziej nowoczesne formy i konstrukcye. Wynik konkursu niezawodnie przyczyni się do udoskonalenia w Polsce typu dworku, przez wprowadzenie doń czynnika nowoczesnej kultury i higieny, a równocześnie utrzymania w nim odrębnych cech architektonicznych.

W projektach wystawionych z widoczną lubością rozwiązują nasi architekci konstrukcją barokowego dachu i tradycyjnych wejściowych ganeczek z brzechatych kolumnienkach, które stały się uświęconym *leitmotywem* wystawy krakowskiej, powtarzając się w hali, portyku w pergoli, w teatrze, a nawet w pokoju jadalnym Uziembły. W opracowaniu różnych wariantów typu dworku polskiego widać, iż opierano się na zabytkach drewnianego budownictwa, z epoki baroku i empiru, pamiętając jednakże i o czasach wcześniejszych, o wpływach orientalnych na strukturę sadyby szlacheckiej. Tłómacząc dosłownie drewniane budownictwo na murowane, wpaść można w błędy organiczne kompozycyi, to też w wystawionych projektach odczuwamy pewne zakłopotanie nowoczesnego architekta, któremu nieznanne są tajemnice sztuki ciesielskiej, tak indywidualnie u nas rozwiniętej, tak ważną rolę w budownictwie naszym odgrywającej. W projektach wystawionych zwycięża wszędzie wpływ angielski, celowość, względy o wygodę i troskliwość, o zielone obramienie dworku, wegetacją sadzoną ręką nie gospodyni wiejskiej, lecz artysty architekta. O ile biorącym udział w krakowskiej wystawie architektom udało się w części zewnętrznej pochwycić znamienne rysy szlacheckiego dworku i wypowiedzieć je w murowanej formie dość szczęśliwie, o tyle przy urządzaniu

wnętrza zapominano o tradycji i uraczono nas niezwykle gustownymi mebelkami, dorównyującymi nawet wzorom zagranicznym najszlachetniejszym, lecz nie mającymi nic wspólnego z powagą staroświecką i nastrojem specyficznym dworku polskiego.

Zakończeniem lewego skrzydła pawilonu głównego jest kaplica całkowicie projektowana przez artystę malarza Jana Bukowskiego w duchu modernistycznym. Wnętrze tej kaplicy z przytłaczającymi swą wielkością, oraz ilością kanonami, wydrukowanymi, w prostokątnych polach plafonu bazylikowego świadczą, iż w zdobieniu tej kaplicy pracował jeno malarz, ufny w swe środki, pewny, iż bogata ornamentyka zastąpić może całkowicie melodię architektury.

Zdaje mi się, iż malarstwo dekoracyjne współczesne nie odda tych usług religii, jakie oddawało w epokach historycznych stylów, gdyż treścią swą i tendencją odbiegło dziś od surowej reprezentacyjnej formy liturgicznej.

Zakusy stworzenia nowej myśli artystycznej w zdobniczej sztuce kościelnej rozbijają się o kapitele kolumny romańskiej i bizantyjskiej, tych dwu epok, które w społecznem budownictwie kościelnem szczególnie upodobanie znalazły, jak dowodzą powstające budowle i wystawowe eksperymenty w Dreźnie i Monachium. W zdobieniu kaplicy wykazał Jan Bukowski znaną nam skądinąd subtelność harmonii barw i oryginalność rysunku ornamentyki, lecz w proporcjach i nateżeniu barw przeholował i sprawił, iż w kaplicy zamiast świątobliwego spokoju panuje zgiełk zanadto przypominający „Michalikową jamę“..., czy też inne tp., zresztą bardzo wytworne i ogromnie ciekawe artystycznie, lokale.

Naiwności i prostoty góralskich kościołków, nie można transponować na rwały czy ultramodernizm. W polichromii wnętrza kościelnych malarz zawsze będzie malarzkim tłumaczem architektonicznych myśli, jak byli niemi Matejko i Wyspiański.

Sytuację głównego placu wystawy projektował Józef Czajkowski i stworzył elegancki salon letni, zamknięty z jednej strony architekturą pawilonu głównego przedłużonego, rodzajem pergoli, zamkniętej z jednej strony pełną ścianą długości 72 m.

Ogromnie miłe dla oka jest ogrodzenie „treillage“ łączące kiosk na muzykę z pawilonem teatralnym. Całość przypomina wprawdzie teren monachijskiej wystawy z r. 1908, lecz jest zaprojektowaną oryginalnie z gustem i lekkością, jakiej nie znają monachijscy architekci z Seidlem na czele.

Zapewne z braku środków dostatecznych nie wypełniono odpowiednio obszernego placu architekturą, majoliką, przedmiotami plastycznymi, służącymi do urozmaicenia nagiej płaszczyzny drewnianej ściany.

Umiejętnie wyzyskał twórca teatralnego budynku J. Czajkowski wdzięk biegnącej półkolem kolumnady przeznaczonej na restaurację i cukiernię.

Kwestyą jest, czy poza tą wystawową architekturą uda się w naszym ostrym klimacie zastosować praktycznie pergolę w użytecznym budownictwie, w którym jest ona znaną w pokrewnej formie, w kształcie podsieni północnego renesansu zbratanego z późnym gotykiem.

Plac główny wystawowy w charakterze swoim nieodbiega zbyt od wzorów wystawowych monachijskich i drezdeńskich. Wszędzie widoczna troska o piękno każdego przedmiotu. Nadzwyczaj udatnem jest obramienie muszli orkiestry. Twórca pamiętał o wszystkim: o mozaice żwiru, o słupach lamp łukowych, pomyślanych oryginalnie i zgrabnie z prostotą na jaką tylko wykwintny artysta zdobyć się może. Ta *wykwintna skromność*, charakteryzująca całość wystawy, jest jedną z największych zasług jej organizatorów, gdyż dowodzi, że inwencja artystyczna zastąpić może znakomicie świetność materiału i bogactwo. Chlubną jest też nieznaną u nas drobiazgowość w opracowaniu planu i szczegółów, logiczność w wyzyskaniu niedużej przestrzeni, pod tę miniaturową wystawę, na której miejscu była przed kilku miesiącami, tylko wydma piaszczysta.

Sporo trudności mieli ogrodnicy przy zakładaniu kwietników i sadzeniu roślin, kwiatów i drzew, gdyż trzeba było z egipską wytrwałością nawozić ogrodową ziemię, co jednak nie dało w terminie tak krótkim od rozpoczęcia robót ogrodowych, odpowiednich rezultatów. Drugą więc równie ważną część wystawy, ogrodnictwo—związane istotnie z architekturą, podziwiać mogliśmy nie w całej okazałości flory, lecz że się tak wyrażę... geometrycznie!

Z niezwykłą umiejętnością i wytwornym smakiem powykreślano ogródki, powytykano ścieżki i drogi ogrodowe, ujmując każdy wystawowy budynek podwójnym uściskiem, drewnianego, zawsze charakterystycznego obramienia, i zielonym pasmem, kwietników grządek, romantycznych alei, stosownie do charakteru każdego budynku. A więc przed zagrodą włościańską ogród warzywny z słonecznikami, niezabudkami, kwieciami maku i mal-

wami; przed dworkiem rabaty kwietne i różanecznik, ocieniony klonami, wiązami, topolami i brzozaami płaczącymi. Ogródek przy domu robotniczym stosownie podzielony, na część warzywną i owocową dla dwu rodzin, umiejętnie urządzili: dyrektor Gabryl i insp. Klus.

Przy urządzaniu ogrodów nie chodziło twórcom o pokazanie jakichś odmian rzadkich, okazów niezwykłych, krzewów i kwiatów, ale o stworzenie skromnymi środkami typu podmiejskich ogródków, pozbawionego wszelkich banalnych cech, bez idyotycznych niemiecko-czeskich karzełków, kul kolorowych, muszli, klombów ślimaczych i tych dziwactw, które, niestety, tak często u nas jeszcze widzujemy. Kwiaty i drzewa rozwinąć się nie mogły na suchotniczej glebie—rozwinęto jednak i dokładnie przedstawiono schemat ogródków, w których każda piędź ziemi przemawia do nas bezpretensjonalnym i jednak wytwornym, świeżym i nieznanym a jednak swoistym, sielankowym wdziękiem.

„Clou“ wystawy stanowi urządzenie wnętrza dworku podmiejskiego, projektu J. Czajkowskiego. W pracy tej wystąpiło Tow. „Polska sztuka stosowana“ korporatywnie, dzięki staraniom prezesa Tow. i sekretarza wystawy, niezmiernie zasłużonego w sprawach budzenia u nas kultury artystycznej, Jerzego Warchałowskiego.

Fakt, iż projektowane przez artystów prace mogły być wykonane w kraju przy pomocy zdolnych robotników, jest ogromnie radosnym. Dziesięć ubikacji dworku projektowało ośmiu naszych artystów malarzy. Już samo wystąpienie tylu indywidualności artystycznych w zakresie należącym u nas do dziewiczych puszcz dozwala nam pięknie rokować nadzieje, że kiedyś wreszcie wyemancypujemy się z pod obcych wpływów, że kiedyś będziemy mogli stwarzać sobie otoczenie swojskie przy pomocy artysty polskiego. A już czas najwyższy wyzwolić się z pod narzuconych nam bezkrytycznie gustów obcej kultury, czas otrząść się z zasypującej nas tandety fabrycznej, która nadaje mieszkaniom naszym tak często wygląd jakichś barbarzyńskich bazarów i składów przypadkowych rozmaitej spuścizny familijnej. Praca w tym kierunku naszych artystów, zapoczątkowana tak mistrzowsko przez Wyspiańskiego, Witkiewicza i Matlakowskiego może wydać błogie skutki dla naszego społeczeństwa.

Sień dworku podmiejskiego na wystawie krakowskiej urządził w stylu hollu angielskiego artysta malarz Karol Tichy. Me-

ble z palisandrowego drzewa o jasno-żółtym odcieniu, pretensjonalne wykroje foteli i oparcie, niesamowicie z nimi zestawiony kaflowy biały kominek z lustrem o prostoliniowych kształtach mówią do nas jakimś kosmopolitycznym językiem, iż twórca tego przybytku nie wyzwolił się z pod widocznych wpływów obcych nieprzefermentowanych jeszcze własną indywidualnością. Sąsiedni pokój jadalny Henryka Uziembły wykazuje natomiast, iż ten artysta biegłym jest w opanowaniu meblowych form i materiału a nawet znaleźć umiał w okresie tak krótkim swój, widoczny w szeregu znanych urządzeń, styl.

Uziembło pokochał późny barok i wszelkie jego przymioty; umie wybierać, łączyć i spajać różnorodne materiały, wydymać nogi stołowe w brzuchate czarne kolumnienki o brązowych romańskich głowicach. Przysadkowate meble Uziembły mają swój odrębny charakter i wykazują, że Uziembło może zejść z drogi obowiązujących haseł, celowości form i używać suto barokowej ornamentyki, logicznie! Poważnie działają te ciemne meble z rzeźbionymi ornamentami na tle jasnych ścian. Jest to jedyny na wystawie pokój, w którym udało się artyście wyrazić *nowymi środkami staroświecki charakter*, dać antyki lśniącej nowością a jednak nie mającej charakteru imitacji. Pokój pani domu, Karola Frycza, jest również utrzymany w duchu baroku przetrwanego w indywidualne kształty. W komponowaniu tego pokoju z jesionowego, jasno-żółtego drzewa, w budowie ciekawego sekretarzyka, okazał Frycz dojrzałość nielada w obeznaniu się z niebezpiecznymi w stolarstwie krzywiznami baroku. Elegancką sypialnię w duchu nieśmiertelnego aż do znudzenia w Warszawie „empire“, urządził Trojanowski, wzorując się na najwytworniejszych wzorach angielskich. Dyskrety tonu obić i mebli psuje tylko nazbyt wyrazista podhalańska ornamentyka obicia pokoju, przeprowadzonego w guście empire. Gabinet pana domu, projektu niezmiernie J. Czajkowskiego, o meblach z drzewa orzechowego, jest doprawdy najwytworniejszym wnętrzem, przypominającym najlepsze dzieła Brunona Paula. Prostota form, wykwiśniętość materiału i przepiękne stonowanie całości kilimami zakopiańskimi o stosownym odcieniu sprawiają, iż pokój ten wywiera najmilsze wrażenie. Wysoką tylko jest jego cena wynosząca 4,800 koron.

Miłym jest pokój paniński J. Bukowskiego i dziecinny E. Bartłomiejczyka. W układzie całości urządzenia dworku nie widać jednak porozumienia się wzajemnego artystów. Każdy pokój przemawia do nas odrębnym językiem form i barw, niejednokrotnie ob-

cym, kosmopolitycznym. Nie widać rdzenia rodzimego, jakiejś wspólnej platformy estetycznych nowych problemów, o naszą kulturę się opierających.

Starania artystów malarzy i architektów krakowskich nie oparły się na szerokiej znajomości historycznej. Mimo usiłowań różnorodnych niemamy dotychczas pracy, któraby nam przedstawiła historię architektury dworów i wnętrz mieszkalnych ubiegłych epok w ten sposób, jak zrobił to Matejko opracowując historyczne stroje polskie. Z pokojów wystawy krakowskiej wieje bałanuchowość stylów i epok nie pokonana jeszcze czarem jakiegoś „*der kommende Stil*“, a wskutek przeoczenia działu tekstylnego wewnątrz krakowskiego dworku wieje obcością. Wszak altembas, kilimek, złotolite materye wschodnie łupem brane na Turku i Tatarze były jedyną ozdobą modrzewiowej ściany szlacheckiego dworku. I do dziś wbrew zasadom higieny pozostało u nas wrodzone zamiłowanie do obić z materyi, kilimów i dywanów oraz wszelkiego rodzaju ich tandetnych, wiedeńskich surogatów.

Trzebaby najpierw porozumieć się, na podstawie retrospektywy zabytków minionych epok, materyałów rysunkowych i muzealnych, jak wyglądały istotnie wnętrza dworów polskich w rozmaitych epokach i dzielnicach kraju i zastanowić się, która to epoka ma najwięcej specyficznych cech rodzimych zasługujących na utrwalenie w indywidualnych opracowaniach współczesnych polskich artystów.

Artyści krakowscy tak szlachetną pracę budowy domu polskiego rozpoczynający nie wypowiedzieli swych postulatów artystycznych, znalazłszy się w chaosie dawnych form i barw dworku polskiego i w wirze estetycznych prądów angielskich i niemieckich, które i naszych artystów ku sobie porwały zmuszając ich do płynięcia w nieznanym kierunku, w nieznaną dal.

Zwycięstwo musiały odnieść wpływy obcej kultury, bo z swoją dokładnie się nie zapoznano!

W urządzeniu domku robotniczego i zagrody włościańskiej szło się również z obcym podręcznikiem w rękę. Urządzenia podobne należą u nas do muzyki przyszłości. Również praktyczna wartość malowniczo zaprojektowanej zagrody włościańskiej jest tylko problematyczną. Artyści nasi na budowę i zdobienie chaty włościanina polskiego wpływu mieć nie mogą. Oby go nie mieli! gdyż wnętrza chat chłopskich, ich dobytek, to jedyne

przedmioty które mówią o prastarych upodobaniach ludu. Nie możemy uczyć zdobnictwa górala, chłopca z Bronowic lub Łowicza. Pielęgnujmy raczej sami ślady tego piękna, które tam napotykaemy.

Oby hasła głoszone i wcielone na tegorocznej krakowskiej wystawie znalazły oddźwięk i upodobanie w umysłach naszej inteligencji i mieszczaństwa.

MARYAN DIENSTL.

Jan Jakób Rousseau jako muzyk.

(W DWUSETNĄ ROCZNICĘ URODZIN).

W roku 1794 składał *Konwent Narodowy* hołd pamięci tych wszystkich, którzy czynem i myślą przyczynili się do rzucenia podwalin pod ginach Wielkiej Rewolucyi i przed oczyma ówczesnych społeczeństw odstonili nieprzeczuwane przedtem widnokreśli. Z pomiędzy „twórców nowego życia“ wzniesiono na piedestał najwyższej zasługi pamięć tego rewolucyjnego bojownika, którego myśl zataczała bezkresne koła utopii i w niepokojącej trosce o byt pokoleń wybiegała daleko poza przyziemne cele i intencje Rewolucyi: wśród kadzielnich dymów wielbiącej czci dokonywano apoteozy *Jana Jakóba Rousseau'a* nietylko jako apostoła idei równości, nietylko jako wieszczego twórcę „Społecznej umowy“, ale jako dytyrambicznego śpiewaka piękna, jako *reprezentanta „uszlachetniającego kierunku w muzyce“*. Przyznać trzeba, że członkowie Konwentu, czcząc pamięć Rousseau'a jako muzyka, nietylko nie dali się porwać mącaćemu trafność sądu uniesieniu chwili i nie ocenili przesadnie roli, jaką Rousseau odegrał w rozwoju muzyki, ale przeciwnie, osadzili go wprost jednostronnie, składając wyłączną cześć *kompozytorowi*, a nie domyślając się wcale, jak doniosły wpływ wywarł Rousseau jako *teoretyk* poglądów estetyczno-muzycznych i szermierz ideałów, które przerastały poziom współczesnej im estetyki i ostateczne swe spełnienie znalazły dopiero w sto lat później w dziele Ryszarda Wagnera.

Ten sam nastrój rewolucyjny, z którego wyrosła przełomowa działalność Rousseau'a jako myśliciela i reformatora życia, przeniknął i do jego twórczości muzycznej i nadał jej żywiołowy pęd, burzący bożyszczą tradycją uświęconych przesądów. Ze

zdumieniem stajemy dzisiaj przed przepychem wszechstronności, rzucającej tęczowe blaski na duchową indywidualność Rousseau'a; jego wybitny talent muzyczny sam jeden starczyłby na wystawienie mu trwałego pomnika chwały i zaliczenia Rousseau'a między tych, których twórczy czyn wyźłobił głębokie bruzdy na drodze postępu i wzniosł granitową podstawę pod rozwój muzycznego życia.

Rousseau dziwny odbył proces umuzykalnienia: nikt nie rozniecał tlejących iskier wrodzonego talentu, nikt nie wypiastrzał go pieścizotliwym staraniem, gdyż zarówno dom jak i środowisko, wśród którego wzrastał Rousseau, przesycone zaszępioną askezą kalwinizmu, zerwawszy wszelkie związki z muzyką, nie mogły być dla niego źródłem ożywczej podniety. Wprawdzie matka Rousseau'a, kobieta niezwyklej urody, obdarzona wielkimi zdolnościami, miała w sobie dużo poczucia muzycznego, śpiewała i grała na teorbie (lutni); niestety odumarała go, gdy był jeszcze niemowlęciem, w spuściźnie przelewając na niego zamiłowanie do muzyki. W domu ciotki, osoby pozbawionej wszelkiego wykształcenia, która objęła opiekę nad wychowaniem sierotanego chłopca, nasłuchiwał się Rousseau sentymentalnych piosenek, które wyśpiewywała całymi dniami. To była pierwsza pobudka, która do współbrzmienia pobudziła drżące w nim struny muzyczności. Bez systematycznej nauki, jedynie zapomocą spostrzeżeń i przygodnych nauczających, przyswoił sobie Rousseau elementarne zasady muzyki i to, co inni zdobywają mozolem wysiłków i długoletniej pracy, posiadał dzięki swym wyjątkowym zdolnościom drogą przesubtelnej intuicji, wlewającej życie i treść w martwe schematy muzycznych reguł; być może, iż wytworzył się chaotyczny, lecz pełen, samodzielnego poglądu na muzykę, jej istotę i budowę jej misternego organizmu. Odtąd towarzyszyła muzyka stale burzliwemu życiu Rousseau'a: w gwałtownych przeskokach tułaczych losów, wśród fantastycznych przygód życiowych, gdy z zenitu sławy i zewnętrznych powodzeń staczał się na dno opuszczenia i nędzy lub w napięciu chorych nerwów zamykał się przed zgiełkiem wrogiego otoczenia w mizantropijnym osamotnieniu, zawsze muzyka dźwigała go z upadku, przeżyła jego stalową wolę do nowego czynu i kładła kojącą dłoń na mękę jego tragicznych przeżyć i rozpaczego smutku.

Pożycie z panią Warens, które na Rousseau'a ściągnęło gromy potępienia, przyczyniło się pośrednio do wzbogacenia jego wiedzy i doświadczeń muzycznych, a zarazem do przełomowego fermentu w jego poglądach na estetykę muzyki. W czasie rocz-

nego pobytu w Turynie bowiem, dokąd Rousseau udał się za jej sprawą, by nawrócić się na katolicyzm, poznał włoską muzykę kościelną, która roztoczyła przed jego wrażliwą duszą nowe światy piękna mistycznego. Ze to nie były tylko przelotne wrażenia, działające urokiem chwili, lecz potężny wpływ, sięgający do głębin jego duchowości i rozpalający tkwiący w niej żar mistycyzmu, tego dowodem późniejsze kompozycje kościelne Rousseau'a, powstałe w okresie największej rozterki moralnej.

W pełni rozbudzenia duchowego wyposażony w kapitał świeżych spostrzeżeń i żywotnych myśli osiadł Rousseau w Lozannie jako „muzyk i kompozytor“ zdobywając środki utrzymania udzielaniem lekcji gry fortepianowej; gdy zaś uniesiony ambycją porwał się nawet na występ publiczny, doznał smutnych doświadczeń, gdyż spotkał się z szyderczym śmiechem opinii powszechnej. Z głową rojną od natłoku planów przeniósł się Rousseau do Paryża i przedstawił Akademii Umiejętności projekt zastąpienia naszego pisma nutowego pismem cyfrowym; niewiadomo, czy zasady tej metody były oryginalnym pomysłem Rousseau'a, gdyż jeszcze w w. XVI zjawily się w rodzinnem jego mieście próby podobnej reformy; wszelkie prawdopodobieństwo przemawiałoby za tem, że Rousseau znał bodaj zasadnicze kontury tej idei, uzasadnionej szczegółowo przez mnicha franciszkańskiego, Souhaitty'ego w dziele: „Nouvelle méthode pour apprendre la plainchant et la musique“ (1665). Myśl Rousseau'a doznała wprawdzie chłodnego przyjęcia i nie przyniosła spodziewanych wyników, ale zato dopomogła mu do nawiązania bezpośrednich stosunków z wpływowemi osobistościami i otworzyła przed nim podwoje salonów paryskich, będących wówczas ogniskiem życia intelektualnego. Pani Beuserval zajęła się losem Rousseau'a i wyjednała mu posadę sekretarza u posła francuskiego w Wenecyi: wszelako pełna intryg atmosfera dworska i zbyt jaskrawe kontrasty usposobienia między egzaltacją jego przeczulonej wrażliwości a brutalną naturą dyplomaty nie tylko nie pozwoliły na wytworzenie przyjaznych stosunków, lecz doprowadziły do konfliktu, który kres położył politycznej karierze Rousseau'a. Natomiast dla jego kompozytorskiej twórczości chwile, spędzone w Wenecyi, były nieocenioną zdobyczą, dając mu nowe wzory form i stylu dramatycznego i wywierając decydujący wpływ na jego stosunek do muzyki francuskiej. Podziwem przejęła go opera włoska, odbiegająca charakterem swoim od tradycyjnego szablonu sceny francuskiej. Operze francuskiej przyświecał ideał pierwot-

nego dramatu muzycznego, utrzymanego w stylu śpiewnej recytacji i stworzonego we Florencyi pod wpływem reformatorskich dążeń renesansu. Twórcą narodowej opery we Francyi był *Jean Baptiste Lully* (1632—1687), dzierżący w muzyce francuskiej XVII stulecia niepodzielne i wszechwładne berło; on to wznosił owo klasyczne rusztowanie, którego nikt zachwiać się nie ważył i na którym niemal przez wiek cały opierała się budowa opery francuskiej: jej znamioną cechą był brak prawdy dramatycznej, deklamatorska retoryka i sztuczny patos; osoby działające, pozbawione wszelkiej charakterystyki schodziły do roli dekoratywnych manekinów; niemelodyjny, sztywny śpiew odpychał monotonią „psalmodujących“ zawodzeń i potęgował wrażenie koturnowego napuszenia; pełna blasku i przepychu wystawa, uroczyste pochody i tańce stanowiły punkt ciężkości dramatycznej akcji, czerpiącej swój przedmiot ze świata mitologicznych bogów i bohaterów i składającej tonem serwilistycznych alluzji należną królewskiemu dworowi daninę pochlebstwa. Ten charakter pozy i nie-naturalności zachowała opera francuska aż do połowy XVIII-go wieku, kontynuując tradycje Lully'ego, lecz nie dosiegając nawet niezbyt wyniosłego poziomu jego dramatyczności: w duchu Lully'ego tworzył *J. Ph. Rameau* († 1764), który dramatyczną arję pozbawił wszelkiej giętkości i odjął jej resztki prawdy psychologicznej i uczuciowego wyrazu przez przeładowanie jej nadmiaru koloratury. Wprawdzie i ówczesna poważna opera włoska (*opera seria*), zerwawszy z przykazaniem florentyjskiego dramatu, nie mogła uchodzić za ideał muzyki dramatycznej, ale rozwijająca się obok niej *opera buffa* czyli komiczna wносиła tyle nowych pierwiastków, taką prostotę akcji, taką lekkość melodyjnej inwencji, tyle naturalności i szczeroci komizmu, tyle dramatycznego życia, potoczności i śpiewności, że dla dalszego rozwoju opery otwierały się żywotne źródła twórczych pobudzeń. Przepaść między pełną naturalności operą komiczną, a odpychającą chłodem sztuczności operą francuską nie mogła być głębsza. Rousseau, który przedtem bez powodzenia próbował sił swoich na polu „wielkiej opery baletowej“ (*des Muses galantes* 1747), odwrócił się teraz z niechęcią od skostniałego schematu klasycznej opery, przepojony bezwzględny zachwytem dla muzyki włoskiej i ożywiony pragnieniem reformy w jej duchu. Wykładnikiem tych usiłowań było dzieło, które powstało po powrocie Rousseau'a do Francyi (1752) i było jakby w muzykę wcielonym echem wrażeń, odniesionych we Włoszech. Na scenach włoskich

zakorzenił się zwyczaj, że między aktami poważnej opery grano komiczne intermedya, nie mające organicznego związku z dramatyczną akcją całości; tę formę przejął Rousseau dla swego jednoaktowego intermezza *Le devin du village* (Znachor wiejski), wykończywszy w ciągu sześciu tygodni tekst i muzykę. Bliższe szczegóły o powstaniu dzieła zawiera VIII-na księga *Confessions*.

„Le devin“, wykonany na prywatnej próbie, wzniecił taki entuzjazm, że intendant zabaw dworskich (des menus plaisirs) wprowadził dzieło Rousseau'a na scenę zamku królewskiego w Fontainebleau, gdzie margrabina Pompadour odegrała rolę bohaterki i przesłała kompozytorowi w darze 50 ludiorów. To wyjątkowe odznaczenie dworu było wstępem tryumfów, jakie święcić miało intermedyum Rousseau'a: paryska wielka opera—académie royale de musique—wykonała je w 1753 r. i wcieliła je stale do swego repertuaru; za przykładem króla, który niemożliwym głosem wyśpiewywał jeden z kupletów *j'ai perdu mon serviteur*, rozbrzmiewały wszędzie arye „Znachora“, ciesząc się ogromną popularnością. Ostatnie przedstawienie odbyło się w roku 1829; dalszych przedstawień musiano zaniechać, gdyż epoka, unosząca się zewnętrznym przepychem „heroicznej opery“, nie mogła znaleźć upodobania w dziele, odznaczającym się nadzwyczajną prostotą środków i wyrazu. Akcja, zacieśniona do możliwych granic zwięzłości, posiada w sobie, mimo wątlej intrygi, wiele życia dramatycznego:

Wiejska dziewczyna, Colette, rozpacza, że ją porzucił jej kochanek, Colin i udaje się do znachora z prośbą o radę, w jakoby sposób mogła odzyskać utraconą miłość. Ze słów znachora spływa na nią ukojenie, gdyż według jego zapewnień Colin, którego usidliła właścicielka wsi, wróci, skoro tylko pryśnie czar, przykuwający go do tej kobiety; wszelako Colette musi przywdziać maskę chłodu i zobojętnienia, czem rozpali w niewiernym kochanku na nowo żar uczucia. Colin nadchodzi. Z trudem przezwycięża się Colette i zadaje kłam swemu sercu, które narzmięwa radością na widok skruszonego kochanka. Teraz Colin blizki rozpaczy, że dobrowolnie zburzył gmach szczęścia, szuka porady u znachora i dowiaduje się, że Colette kocha innego. Złamany błaga ją o litość i chce w końcu wieś porzucić, gdy Colette, nie mogąc przewlekać męczarni nieszczęśliwego kochanka, wzywa go do powrotu i łączy się z nim w pojedynczym uścisku. Uszczęśliwiona para nagradza znachora sowitą zapłatą i spla-

ta głos swój z głosami wiejskiego chóru, który intonuje radosną pieśń wesela. ¹⁾

Poraz pierwszy popłynęły ze sceny wielkiej opery, przywykłej do patetycznej powagi muzyki dramatycznej, dźwięki wesołej opery, pełnej prawdziwego humoru i naturalnej prostoty. Była to rzecz niezwykła, gdyż wobec kiełkujących w pierwszej połowie XVIII wieku we Francji zarodków opery komicznej, która w formie niewybrednych wodewilów (*voix de ville*) i jarmarcznej arlekinady starała się przemawiać do instynktów tłumu, zajęła opera królewska wrogie stanowisko, a zwalczając je jako groźną dla siebie konkurencyę, przeszkodziła tym nieśmiałym próbom dramatyczno-muzycznym do przeobrażenia się w utwory artystyczne.

Łatwo zrozumieć ogólny zachwyty, który wzbudziło intermedyum Rousseau'a, łączące wytworność formy z wdziękiem i lekkością treści; wносиło ono nadto rzecz w dotychczasowej literaturze operowej niebywałą: oto poraz pierwszy poeta i muzyk zespałał się w jednej osobie i sam stwarzał obramowanie dźwiękowe dla swoich poetyckich koncepcyi. Stąd niema w tej dramatycznej sielance rozłam, jaki z natury rzeczy wyniknąć musi między librettem a muzyką zawsze tam, gdzie te dwie sfery odrębnie powstają, by następnie sztuczny zawrzeć sojusz; tu zaś dźwięk wyrasta organicznie ze słowa, a spływając się z niem w dwugłos uczucia, staje się dramatycznym czynnikiem o bezpośredniej sile nastrojowej i stwarza niezrównaną jednolitość tonu. I w tem tkwi doniosłość twórczego czynu, którego Rousseau dokonał dzięki wszechtronności swego talentu muzycznego i poetyckiego, jakby w przeczuciu tych przełomowych haseł, które o wiek cały później rzucił i w realną formę muzycznego dramatu wcielił Ryszard Wagner. Głębia artystycznej intuicji i subtelność estetycznego smaku sprawiły, że Rousseau, oparłszy się o wzory włoskiej opery komicznej, rozwinął w sposób samodzielny jej formalne pierwiastki i posunął się poza jej zdobycze: zarówno potoczysta, pełna wdzięku i szczerości melodia, jak i wzorowa deklamacja recitativa, spajające się nierozłącznie z akcentem słowa poetyckiego, nie tylko mogą mierzyć się wzorami włoskimi, ale niejednokrotnie przewyższają je wiernością psychologiczną i plastyką muzycznego wyrazu. Dotyczy to zwłaszcza orkiestry

¹⁾ Libretto Rousseau'a strawestowała pani Fayart jako *Les amours de Bastien et Bastienne*, 1753 r.; przetłómaczone na język niemiecki posłużyło Mozartowi do skomponowania opery komicznej pod tym samym tytułem.

i jej roli dramatycznej: złożona zaledwo z kwartetu smyczkowego, z którym łączą się gdzieniegdzie flety, oboje i fagoty, odznaczająca się miękkością dźwiękowego kolorytu bierze orkiestra czynny udział w scenicznej akcji i wysuwa się na pierwszy plan tam, gdzie dla odmalowania psychicznego nastroju słowo, pozbawione tej nieuchwytnej lotności, jaką ma dźwięk, musi zamilknąć i miejsca ustąpić muzyce, która staje się wykładnikiem uczuciowego stanu działających osób.

„Le devin“ Rousseau'a był widomym czynem reakcyi, budzącej się przeciwko bezdušnemu formalizmowi konwencyonalnej tradycyi i częzej frazeologii sztywnej opery francuskiej. Niebawem nadarzyła się sposobność do teoretycznego ujęcia najżywotniejszych postulatów dramatycznych i ogólnego uświadomienia tych wszystkich wad i błędów, które z biegiem czasu zakorzeniły się w muzyce operowej. W roku 1752—przybyło do Paryża towarzystwo włoskich buffonistów, którzy na scenie wielkiej opery królewskiej mieli w czasie antraktów grać komiczne intermedya. Szereg przedstawień rozpoczęła komiczna opera Pergolese'go *La serva padrona* („Służąca jako pani“), wywołując wraz z dziełami innych kompozytorów włoskich (Leo, Rinaldo da Capua) istny szal entuzjazmu, wzrastającego stale po każdym występie. Włosi porywali żywością gry aktorskiej, wirtuozowstwem i świeżością śpiewnych głosów, nadzwyczajnem pięknem pełnych prostoty i łatwo do ucha wpadających melodyi, a nadto dyskretyą akompaniującej orkiestry, którą kierował kapelmistrz, zasiadający przy klawicymbale, podczas gdy we francuskiej operze dyrygent bez przerwy wybijał głośno takt laską. Oto mieli Francuzi bezpośrednią miarę porównania, lecz nie wszyscy chcieli uznać bijące w oczy zalety muzyki włoskiej. Wywiązała się jedna z najciekawszych w historii teatru walk o wyższość opery włoskiej nad francuską: walka *buffonistów* i *antybuffonistów*; obrońcy muzyki narodowej uciekali się pod protektorat króla i skupiali się w czasie przedstawień pod jego lożą (au coin du roi), podczas gdy zwolennicy muzyki włoskiej mieli swoje stanowisko pod lożą, popierającej ich królowej (au coin de la reine) i nie cofali się przed żadnym środkiem, ażeby pognębić przeciwników; nie tylko teatr był widownią namiętuch sporów między obydwoma partjami, walka przeniosła się do arystokratycznych salonów, gdzie ten problemat muzyczny stał się wyłącznym przedmiotem dyskusyi, usuwając na drugi plan wszelkie sprawy polityczne, filozoficzne i literackie, a następnie na teren polemiki publiczystycznej, wciągając do czynnego udziału najwybitniejsze

uinysły ówczesne. Hasło bojowe rzucił baron *Melchior Grimm*, zbrojny w zjadliwy dowcip i ciętą satyrę krytyk i współpracownik „Encyklopedyi“, a zarazem autor cennej korespondencji, oświeclającej literackie i muzyczne stosunki paryskie („Correspondance litteraire, philosophique et critique“ w 17 tomach), krusząc kopie w obronie muzyki włoskiej w piśmie *Lettre sur Omphale*¹⁾ i w anonimowo ogłoszonej satyrze *Le petit prophète de Boehmischbroda* (1753), której autorstwo przypisywano Rousseau'owi i która w biblijno-proroczym tonie przepowiadała upadek dobrego smaku, jeżeli Francuzi nie uznają supremacji Włoch w muzyce. Koryfeuszem narodowej partji był Rameau, jako najgodniejszy następca Lully'ego, pielęgnujący tradycje opery francuskiej; przeciwko niemu wystąpił *Diderot* w „*Lettres sur les Buffonistes* i *La guerre de l'opera*, dotknięty osobiście jego atakami na „Encyklopedyę.“²⁾ Rousseau, odznaczający się niezwykłą ruchliwością umysłu nie mógł obojętnie patrzeć na toczącą się walkę, lecz stanął w szranki czynu, wytaczając przeciwko wrogom buffonistów bezimienny i pełen sarkazmu pamflet *Lettre d'un symphoniste de l'Académie royale de musique à ses camarades de l'orchestre* a następnie głośny manifest *Lettre sur la musique française*, uderzający logiką argumentów w obóz zmurszałej tradycji i wstecznych przesądów. Rousseau pierwszy poddał nielitościwej krytyce konwencyonalne formy opery francuskiej i z nadzwyczajną siłą wymowy odsłonił wszystkie jej wady, dowodząc, że muzyka francuska pozbawiona jest rytmu i taktu, że nie posiada melodyi ani śpiewności, gdyż na zawadzie staje temu język francuski, nie nadający się do przetopienia dźwiękowego i niezdolny do tej modulacyjnej giętkości, jaka cechuje język włoski:

„Je pourrais faire voir, que les inversions de la langue italienne sont beaucoup plus favorables à la bonne mélodie que *l'ordre didactique* de la nôtre... Je crois notre langue peu propre à la poésie et point du tout à la musique“.

Ostrze szyderczej ironii zwrócił Rousseau zwłaszcza przeciw formie muzycznego recitativa, będącego w operze francuskiej szczytem nienaturalności i zmanierowaną deklamacją, nie wiążącą się zupełnie z poetyckiem słowem i nie zestrzajającą się

¹⁾ Tytuł opery kompozytora francuskiego, André'a Destouches (1672—1749).

²⁾ Stosunek Diderota do Rameau'a charakteryzuje dosadnie sławny dyalog „*Le Neveu de Rameau*“.

z akcentem języka francuskiego, pozbawionego melodyjnej śpiewności. Gdy we dwadzieścia lat później wzbudził *Gluck* swoim recitativem, opartem o naturalny akcent mowy francuskiej, ogólny zachwyty, wówczas i Rousseau przeszedł do obozu jego entuzjastycznych wielbicieli i cofnął swoje dawniejsze zarzuty, przekonawszy się, że zbyt bezwzględnie potępił swój język narodowy.

„List o muzyce“, raniący tak głęboko ambicje Francuzów, wywołał łatwo zrozumiałą burzę i ściągnął na Rousseau'a gwałtowne ataki ze strony wrogiej mu opozycyi: członkowie orkiestry, oburzeni za to, że ich podejrywał o podstępne knowania przeciw Włochom i zarzucał im niedbałość i nieuctwo, sprzysięgli się na jego życie, zaś dwór królewski zamierzał ukarać go conajmniej Bastylią. Wszelako w uniesieniu walki i partyjnym zaślepieniu nie chciano tego zauważyć, że poza sumą negatywnych momentów zawierał manifest Rousseau'a wielkie bogactwo myśli, doniosłych i zdumiewających głębokością sądu, zdolnych do wiania nowego życia w zaskrzepły organizm opery francuskiej. Naczelny postulat jego reformy streszcza się w zasadzie, że składowe pierwiastki opery, muzyka i poezya, muszą zająć równorzędne stanowisko, nie przytłaczać się wzajemnie, lecz zestrajać w jednolitą całość, odznaczającą się jasnością psychologicznego uzasadnienia i prawdą wyrazu dramatycznego. Wszystko, co tę współrzędność narusza, co wykracza przeciw prostocie, i naturalności, co nie potęguje prawdy dramatycznej, potępia Rousseau z bezwzględnością artysty, dla którego bezpośredniość i szczerłość jest jedynem przykazaniem twórczem. W słynnej analizie jednej z najgłośniejszych oper Lully'ego *Armidy* wykazuje Rousseau dowodnie, do jakiej rozbieżności nastrojowej doszedł kompozytor, gdy w monologu bohaterki nie umiał stworzyć organicznego łącznika między wyrazem muzycznym, a treścią poetyckiego słowa: w chwili bowiem, gdy Armida stacza rozpaczliwą walkę wewnętrzną, starając się stłumić zgiełk uczuć, krzyżujących się w jej duszy, rozbrzmiewa płytka, bez siły wyrazu melodia, oscylująca między dominantą a toniką i oparta o ustawiczne kadencyonowanie, gdy zaś między jednym stanem uczuciowym a drugim miałyby muzyka stać się wykładnikiem psychologicznego procesu, wówczas milknie śpiew i orkiestra i beztreściwa pauza generalna ubezwładnia wszelki ruch i życie! Ten jeden przykład—to symbol operowej pierwotności i szablonowego skostnienia form muzycznych. Zdaniem Rousseau'a tylko duchowy związek między poezją a muzyką, będąc wewnętrznym motorem, który formuje psychikę wyrazu dramatycznego,

zdoła stworzyć obraz, pełen prawdy i życia. Dlatego wszelkie zewnętrzne efekty, zdobyte z rekwizytorni operowej, rażące teatralnością i pozą, a nie wyrosłe z założeń dramatycznych koncepcji poetyckiej, zwalcza estetyka Rousseau'a jako jaskrawe błędy dawnej opery: do nich zaliczyć należy *balet* i *duet*. Zwłaszcza balet, który do dnia dzisiejszego nie stracił w operze francuskiej swej atrakcyjnej siły, spotyka się z potępiającą odprawą: „taniec bowiem przerywa akcję sceniczną, nie posiada najmniejszej zdolności wyrazu i może jedynie rozprószyć wszelkie złudzenie, które stwarza obraz dramatyczny“. Z tego samego stanowiska występuje Rousseau przeciw duetowi, jako czynnikowi, mączącemu czystość linii psychologicznej i nienaturalnością swoją sprzeciwiającemu się prawdzie dramatycznej; głosy nie mogą jednoczyć się w równoczesny zespół, lecz tylko kolejno następować po sobie, przetwarzając się w pełen logiki dyalog muzyczny; jedynie tam, gdzie żar uczucia rozplómieni serca i porwie je na szczyty namiętnego paroksyzmu, tam da się usprawiedliwić użycie duetu, jako środka muzycznego, będącego równoważnikiem stanu uczuciowego, podnieconego do najwyższej potęgi napięcia.

Poddając szczegółowej rozprawie estetyczną wartość poszczególnych pierwiastków muzycznych, wysuwa Rousseau na pierwszy plan *melodyę*, zdolną do odtworzenia wszystkich barw nastrojowych odcieni i górującą bezpośredniością i plastyką wyrazu nad *harmonią*, którą nazywa wytworem barbarzyństwa:

„il est bien difficile de ne pas soupçonner que toute notre harmonie n'est qu'une invention *gothique et barbare*, dont nous ne nous fussions jamais avisés, si nous eussions été plus sensibles aux véritables beautés de l'art, et à la musique vraiment naturelle“.

Z tego ciasnego poglądu, dającego się wytłómaczyć wrogiem stanowiskiem Rousseau'a wobec wszelkich *wtórnych* objawów, oddalających się od wymarzonego stanu pierwotnej prostoty, opartej na wzorach natury, wypływa niechęć jego do muzyki polifonicznej, skryształizowanej w twórczości mistrzów XVI wieku: Palestriny i Orlanda di Lasso.

Wśród powodzi pism polemicznych, wydanych w sporze buffonistów i antibuffonistów przez obydwie strony, list Rousseau'a pozostał najgłębszym wyrazem protestu przeciw gnuśnej tradycji. Mimo energicznego poparcia najświetlejszych przedstawicieli postępu buffoniści nie zdołali utrzymać się na stałe w Paryżu, lecz wyparci zostali intrygami opery królewskiej (1754).

Wszelako idea zwyciężyła: ferment który wywołała kampania polemiczna, rzucił twórczy posiew na żyzny zagon sztuki narodowej; z łona walki wyrosła francuska opera komiczna Monsigny'ego i Grétry'ego, zespalająca formy opery włoskiej z istotą ducha narodowego; oto z myślowych pobudzeń Rousseau'a dojrzewał owoc czynu!

Upłynęło lat kilkanaście od walki buffonistów zanim Rousseau wystąpił z nowem dziełem muzycznym: w roku 1770 wystawiono w Lyonie jego melodramat p. t. *Pigmalion*. W 3-iej księdze swojej autobiografii nazywa Goethe to dzieło Rousseau'a *epokowem*,¹⁾ składając temsamem dowód swej głębokiej intuicji krytycznej wobec utworu, mimo którego współcześni przeszli na ogół obojętnie. Osnowa dramatyczna zaczerpnięta z legendy greckiej, owianej tchnieniem zmysłowego żaru, opowiada o rzeźbiarzu Pigmalionie z Cypru, który zamknął się w zaciszu pustelnej samotności, by żyć rozkoszą tworzenia: aż raz wykuł z marmuru cudowne kształty kobiety, pociągające go ku sobie nieprzepartym urokiem; pożądanie urosło do obłądnego szalu namiętności: w miłosnej tęsknocie objął dzieło rąk swoich, okrywając je namiętnymi pocałunkami; i oto pod wpływem jego płomiennego zachwytu budzi się życie w zimnym marmurze, przed zdumionem okiem rzeźbiarza staje kobieta, na skrzydłach upojonej rozkoszy płynie hymn miłości ku czci Afrodyty. W poetyckiem ujęciu Rousseau'a treść tej dramatycznej sceny dziwnie się pogłębia i nabiera psychologicznego wysubtelnienia, gdyż przeobraża się w miłość artysty do idei, która przenika całe jego jestestwo:

„je t'ai donné tout mon être;
je ne vivrai plus que par toi“

te słowa wkłada poeta w usta Pigmaliona, skupiając w nich przewodnią myśl dramatu: „Akcyja jest wyłącznie wewnętrzną i rozgrywa się tylko w duszy Pigmaliona, potrącając o wszystkie struny uczuciowego nastroju od najłżejszych drgnień namiętności aż do wybuchu bezświadomego szalu“: tu otwierało się dla muzyki właściwe i rozległe pole do odmalowania całej skali psychicznych stanów zwłaszcza wtedy, gdy miejsce plastycznego słowa zajmowała żywa i wynowniejsza gestykulacya, odzwierciadlająca złożoną grę uczuć; tu możliwa była realizacya tego, czego żąda Rousseau, gdy mówi:

¹⁾ „Ein kleines, aber merkwürdig Epoche machendes Werk.“

„l'acteur agité, transporté d'une passion qui ne lui permet pas de tout dire, s'interrompt, s'arrête, fait des réticences, durant lesquelles l'orchestre parle pour lui.“¹⁾

Następstwem takich teoretycznych założeń musi być forma, odbiegająca od tradycyjnej formy operowej i kształtująca zarysy wewnętrznej konstrukcji dramatu: tą formą jest *melodramat*, zestawiający obok siebie muzykę i poezję, które przemawiają nie równocześnie, lecz w kolejnem następstwie, dopełniając się wzajemnie. Zdaniem mojem, było to najgenialniejsze rozwiązanie problemu dramatyczno-muzycznego: słowo poetyckie przestawało być podporą muzycznego dźwięku, nie tonęło we mgle nastrojowej i nie traciło nic ze swojej retorycznej siły, lecz jasno i wyraziście kreśliło psychologiczne kontury akcji dramatycznej; zaś orkiestra wkraczała we właściwą sobie sferę, odtwarzając uczuciowe tło scenicznej akcji, stawała się dźwiękowym równoważnikiem tych utajonych stanów, które tkwiły na dnie duszy działających osób. Pobudką do stworzenia nowego typu formy dramatycznej było—jak sam Rousseau przyznaje—przeświadczenie, że język francuski, pozbawiony melodyjności, nie nadaje się do przetopienia muzycznego:

„persuadé que la langue française, destituée de tout accent, n'est nullement propre à la musique et principalement au récitatif, j'ai imaginé un genre de drame, dans lequel les paroles et la musique, au lieu de marcher ensemble, se font entendre successivement, et où la phrase parlée est en quelque sorte annoncée et préparée par la phrase musicale. La scène de „Pygmalion“ est un exemple de ce genre“...

A teraz pytanie, jak przeprowadził Rousseau w praktyce teoretyczne zasady: odpowiedź na to trudna i problematyczna; oryginalna bowiem partytura „Pigmaliiona“, o której wspominają „Confessions“ (ks. IX), zaginęła, a dochowała się tylko kopia, z której drogą przypuszczenia wywnioskować można, że twórcą muzyki jest Rousseau. Zadawalniające rozwiązanie zagadkowej sprawy utrudnia i gmatwa fakt, że pierwsze przedstawienia „Pigmaliiona“ odbyły się w Lyonie z muzyką *Horacyusza Coignet'a*. Z niewyjaśnionych dotychczas powodów, tembardziej zastanawiających, że jego muzyka, pozbawiona artystycznej wartości, nie umiała nigdzie dostroić się do duchowego wyrazu poetyckiej koncepcji. Zostawiając na uboczu kwestyę autorstwa Rousseau'a—

¹⁾ *Dictionnaire de Musique*: artykuł *Récitatif*.

wszechstronnie oświetloną w pracy Dr. Edgara Istla — musimy z całym naciskiem podkreślić doniosły wpływ, jaki wywarł *Pigmalion* na rozwój form dramatycznych: pobudził on do życia rozkwitły w wieku XVIII *melodramat* (Benda, Mozart), a przyznając muzyce rolę decydującego czynnika w odtworzeniu procesów psychicznych, rozgrywających się poza widomą akcją sceniczną, przyczynił się pośrednio do wysubtelnienia środków muzycznych, mogących nagiąć się do każdej sytuacji uczuciowej. Wszelako następcy Rousseau'a zboczyli ze wskazanej im drogi, gdyż nie przestrzegali konsekwentnie jego zasad, lecz zniżali muzykę do rzędu środka ilustracyjnego, postępującego mechanicznie za poetyckiem słowem; opierając *deklamację* o *tło orkiestralne*, łączyli z sobą w bezpośrednim skojarzeniu dwie odrębne sfery nastrojowe bez wewnętrznej konieczności i logicznego uzasadnienia.

Gdybyśmy zasługi Rousseau'a na polu muzyki chcieli oceniać miarą tych jego dzieł, które ukształtowały ewolucję naszego moralnego i społecznego życia, wówczas przystąpi je niewątpliwie cień tych wielkich objawień twórczych i przyćmi blaskiem świetlanego ogromu; lecz gdy wprzęgniemy twórczość muzyczną Rousseau'a w genetyczny łańcuch dziejowego rozwoju, wtedy ogarnie nas korne zdumienie przed intuicyjną głębią jego czynu, rzucającego ożywcze promienie w odległą przyszłość.

DR. JÓZEF WŁADYSŁAW REISS.

PIŚMIENNICTWO.

WŁ. A. MUŚNICKI. *O domach towarowych czyli zmodernizowanym handlu detalicznym*. Praca nagrodzona na konkursie na odczyt. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkull).

Domy towarowe są to wielkie przedsiębiorstwa handlowe, które bezpośrednio zaspakajają wszelkie potrzeby konsumenta, dostarczając mu przedmiotów z najróżniejszych działów, od najprostszych do najbardziej luksusowych. Jest to handel detaliczny w czystym typie, różni się jednak od zwykłych interesów tego rodzaju tem, że nie posiada żadnej specjalności, lecz łączy wszystkie możliwe razem. Wymaga to znacznego nagromadzenia towarów z każdej dziedziny i nadaje domom towarowym charakter wielkokapitalistyczny. Zewnętrzny wygląd takich domów towarowych bywa zazwyczaj wspaniały, są to sklepy-kolosy, wielkie kilkopiętrowe gmachy, robiące wrażenie pałaców.

Domy towarowe na Zachodzie w ostatnich czasach zaczęły się bardzo szybko mnożyć i dochodzić do kolosalnego rozwoju. Taki paryski „Louvre“ założony w r. 1855 obecnie posiada kapitału 22 miliony franków i zatrudnia przeszło 5000 pracowników. W Niemczech w przeciągu ostatnich lat 30-u we wszystkich większych miastach powstały liczne domy towarowe, dochodząc do liczby z górą 600. Słabiej rozwinęły się w Anglii, gdzie skoncentrowały się niemal wyłącznie w Londynie.

U nas niema wcale domów towarowych. Zachodzi pytanie, jaka jest tego przyczyna i czy usunięcie przeszkód, stojących na drodze powołaniu ich do życia, nie posunie nas o krok naprzód pod względem ekonomicznym.

Rozwój gospodarczy Niemiec wskazuje nam, że powstawanie domów towarowych jest ściśle zależne od stanu przemysłu.

Gwałtownie szybki wzrost przemysłu niemieckiego, wywołując nadprodukcję i wyrób towarów na zapas, zmusił do szukania nowych dróg ich zbytu. Handel pośredniczący, opierający się na agentach przedstawicielach, nie wystarczał już przemysłowi, który potrzebował szybszego ruchu, krótszej i tańszej drogi dla dostarczania towarów konsumentowi. Tendencya ta stworzyła domy towarowe, którym fabryki sprzedają „en masse“ swą całkowitą produkcję. Wraz ze wzrostem zatem przemysłu formacya ekonomiczna domów towarowych narzuci się i nam.

Ta nowa, zmodernizowana forma handlu detalicznego daje wiele korzyści konsumentowi. Unika on nieprzyjemnego i uciążliwego chodzenia i wyszukiwania odpowiedniego sklepu, zaoszczędza bardzo dużo na czasie, znajdując w jednym miejscu potrzebne mu przedmioty. Dalej domy towarowe, obsługując szeroki ogół, kupując hurtem i robiąc wielkie obroty, mogą o wiele taniej ustępować towar konsumentowi, niż to czynią zwykłe sklepy detaliczne. Dzięki temu, domy towarowe przyczyniają się w znacznym stopniu do uregulowania cen.

Nieuzasadnione są zarzuty, iż przepych, z jakim zwykle urządzone są domy towarowe, pochłania kolosalne sumy i zwiększa znacznie koszty handlowe. Wszak i każdy sklep musi ponosić poważne wydatki na reklamy, a ów przepych domów towarowych jest właśnie najlepszą reklamą dla nich. Z drugiej strony domy towarowe, przeprowadzając koncentrację sił roboczych, mogą je zużytkować znacznie korzystniej i oszczędniej. Naogół więc suma kosztów handlowych wypadnie dla domów towarowych mniejsza, niż dla sklepów detalicznych.

Niesłusznym jest również zarzut, iż domy towarowe popierają wyłącznie tandetę i przyczyniają się do obniżenia gustu publiczności. Wielkie typowe domy towarowe posiadają zarówno dobry — drogi, jak i gorszy — tani towar. Gdyby którykolwiek dom ograniczył się tylko do tandety, to podkopywałby tem samem swoją egzystencję.

Domy towarowe, będąc silnym i poważnym pośrednikiem między przemysłem a konsumentem i znając dobrze warunki zbytu detalicznego, są bezsprzecznie powołane do pełnienia funkcji bodźca i regulatora produkcji. Praktyka Zachodu wykazuje, iż wpływ ich na przemysł jest poważny.

Dodatnie strony domów towarowych, jak widać z tego wszystkiego, są znaczne. Znajdują one jednak zaciekle przeciwników w sferze drobnego i średniego kupiectwa, które widzi się zagrożonem przez nie w swej egzystencji. Bezwarunkowo,

że domy towarowe wypierają część detalistów mniej uzdolnionych, nie mogą wszakże odebrać klienteli solidnym detalistom. Ci zawdzięczają swą klientelę osobistym sympatyom, znajomościom wśród pewnych sfer i renomie firmy. Detalista zawsze może dać w swej specjalności większy wybór, zachęcając tem samem wybredniejszą publiczność. Do detalisty wreszcie jest nieraz konsumentowi bliżej niż do domu towarowego.

Położenie więc drobnego i średniego kupiectwa, pomimo istnienia domów towarowych nie przedstawia się bynajmniej rozpaczliwie. Przeciwnie, w stosunku do handlu domy towarowe są również czynnikiem dodatnim, budzącym z uspienia, zinusządzającym do solidniejszej, ruchliwszej pracy. Domy towarowe w Niemczech nietylko nie zabiły tam kupiectwa, ale przeciwnie uzdrowiły go. Część niedojrzała i dyletancka została zmiażdżona, ale znaczna większość kupiectwa przystosowała się do nowych warunków i, udoskonaliwszy się, doszła do większego, niż przedtem, rozkwitu.

Reasumując swe argumenty, dochodzi autor do zupełnie słusznego wniosku, iż powstanie u nas domów towarowych byłoby czynnikiem ekonomicznego postępu, wpłynęłoby pod wielu względami na uzdrowienie naszego życia gospodarczego nietylko w dziedzinie handlu, ale też i przemysłu. Na kartach swej broszury występuje autor, jako umysł praktyczny, dobrze obeznany z naszymi warunkami i umiejący przystosować do nich wskazania teoryi, zbudowanej na doświadczeniu Zachodu.

W. D.

DR. FLORYAN ZNANIECKI. *Humanizm i poznanie*. Warszawa, 1912. Skład główny w księg. E. Wende i S-ka. (Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“).

Po osiągnięciu szczytów spekulacyjnych w pierwszej połowie wieku dziewiętnastego myśl filozoficzna jak gdyby wyczerpała się i wyżyła. Zapanował pozytywizm i materyalizm, filozofia wprawdzie swoistego rodzaju, ale ani dająca pola do szerszych uogólnień, ani wyjaśniająca podstawowych zagadnień myśli i działania. Materyalizm XIX stulecia był formułą gotową i skończoną: wychodząc z zasady o zupełnej już nie zależności, lecz wyczerpalności życia duchowego w cielesnem, rozszerzał swe założenia na całość doświadczenia, a nie mogąc swych twierdzeń sprawdzić w całej rozciągłości, oczekiwał z pewnością, że spraw-

dają się wraz z postępem nauki. Ale już samo przyznanie, że, narazie przynajmniej, pomiędzy naukami fizyczno-chemicznymi a biologią, pomiędzy biologią a socyologią istnieją luki, prowadziło za sobą konieczność uzupełnienia hipotetycznego. Wówczas zrodził się ewolucjonizm, jako teoria o istnieniu niezliczonych stopni pośrednich olbrzymiego procesu rozwojowego pomiędzy zjawiskami zewnętrznymi a umysłowością, która te zjawiska sobie uświadamia i w pewien systemat układa.

Ewolucjonizm jednak zawierał w sobie błędne koło. Ta sama umysłowość, której genezę należało wyjaśnić, zawierała się implicite w założeniu, zarówno w sposobie ujęcia pierwotnego stanu świata, jako też w teorii samego przebiegu ewolucyi. Trzeba tu wybierać: albo nasze teorye o rzeczywistości i ewolucyi są prawdziwe bezwzględnie, nasz rozum jest bezwzględnie obiektywny i rzeczywistość racjonalna, a w takim razie nie można mówić o genezie umysłowości, lecz o stopniowym objawianiu się rozumu w przebiegu ewolucyi; albo też rzeczywistość nie jest racjonalna, więc nasz rozum jest względny, a w takim razie można umysłowości przypisywać powstanie w czasie. Wówczas jednak o przebiegu jej powstania nic orzec nie można, o ile nie jest ona wytworem innej, ogólniejszej jakiejś funkcji i o ile rzeczywistość inaczej, niż przez rozum, ująć się nie daje. Nasuwa się tutaj pojęcie działalności, jako funkcji ogólniejszej i pierwotniejszej, niż myśl poznawcza; w czynie stykamy się z rzeczywistością inaczej, bezpośrednio, niż w poznaniu, a z drugiej strony nawet w świetle racjonalnych badań ewolucjonizmu poznanie w stosunku do działalności jest czemś późniejszym i wtórnem. I tutaj powstaje hipoteza, że myśl jest wytworem i narzędziem życia praktycznego, wynikiem i środkiem dostosowania się organizmów żyjących do otoczenia; w tem jednak świetle zarówno formy myślenia, jakoteż teorye racjonalne są czemś względnem w stosunku do ludzkich potrzeb i warunków życia.

W ten sposób wyprowadza dr. Znaniecki z ewolucjonizmu oba zasadnicze prądy filozofii współczesnej: racjonalizm i pragmatyzm. O ile pierwszy w charakterze swoim dzisiejszym sięga przeważnie w przeszłość i jest wybitnie retrospektywny, drugi ma przed sobą nieskończone narazie widnokreśli; o ile pierwszy odpowiada teoretycznym wymaganiom umysłu, drugi stara się zaspokoić potrzeby praktyczne uczucia i woli. Przedział między temi dwiema stronami życia wewnętrznego człowieka, zapoczątkowany przez Kanta w jego dwóch dziedzinach „rozumu teoretycznego“ i „rozumu praktycznego“, przedział ten doszedł do

rozmiarów przepaści. Są to już nie dwa systematy, lecz dwa światy.

Dr. Znaniecki otwarcie i z góry przyznaje się do swych sympatyj dla pragmatyzmu, którego zasady rozszerza w myśl „humanizmu“, odpowiadającego nie na to, „czem jest świat“, ani na to, „czem jest świat w stosunku do człowieka“, lecz poprostu, „czem jest człowiek“.

Wszelako zajmując wyraźnie stanowisko humanizmu, dr. Znaniecki nie pragnie go uczynić teorią jednostronną. Przeciwnie, pragnie weń włączyć zasady racjonalistyczne o tyle, o ile są przydatne dla człowieka, przydatne zaś są w dziedzinie nauki. Albowiem nauka musi mieć cechę obiektywną, występować z uroszczeniem do znaczenia bezwzględnego. To też humanizm, o ile chce się przetrwać w nauce, musi w sobie pogodzić te dwie tendencje: musi wykazać, że nauka może posiadać znaczenie obiektywne, bezwzględne, nie przestając mimo to być ludzką wiedzą, względną w stosunku do człowieka dziejowego. I oto rodzi się hasło: „Aby pojąć, czym jest człowiek, ognisko i twórca świata, nie można osłabiać, pomijać, ni zwalczać racjonalizmu: przeciwnie, trzeba go rozwinąć w pełni jego znaczenia, wgłębić się w najskrytsze jego tajniki, przyjąć i uznać najskrajniejsze jego myśli, marzenia nawet, których wypowiedzieć on nie śmie. Nie poniżej absolutu, lecz ponad nim ugruntować należy potęgę wszechwładną Człowieka“ (str. 31).

To podporządkowanie racjonalizmu humanizmowi jest, jak się zdaje, kluczem do zrozumienia wysiłków autora, zdążających narazie do postawienia ogólnych form i założeń metodologicznych, w których rozwijać się ma nowa filozofia. Podstawowemi zagadnieniami są tu: rzeczywistość, jej stosunek do myśli oderwanej, oraz nauka jako systemat myśli o rzeczywistości.

Rzeczywistość, jako doświadczenie bezpośrednie, istnieć nie może, ani jeżeli będziemy za bezpośrednie doświadczenie uznawali oddzielne jakości, ani kiedy niem będzie ciągłość różnorodna, świat przedmiotów lub jakakolwiek kombinacja danych subiektywnych i obiektywnych. Przyjęcie bezpośredniości doświadczenia prowadzi tylko do tego, że myśl poznawcza zostaje postawiona w równym rzędzie ze swym przedmiotem — to zaś jest sprzeczne z podstawowem określeniem poznania. Doświadczenie może być tylko pośrednie, t. j. uwarunkowane przez całą przeszłość świadomą, acz w danej chwili nieuświadomianiane co do tej zależności; z drugiej strony może być tylko pośrednie o tyle, o ile się stosuje do przyszłości. W pierwszym razie ma ono cha-

rakter myśli, jest światem subiektywnym, warunkującym wszelką treść, jaka się w świadomości objawia. W drugim razie całość kształt doświadczenia przybiera cechę rzeczywistości, jest światem obiektywnym, który może być i będzie dany w przebiegu świadomości, ale w chwili obecnej jest przez myśl uwarunkowany, jest tej myśli przedmiotem. Ta chwila obecna stanowi wspólną granicę subiektywnej i obiektywnej strony doświadczenia; treść aktualna naszej świadomości jest tem, co się z rzeczywistości w myśl przekształca. Ta istota doświadczenia aktualnego nadaje mu charakter wartości, która może być zarówno myślą, jak rzeczywistością, doznaniem symbolizującym rzecz, lub rzeczą, symbolizowaną przez doznanie: tak np. wypełniony cel jest rzeczywistością w stosunku do uprzedniego zamiaru, myślą zaś, gdy staje się punktem wyjścia w dążeniu do dalszego celu; albo też jakieś przyjemne lub przykre zjawisko jest rzeczywistością w stosunku do dawniejszego podobnego zjawiska, myślą — w stosunku do późniejszego. W ten sposób świat doświadczenia rozkłada się dla autora na podwójny, choć ściśle z sobą związany szereg elementów: rzeczywistość, jako przedmiot myśli, stanowi świat wartości, myśl, jako świadomość rzeczywistości, tworzy świat działalności.

Cała bowiem rzeczywistość wogóle, ani cała treść oddzielnych przedmiotów nie istnieją niezależnie od przebiegu myślenia; sama wiara w realność bezwzględną obiektywnego świata ma swoje źródło w pewnych potrzebach myśli poznawczej. Poznanie wymaga, aby przedmioty jego były niezmienne, niezależne od sprawy poznawania. Wymaganie to zupełnie jest słuszne, o ile mu czynimy zadość tylko ze względów metodologicznych, t. j. o ile ograniczymy się do żądania, aby przedmiot mógł być uważany za niezmienny dopóty i o tyle tylko, dopóki i o ile jest przedmiotem *badania naukowego*. Innemi słowy, chodzi tu o zastąpienie przedmiotu realnego przedmiotem idealnym dla specjalnych celów obecnego myślenia naszego. Nie można stąd jednak dopuszczać, aby ta potrzeba metodologiczna zamieniała się na istotę metafizyczną, niewolno twierdzić, że przedmiot pozostaje niezmienny, skoro już samo badanie go zmienia. „Myślenie rzeczywistości jest twórcze. Myśl w każdym momencie buduje i przekształca świat realny: tworzy ona stosunki, syntetyzując przedmioty i przedmioty syntetyzując stosunki. Nie jest to zaś tworzeniem subiektywnego obrazu świata, lecz tworzeniem rzeczywistości samej w sobie. Rzeczywistem jest tylko to, co myśl nasza już wytworzyła; różnorodność, związek, przyszłość i prze-

szłość świata istnieją tylko o tyle, o ile zostały pomyślane. Zrazem jednak rzeczywistość wzbogaca się i rozszerza i granic żadnych temu wzrostowi świata postawić nie można" (str. 108).

Myśl nie jest zwierciadłem, odbijającym rzeczywistość, nie jest intuicją zlewającą się ze swym przedmiotem, nie jest wreszcie bezpłodną grą czystych pojęć. Ma ona wszelkie cechy produkcyjnej, twórczej działalności i rozwija się w czasie, nie bytuje zaś bezczasowo. Potrzebuje więc rzeczywistości tak samo, jak rzeczywistość jej potrzebuje dla swego powstania i rozwoju; tworząc świat, myśl stwarza zarazem samą siebie. Twórczość tę pojmować należy tylko jako proces dziejowy, którego absolutny początek jest dla myśli niedostępny, gdyż zdolna jest tylko do kojarzenia danych już treści i form, a nie do wytwarzania form i treści z funkcji czystych. Dlatego też świat nie może być dla nas dziełem absolutu, lecz dziełem kultury ludzkiej. Kto szuka źródeł świata kultury bądź w przyrodzie, bądź w myśli czystej, ten bierze jeden z wytworów ewolucji kultury ludzkiej za samą ewolucję. Tkwi tu błąd filozoficzny, wykazujący, że zarówno przyrodnicze, jak idealne pojmowanie świata jest jednostronnem, częściowem jego opracowaniem, i że oba typy wyjaśnienia muszą się zatrzymać tam, gdzie myśl twórcza, z której one wyszły, sama staje się przedmiotem nauki. Myśl, jako forma, jest więc tylko uprzedmiotowieniem, schematem myśli jako funkcji, najdalej sięgającym zubożeniem całego bogactwa ostatniej. Łączność myśli może być tylko życiową, empiryczną, tworzącą się; wielość pozostaje zawsze, tylko w jej łonie tworzą się mniej lub więcej stałe i obszerne kompleksy, systematy myślowe.

Te systematy myślowe zdążają poprzez idealizację i schemat naukowy do systematu naukowego, jako najwyższego swego wytworu racjonalnego. W systemacie naukowym chodzi tylko o wzajemne uzależnienie racjonalne poszczególnych jego części i ogniw, a nie o jakikolwiek stosunek do doświadczalnej rzeczywistości. Nowe wprawdzie zjawiska zmuszają do pewnych przemian w systemacie, a nawet mogą go całkowicie rozsadzić, o ile się w nim nie mieszczą, mimo to jednak teoretyczne znaczenie ewolucji wiedzy od czynników praktycznych nie zależy: „wiedza nie jest względna w stosunku do życia, chociaż się w zależności od życia zmienia" (str. 200). Z tego stanowiska może autor powiedzieć, że każdy systemat, o ile tylko sprzeczności wewnętrznych, logicznych nie zawiera, jest zgodny z doświadczeniem i tem mianowicie zgodniejszy, im większy zakres zjawisk obejmuje i im więcej schematów w sobie rozwija.

Trudno doprowadzić racjonalizm dalej. Dla nauki w jakiegokolwiek formie pojęta zgodność z rzeczywistością jest, zdaniem d-ra Znanickiego, rzeczą nietylko obojętną, lecz wprost żądaniem chybionem. Nauce chodzi tylko o zgodność wewnętrzną, o możliwie najbardziej rozgałęzione, ściśle z sobą spojone i dokładnie sobie podporządkowane schematy myślowe, któreby stosunki pomiędzy zjawiskami możliwie najpełniej wyczerpywały.

Mimo to jednak cała ta drobiazgowa systematyzacja wiedzy wraz z całą swą idealizacją wytworów myślowych, z całym swym wewnętrznym aparatem racjonalnym, stanowi wytwór czynności, twórczości człowieka działającego w kierunku przyszłości.

W całym tym zarysowanym tutaj systemacie—możnaby bowiem dzieło d-ra Znanickiego śmiało nazwać systematem metodologii filozoficznej—nietylko objawiają się nieraz odwieczne zagadnienia, lecz odzywają się dawniejsze sposoby ich rozwiązywania. Tak np. przeciwstawność pomiędzy myślą a rzeczywistością dałaby się w pewnym stopniu sprowadzić do oddawna wytaczanej przeciwstawności szeregu zjawisk duchowych i cielesnych, a i wyraz, jaki dla tej przeciwstawności d-r Znanicki znajduje, często do tej formy się zbliża. Z drugiej strony, takie twierdzenia, jak słuszność każdego systematu naukowego, o ile jest systematem, mogłyby również być odszukane w dziejach, choćby np. w twierdzeniu Leibniza o słuszności każdego systematu filozoficznego w tem, co twierdzi, i niesłuszności w tem, czemu zaprzecza. Reminiscencye te jednak zewnętrznej są tylko natury i pochodzą jedynie stąd, że dla nadzwyczaj bogatej, obszernej i doniosłej treści swych rozpraw dr. Znanicki niezawsze mógł znaleźć wyraz zupełnie jasny i skryształizowany. Można powiedzieć, że bujność jego temperamentu filozoficznego nie pozwala mu się zatrzymywać dłużej przy nader licznych odnogach i bocznicach swej myśli podstawowej, choć nie pozwala mu ich pomijać. Dlatego też myśl podstawowa niezawsze jest wśród natłoku mnóstwa szczegółowych rozważań, argumentów i konstrukcji łatwo uchwytna.

Mimo niektórych dawniejszych sposobów ujęcia zagadnienia, książka d-ra Znanickiego jest dziełem nawskroś nowożytnem. Obraca się w zakresie tych samych spraw, które na czoło wysunęła odradzająca się z wczorajszej martwoty filozofia dnia dzisiejszego. Pod tym względem będąc u nas dziełem prawie jedynem, zasługiwałaby ta książka już na uwagę, gdyby zagadnienia filozofii ostatniej doby tylko odzwierciadlała. Przedstawia ona jednak coś znacznie większego. Nietylko bowiem zagadnieniom

tym przy olbrzymiem odczytaniu autora daje wyraz obszerny i ścisły, lecz dąży do samoistnego ich obrobienia, a nawet rozwiązania, daje oryginalny przyczynek do sprawy wzajemnego stosunku pomiędzy obu głównymi kierunkami współczesnej myśli filozoficznej. Jest więc dziełem nietylko pożądanem w naszej literaturze filozoficznej, lecz dziełem o doniosłości powszechnej. Dotychczasowa literatura filozoficzna europejsko-amerykańska, obracająca się w zakresie przedstawionych tu kierunków pragmatyzmu i racjonalizmu, nie posiada głębszej próby ustosunkowania i uzgodnienia ich antynomii. Dr. Znaniecki znalazłszy sposób przyznania każdemu kierunkowi zakresu odrębnego, ujmując pragmatyzm, a raczej humanizm jako zasadę metafizyczną wogóle, racjonalizm zaś jako zasadę metodologiczną w nauce, rozwiązuje sprawę w sposób zarówno różnostronny, jak oryginalny.

Doniosłości tej książki nie zdołają też zmniejszyć pewne usterki, jak niezupełnie ustalona i przejrzysta terminologia autora oraz jego styl surowy i nieraz ciemny. Usterki te zresztą tłómaczą się nowością i trudnością poruszanych tu zagadnień.

DR. ADAM ZIELEŃCZYK.

EDWARD SCHURÉ. *Wielcy wtajemniczeni. Zarys tajemniczych dziejów religii. Kama. — Krisma. — Hermes. — Mojżesz. — Platon. — Jezus.* Z 20-go wydania francuskiego spolszczyła Władysława Ni-decka. Warszawa, nakładem Michała Arcta (Księgi życia i ducha).

Celem książki jest przedstawienie tej strony pojęć religijnych, która opiera się na pierwiastkach tajemniczych: magii, czarnoksięstwie, czarach, wróżbiarstwie i t. p. Trudno to nawet właściwie nazwać rozwojem, skoro autor z góry przekonać czytelnika usiłuje, że prawda — religijna, oczywiście — tkwiła już w świadomości niektórych wybitnych osobników od czasów niepamiętnych, a tylko postęp kulturalny i naukowy przyczynił się do ukrycia tej treści istotnej wszelkiej religii pod nalotem zewnętrznym, z pod którego ją obecnie wydobywać należy. Dawna bowiem „nauka“ ściśle była zgodna z wiedzą „tajemniczą“, owszem, na niej się głównie wspierała, nauka zaś dzisiejsza błądzi, poszukując własnych dróg autonomicznych. Współczesny, a oddawna już datujący się spór pomiędzy wiedzą a wiarą ustałby niebawem, gdyby nauka sięgnęła z powrotem do swej podstawy tajemniczej.

Nawołując do nielekceważenia zjawisk, których nauka współczesna rozwiązać nie potrafi albo zgoła nie pragnie, autor czyni jednakże wszystko, co leży w jego mocy, aby zrazić do swego dzieła czytelników, nieprzekonanych z góry o słuszności wygłaszanych tu teorii. Zanim bowiem docieramy do samej treści „tajemniczych dziejów“ zmuszeni jesteśmy przedrzeć się przez wyprasający nakaz: „niepowołani niechaj zdaleka stoją“, oraz zbyt wiele, a zatem prawie nic nie mówiący ogólnik: „dusza jest kluczem świata“. Następuje wreszcie... wstęp, ze stanowiska filozoficznego dość bałamutny, twierdzący w sposób kategoryczny, że wiedza współczesna dąży „nieświadomie, lecz z siłą prawa ciężenia do—podstawowych zasad teozofii starożytnej“ (str. 12). Oczywiście, miesza tu autor zakres samych badań z treścią ich teoretycznego ujęcia i dopatruje się metafizyki tam, gdzie jej wcale niema. Ale nie na tem zresztą polegają główne wywody i wartość książki.

Myślą podstawową jest tu przekonanie, że każda z danych dziejowo religii wspiera się w swej istocie na tych samych głęboko tkwiących prawdach, które przechodziły kolejno od jednej do drugiej. Same te prawdy nie są dostatecznie i przejrzyście przez autora wyłożone, naogół tylko odgadnąć można, że zaliczone tu zostały wszelkie teorie mistyczne, polegające na obcowaniu człowieka z duchem świata oraz na przetwarzaniu się światowej istoty ludzkiej w biegu wieków.

Wykładając bieg życia wybitnych założycieli religii i związków religijnych, jak Kama, Kryszna, Hermes, Mojżesz, Orfeusz, Pitagoras i Jezus Chrystus, autor wyszukuje i podkreśla te momenty, które wskazują na pierwiastek mistyczny w ich życiu i dziełach oraz stara się do tego pierwiastka sprowadzić wszystkie poczynania. Pozatem opowiedziane są dzieje ich żywota według rozmaitych legend, którym autor już z samego swego założenia ufa bezwzględnie. I to jest właśnie książki wartością największą. Przypomnienie tych legend, które rozsypane w najrozmaitszych źródłach, niezawsze są dostępne dla czytelnika, nie zajmującego się specjalnie jedną z wymienionych postaci, oraz skupienie ich w jednej książce pod pewnym, choćby najbardziej ulegającym wątpliwości kątem widzenia, nadaje dziełu powab i pojęte, która długo pewno jeszcze będzie mu zjednywała gorliwych, a wdzięcznych czytelników. Gdy jeszcze dodamy, że „dzieje tajemnicze“ opowiedziane są w formie zajmującej, stylem obrazowym, językiem pięknym (w oryginale) oraz że są przesiąknięte głębokiem zamiłowaniem tematu i miłością dla osób odtwarzanych,

zrozumiałem będzie, że książka p. Schuręgo doczekała się w oryginale mnóstwa wydań.

Powodzenia tego nie można jednak wróżyć jej przekładowi na język polski już choćby z tego względu, że nie odpowiada wymaganiom, jakie przekładom takich dzieł stawiać można i należy. Nie oddając czaru języka oryginału, przekład ten grzeszy nadto poważnie przeciw polszczyźnie, używając np. takich zwrotów; „monoteizmu *judzkiego*, *czczącego*, *Wiekuiściego* bez przejawów wszechobecności *Jego*“ (na str. 33), „obroniciel“ (str. 25), „sanktuaryi“ (str. 91). Nie brak też miejsc, świadczących o niezrozumieniu tekstu, jak np.: „Lecz tłumy białych, początkowo do niewoli uprowadzone, ustawicznie i nieraz z niewoli tej ratujące się ucieczką, pomału obznajmiły czarnych swych współbraci ze zdobyczami cywilizacji. Biali nauczyli się więc topić metale i przejęli od czarnych święte pismo“... (str. 23; wyżej była mowa o pierwotnej wyższości kulturalnej rasy czarnej nad białą). Poza tem dwustronicowy wykaz *petitem* omyłek druku nie wyczerpuje wszystkich błędów korektorskich. Wreszcie zaznaczyć należy, iż jeden z rozdziałów został „dla względów wydawniczych“ samowolnie obcięty (str. 133) i że na karcie tytułowej nie tylko nazwy tego rozdziału nie pomieszczono wśród innych, lecz zastąpiono ją inną nazwą, której w szeregu rozdziałów wcale niema: wymieniony tu „Platon“ nie stanowi rozdziału książki. Czyżby i takie rzeczy działy się „dla względów wydawniczych“?

DR. A. Z.

Kronika miesięczna.

Z polityki zagranicznej. — Zatarg bałkański i wojna europejska. — Styczne do rzeczy polskich. — Złudne marzenia i szkodliwe poczyny. — Wybór warszawski i jego następstwa. — Bojkot ekonomiczny Żydów. — O miłości i nienawiści. — Jubileusz Korzona.

Nie pisaliśmy jeszcze na tem miejscu o polityce zagranicznej. Jeżeli robimy dziś nieznaczny wyjątek od tej zasady, czynimy to nie tyle dlatego, żebyśmy uważali, jakoby współczesny zatarg bałkański wysuwał na porządek dzienny kwestyę polską w polityce międzynarodowej, ile dlatego, że wobec nastroju części opinii polskiej, zwłaszcza za kordonem granicznym, należy wypowiedzieć kilka pewników, bynajmniej nie nowych, jakkolwiek niestety zawsze w tem społeczeństwie potrzebnych.

Żyjemy obecnie w atmosferze powszechnego zdenerwowania. Rano i wieczorem, czasem zgoła w jednym i tem samym wydaniu dzienników, czytamy wieści wprost z sobą sprzeczne, najczęściej alarmujące. Szybkie zwycięstwa bałkańskich państw słowiańskich, pospieszne i przemożne parcie na odwieczną stolicę cesarzy bizantyjskich zastały mocarstwa wielkie nieprzygotowanymi, to znaczy, że nie zostały ustalone linie wytyczne polityki, możliwość i granice obcej interwencji. Z mocarstw tych najbardziej bezpośrednio zainteresowana jest Austria; sprzeczność interesów na zdobytym przez Serbów pobrzeżu Adryatyku jest jasna i wyraźna; w Austro-Węgrzech słyszymy też najbardziej niepokojące pogłoski wojenne, czynione są najrozleglejsze przygotowania; stan rzeczy odbija się wyraźnie na życiu ekonomicznem Galicyi i na nastroju tańszej opinii polskiej. Z Niemiec dochodzą nas równie pewne wieści o dyslokacyi wojsk zagranicą, jak

i urzędowe zaprzeczenie tym dyslokacyom przez kanclerza Rzeszy; w innych mocarstwach o przygotowaniach nie słyhać nic zgoła.

Zlokalizowany zatarg austro-serbski byłby równie mało ciekawy, jak niewątpliwy w rozwiązaniu dla Serbii niepomyślnem; dysproporcya sił jest zbyt oczywista. Skoro widzimy jednak stanowczą bardzo postawę rządu serbskiego, nasuwa się przypuszczenie, że ma za sobą poparcie innego wielkiego mocarstwa, którem mogłaby być tylko Rosya. Stąd—wobec układu współczesnych sił politycznych Europy—przypuszczenie wojny europejskiej.

Nie kusząc się o przepowiadanie przyszłości, można przeciwstawić i inne przypuszczenie. A mianowicie, że kwestya wschodnia nie będzie rozwiązana za pomocą wojny europejskiej, lecz przez kongres mocarstw. Że zanim ten kongres się zbierze i nowy układ zatwierdzi, upłynie sporo wody w Maricy okrwawionej, a przez ten czas uderzania po szablach i demonstracye wojskowe będą atutami, wygrywanymi nieustannie przez najbardziej zainteresowanych w celu uzyskania największych zdobyczy terytoryalnych, czy dyplomatycznych. Że wreszcie w depresyi ekonomicznej, wynikającej z różnych poziomów wiadomości wojennych, zainteresowane są wielkie banki, grające na zniżkę, które mogły nawet te wiadomości fabrykować i w obieg puszczać, a już do dziś dnia ładne zgarnęły miliony z czterech głównych dni spadku kursów. Konkluzya tego przypuszczenia, że, bez wojny, stan przygnębienia i zdenerwowania może trwać dosyć długo, co tem większego ze strony naszej wymaga spokoju.

Ale stańmy na gruncie przypuszczenia wojny europejskiej, z zastrzeżeniem, że uważamy je za mało prawdopodobne, bo do wojny, jak do małżeństwa, trzeba chęci dwu stron, gdy w danym wypadku jedna z nich absolutnie wojny nie chce. Więc, w razie wojny, jakie ma być stanowisko ogółu polskiego?

Kiedy w zakończeniu „Lalki“ Prusa Rzecki umiera, pozostaje po tym ostatnim romantyku świadectwo, że „nie wszystkich umarł“. Zdawałoby się, że po dziadach naszych, wlokących kości po wszystkich pobojuwiskach, zostanie w nas kryształowa czystość charakteru, opromienienie życia wielkim ideałem, że w tem znaczeniu „nie wszystkie umarłi“. Stało się inaczej. Dawne cnoty i marzenia stały się u potomków miedzią brząkającą i cymbałem brzmiącym, bo miłości w ich sercach niema, tylko próżność i kabotyzm patryotyczny i polityczny; zostały tylko—złudzenia; dziś po dziesiątkach lat doświadczeń, na żadną pobłażliwość nie zasługujące. Tylko—zamiast Napoleona i Napoleonidów — pod-

stawić trzeba Austryę. Obniżeniu ideału i tu nikt nie zaprzeczy; próżnobyśmy na czarno-żółtych sztandarach szukali roznoszonych niegdyś po świecie przez orły Napoleońskie wielkich, nieśmiertelnych haseł wolności dla wszystkich i dla każdego.

Rząd austriacki, przygotowując się przezornie i na wszelki wypadek do wojny z Rosyą, rozumie oczywiście doskonale znaczenie sprawy polskiej i równie dobrze unie wyzyskać różnicę poziomów po tamtej i po tej stronie granicy: tam—pełna możność narodowego rozwoju; tu—brak tej możliwości i stałe, uzasadnione niezadowolenie. Więc w razie wkroczenia do Królestwa przednie strażę będą polskie, z orzełkami, chorągiewkami i t. p. wabikami; że w interesie Austrii leżałoby nawet powstanie w Królestwie, leży jak na dłoni, ponieważ odciągnęłoby część sił rosyjskich wojskowych od wschodniego teatru wojny. Tu naturalnie rząd austriacki sam urzędownie nie działa; ster części opinii polskiej spoczywa w ręku biura wywiadowczego austro-węgierskiego ministerjum wojny, czyli w ręku organu, którego się zawsze wyprzeć można, jak się to czyni przy każdej międzynarodowej aferze szpiegowskiej. Następstwa - rozumie się—nikogo nie nie obchodzą.

Dotąd wszystko w porządku—stoimy przecież na gruncie interesów austriackich, nie polskich. Ale jak określić naiwność, bezmyślność czy zaczadzenie głów polskich, które tej białemi niemi szytej roboty nie widzą, tych ludzi, którzy na wiecu w Krakowie—wznawiając najgorsze tradycje emigracji popowstaniowej, bez żadnego usprawiedliwienia—bez nas dekretują o nas, gdy kraj cały chce tylko spokojnie, powszednio pracować dla lepszej przyszłości i w olbrzymiej większości trzyma się jedynie racjonalnej zasady nieinterwencji.

Rozumujmy. Akeya krakowska u szczerych jej zwolenników przewiduje zwycięstwo Austrii w wojnie z Rosyą. To można uzasadnić, tego można bronić. Ale dalej wkraczamy w dziedzinę fantazyi: drugie przypuszczenie—to wskrzeszenie dawnego Królestwa Kongresowego, jako jakiejś sekundogenitury Habsburgów, z rozszerzonymi granicami. Nazywamy to przypuszczenie fantazyą, ponieważ nie jest oparte o żadne realne przesłanki. Owszem, wszystko, co jest realnego, wszelkie przykłady z historii stwierdzają, że ani Prusy nie zgodziłyby się na posiadanie pod bokiem swobodnego organizmu polskiego, który musiałby silnie promieniować kulturą polską na ziemię naszą w Prusach, stworzonego w dodatku przez sprzymierzeńca, ani nawet pobita Rosya. Temu optymistycznemu przypuszczeniu można przeciw-

stawić szereg innych: podział Królestwa, czyli czwarty rozbiór, odszkodowania dla zwycięzcy bądź na Bałkanach, bądź na granicy wschodniej z konsekwencją zalewu ruskiego i upadku wszelkiego znaczenia Polaków w Galicyi, a przez to samo i w państwie austriackiem. A każdemu z tych wypadków towarzyszyłoby wzmocnienie represyi w Królestwie, odwet tem gwałtowniejszy, że oparty o jednomyślność opinii rosyjskiej. Chyba o taki tryumf chodzi, który streszcza się w pokutującej jeszcze nieustannie zasadzie „im gorzej tem lepiej“.

Na szalę losów historii może rzucić swój głos, swój czyn, naród spójny, zwarty, zdolny do czynu zbiorowego. Zrzućmy łuski z oczy: my takim narodem nie jesteśmy. Opinia rozbita zupełnie; niezdolność do elementarnych czynów politycznych, jak np. u nas wybór posła ze stolicy, a w Galicyi uporanie się z reformą wyborczą; gdzież tu marzyć o czynie wyższego rzędu, jakim byłoby wpłynięcie na bieg spraw europejskich? Wreszcie — co najważniejsza — nikt u nas do jakiegokolwiek czynnej interwencji poważnie nie dąży. Mamy przed sobą ważniejsze, pilniejsze i pewniejsze zadania: organizację życia zbiorowego, podniesienie kultury kraju, unarodowienie jego życia ekonomicznego; pewniejsze — bo one matematycznie lepszą przyszłość zbiorowości gotują. Czujemy związek duchowy z innymi dzielnicami dawnej Polski, chętnie słuchamy głosów stamtąd idących, ale rezerwujemy sobie wybór własnej drogi i zastrzegamy się przeciw rozporządzeniom zebrań krakowskich i dla króla austriackiego pracować nie będziemy, choćby nas obrzucano już ukutymi zamiast argumentów przymiotnikami. Nasze dążenia są polonofiskie, to znaczy idą w kierunku zabezpieczenia interesów polskich. A że te interesy wymagają przede wszystkim rozważnego spokoju, więc w tym spokoju wytrwamy.

Jakby na ironię losu, majaczenia i fantasmagorye części opinii galicyjskiej przypadają na chwilę, kiedy historia daje nam wielką lekcję nauki o rzeczach. Oto rozpada się państwo nigdyś potężne, ze śmiatego zaboru powstałe, rozpada się, jak domek z kart, pod ciosami onegdajszych niewolników, wczorajszych lenników. Uczy nas zmienności fortuny, uczy konieczności trwania, zachowania narodu, uczy nas wytrwałości, pracy i mądrej, celowej polityki. Wszyscy pamiętamy, jak te państewka były cierpliwym terenem zmagania się różnych wpływów. Niestusznie stąd lekceważone, robiły przecież swoje; robiły i były cierpliwie właśnie; aż w pełnym rynsztunku współczesnym wystąpiły do pewnego zwycięstwa. Czyny ich budzą nie tylko sympatyę;

więcej—otuchę i chwiejącą się ciągle wiarę w wieczność choć nierychliwość sprawiedliwości.

*

*

*

Idąc przez śródmieście Warszawy spotykamy coraz częściej sklepy o firmach, brzmiących ogólnikowo, ze wstydliwem ukryciem nazwiska właściciela. Usługują gościom subjekci Polacy, sklepy otwarte są także i w sobotę, zaledwie czasem, przy płaceniu, wysunie się z głębi figura, wskazująca istotny charakter interesu. Zarządzają nin chrześcijanie, wynajęci do handlu.

Czemże są metody polityczne, jeżeli nie rozszerzonymi, uogólnionymi, czasem uwstecznionymi metodami życia prywatnego? Nowy poseł warszawski, p. Jagiełło, czy, jak chcą rzeczy świadomi, p. Jagieła, jest niczem innym, tylko takim właśnie chrześcijaninem, wynajętym do polityki. Próżne są usiłowania jego towarzyszy ideowych przekonania ludzi, że reprezentuje on faktycznie większość ludności Warszawy, bo Warszawę robotniczą. Próżne, bo był tylko przedstawicielem jednej trzeciej wyborców kuryi robotniczej, skoro dwaj inni wyborcy-robotnicy opuścili zebranie wyborcze z protestem; bo narodowy związek robotniczy wybory bojkotował, a robotnicy, należący do demokracji chrześcijańskiej zgoła inaczej głosowali, więc w najlepszym razie reprezentuje nowy poseł jakąś dziesiątą część robotników, a zatem bardzo znikomą część ludności; bo—wreszcie—nie może być nikomu obojętne, czyimi głosami został poseł wybrany. Zrzeszenie ideowe, występujące rzekomo przeciwko wszelkim nacjonalizmom, okazało się, jak zwykle, przeciwnikiem tylko narodowości własnej, natomiast powolnym sługą nacjonalizmu obcego; przedstawiciel wrogów kapitalizmu przez jego reprezentantów do Izby wysłany został. Niema w tem zresztą nic nieoczekiwanego; odezwa przedwyborcza zjednoczonych stronnictw lewicowych, czyli Bundu i lewicy P. P. S., oświadczała się za wszechstronnem równoprawnieniem żargonu, a nie mogła nigdzie wykrztusić przymiotnika „polski“, zastępując go eufonicznie „ojczystyn“. Nie my zresztą tylko, co się polskości swej nie wstydzimy, zajmujemy podobne stanowisko: odmowa przyjęcia posła warszawskiego do frakcyi socyjalo-demokratycznej Izby rosyjskiej i artykuł w urzę-

dowym organie socyal-demokracji niemieckiej stwierdzają wymownie, że fakt wyboru warszawskiego potępiony został i w międzynarodowej opinii radykalnej.

Posel warszawski dla społeczeństwa polskiego nie istnieje. Mają przedstawicieli swoich w Izbie dwie mniejszości stołeczne: rosyjska i żydowska; wyznanie i język domowy tych przedstawicieli—to szczegóły przypadkowe i obojętne. Żydzi wyborcy, nie wybierając nikogo ze swoich, okazali tylko brak odwagi cywilnej i stwierdzili ponownie odwieczną, wykrętną swoją taktykę. Następstwa faktu będą identycznie te same, co gdyby przeszedł żydowski nacyonalista. Opinia publiczna, podniecona już poprzednio wyborami, zwraca się prawie jednomyślnie przeciw Żydom z walką na tle ekonomicznem.

Trzeba tylko—pamiętając różne inne bojkoty—wyrzucić pragnienie, aby zwrot ten nie był ogniem słomianym. Niema w tem pragnieniu pesymizmu, przeciw któremu słusznie ostrzegano i pesymistów nawoływano, by zechcieli na rok, dwa przycichnąć i ducha nie osłabiać. Jest tylko znajomość trudności zadania i niezbędnej wytrwałości, wyężonej pracy. Z licznych artykułów w prasie wynika, jak olbrzymią rolę odgrywają Żydzi w naszym handlu hurtowym i jakie zajmują prawie niezdobyte pozycje. Pierwszy impet musi tedy zwrócić i zwraca się przeciw detalistom, którzy w znacznej większości stanowią masę bierną, gdy właśnie hurtownicy Nalewkoscy rekrutują się z samych niemal nacyonalistów. Ale to trudno. W tej walce ekonomicznej, której bezwzględnie pomyślnym rezultatem będzie podniesienie sprawności handlowej i przemysłowej społeczeństwa polskiego, muszą paść ofiarą pierwsze szeregi mniej winnych, zanim ta sprawność wzmoże się dostatecznie, by sięgnąć do dalszych placówek. W tym kierunku robi się już dużo, może pisze się i mówi więcej; taniość względna sklepów żydowskich, oparta na czynniku pozytywnym, czyli na minimalności kosztów własnych, oraz na czynniku negatywnym, czyli na handlowaniu towarem kradzionym lub kontrabandą, określać nieraz musi czyny ludzi o budżetach skromnych, przeciwstawiające się słowom i uczuciom. Dla kupców polskich, do zakładania nowych interesów polskich chwila jest jedyna; powinni z niej skorzystać, nietylko w interesie własnym, ale i w interesie społecznym. Jeżeli publiczność kupująca ma obowiązki, mają je i kupcy polscy, choć zbyt często powołują się tylko na prawa, nie pomni, że prawo bez obowiązku, jest tylko przywilejem, zawsze niepewnym i zawsze krótkotrwałym.

Z powodu bojkotu ekonomicznego Żydów poruszono odwieczną kwestyę roli miłości i nienawiści w życiu społecznym; poruszono ją z tej strony opinii polskiej, która patrzy na bojkot niechętnie, zapewne z powodu niejakiej skostniałości poglądów. My zwłaszcza, cośmy nieraz na tem miejscu bronili takiego poglądu, rozumiemy wagę rzuconego na szalę rozpraw zdania, że miłość jedynie jest twórczą, a nienawiść niszczyć tylko zdoła. Ale uważamy, że w danym razie kwestyi tak stawiać nie można. Bojkot ekonomiczny Żydów nie jest wcale wyrazem nienawiści ich, ale poprostu tylko wyrazem miłości społeczeństwa własnego, miłości Ojczyzny. Gdy uczucie to jest bierne, potencjalne, jakim niestety najczęściej bywa, nie przeciwstawia się oczywiście niczyim interesom, ale i jego wartość narodowa jest nijaka. Ale gdy przechodzi do stanu kinetycznego, gdy staje się czynem samoobrony, musi czyjeś interesy zahaczyć i musi się zdobyć na wybór; przeto nie staje się zgoła nienawistnem. Miłość wszechogarniająca, bezprzedmiotowa, w najlepszym razie może być tylko potencjalną, a więc nijaką (*qui trop embrasse mal étreint*) o ile nie jest mydlącym oczy, zasłaniającym bardzo grubym egoizmem, albo bardzo leniwym kwietyzmem, frazesem. Iluż to mamy ludzi, którzy w karierze swojej życiowej prywatnej potrafią bezwzględnie zdeptać, zniszczyć współzawodnika, a na forum leją łyzy krokodyla i czynią widowiska humanitaryzmu! Niechże więc opinia nie bierze się na lep łatwego frazesu. Możemy być spokojni. Walcząc z Żydami spokojnie, wytrwale, chłodno, bez ekscesów, na polu ekonomicznym, dajemy czynny dowód miłości Ojczyzny, a dobrym poczynaniami i usiłowaniami w tej mierze poszczęści Bóg...

*

*

*

W ubiegłym miesiącu święciliśmy półwiekowy jubileusz znakomitego uczonego, dobrego obywatela i zacnego człowieka. Do Tadeusza Korzона możnaby zastosować słowa Stefana Czarnieckiego: „ani z soli, ani z roli, ale z tego, co mnie boli, — wyrosłem“. W zastosowaniu do współczesnej doli uczonego polskiego, znaczy to, że nie wyrósł w cieniu spokojnego i dostatniego życia katedry uniwersyteckiej, przy swobodnym od trosk umyśle i wzajemnem poparciu otoczenia. Nie. Nie przy danych warunkach,

ale pomimo danych warunków stał się Korzon znakomitym uczonym. Trzeba było zaiste niepospolitej siły woli i żelaznej energii, aby dokonać dzieł takich, jak „Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta“, „Dzieje wojen i wojskowości w Polsce“, jak podręczniki historii powszechnej, ugniatając się za lekcjami po pensjach, zajmując stanowiska zarobkowe, pracy zawodowej zgoła obce. Mimo ten brak czasu, uczony nigdy nie pokrywał i nie zakrywał obywatela. Spłaciwszy za młodu krwawą daninę marzeniom górnym i chmurnym, później gotów był Korzon zawsze stanąć na stanowisku każdej uczciwej pracy publicznej i na każdym świecić młodszym i mniej zapracowanym przykładem ścisłości, sumienności i punktualności. Jako człowiek—odznacza się nie tylko wielką godnością życia codziennego prywatnego, nie tylko nieskazitelnym, ale i niezłomnym, nie znającym kompromisów, charakterem. W dzisiejszych zwłaszcza czasach podnieść z naciskiem trzeba, że nikt, nic i nigdy nie powstrzymał Korzona od głośnego wypowiedzenia tego, co za najdroższe i najświętsze prawdy uważał. Nawet mowa jego na jubileuszu nie była spletem zwykłych kwiecistych komunałów, ale szeregiem gorzkich prawd narodowi swojemu współczesnemu, jak przystało na badacza jego przeszłości, wypowiedzianych; był to pełen pesymizmu rzut oka wstecz znojnego oracza i siewcy, który z bólem widzi, że nie wzeszły zasiane dobre ziarna. Łącząc się z głębi serca z życzeniami całej Polski, aby dostojny jubilat jaknajdłużej dla dobra Ojczyzny pracował, redakcyja „Biblioteki“ pragnie dorzucić jeszcze nadzieję, że do wskazań znakomitego historyka przyszłość należy, jak należy do wszystkich poczynañ dobrych, o rzetelne uniłowanie rzeczy publicznej opartych.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Stanisław Krzeźniński.

Zeszedł do grobu jeden z ostatnich—jeżeli nie ostatni—z tych, którzy wybitną rolę grali w wypadkach z przed pół wieku. Ur. w r. 1839 w Warszawie, Stanisław Krzeźniński tu szkoły średnie ukończył i zaraz potem, gdy przygotowywał się do uniwersytetu i aplikował równocześnie w komisji skarbu, wszedł do organizacyi młodzieży i zapoznał się z Kurzyną. Ta znajomość z fanatycznym wielbicielem niefortunnego generała Mierosławskiego, zadecydowała o pierwszej oryentacyi politycznej gorącego młodzieńca. Wpływ pierwotny wzmagą się w zetknięciu osobistem, podczas pobytu Krzeźnińskiego w Paryżu, trwa podczas studyów na wydziale filozoficznym w Heidelbergu, gdzie wzmagą się także przyjaźń z Asnykiem (1860—1862). Ale po wycieczce do szkoły wojskowej w Cuneo i poznaniu nicości organizacyi Mierosławskiego, odwraca się Krzeźniński od niego, ale nie od pracy politycznej. Najgorętsze lata przebywa w Warszawie, gdzie zajmuje stanowiska odpowiedzialne, aż do dyrekcyi wydziału prasy w rządzie narodowym Trauguta. O niezwykłej ostrożności i niezwykłym szczęściu świadczy to, że mimo wszystkie czyny i sąsługi w powstaniu Krzeźniński ocalał.

I przetrwał. W r. 1864 wstąpił na wydział prawny Szkoły Głównej, który w r. 1867 ukończył, ale bez zamiarów praktycznych. Krzeźniński był z natury uczonym badaczem, z temperamentu publicystą i takim przez całe życie pozostał.

W r. 1868 rozpoczął pracę systematyczną, jako publicysta, na łamach „Kuryera Warszawskiego“, gdzie prowadził od r. 1869—1876 przegląd polityczny, a wytrawne jego artykuły zyskały so-

bie rychło szerokie uznanie. W r. 1871 objął redakcję „Muzeum sztuki europejskiej“, zapewniając to wydawnictwo *wyłącznie* pracą własną. W tymże roku został sekretarzem i kierownikiem działu literackiego „Bluszczu“, a w „Kłosach“ stworzył nową rubrykę przeglądu prasy peryodycznej. W rocznikach obu tych tygodników zawarte są najcenniejsze prace znakomitego krytyka i publicysty. Za ledwie część tych ukazała się w wydaniach książkowych („Zarysy literackie“ i „Nowe szkice literackie“). Reszta długo zapewne oczekiwać będzie na wydawcę. W r. 1884 obejmuje Krzemiński po Al. Rembowskiem przegląd polityczny w „Gazecie warszawskiej“, a artykuły jego o gwałtach pruskich w Wielkopolsce sprawiają, iż Bismarck odbiera „Gazecie warszawskiej“ debit w Prusiech. W r. 1885 przystępuje Krzemiński razem z Chmielowskim do układu i redagowania „Złotej przędzy“ poetów i prozaików polskich. W r. 1893 wchodzi do komitetu redakcyjnego „Wielkiej Encyklopedyi ilustrowanej“ i ogrom pracy wkłada w to wydawnictwo, którego jest duszą do ostatnich chwil życia i które traci w nim niezastąpionego sekretarza i współpracownika. Od r. 1895 zaczyna pisywać w „Prawdzie“ Świętochowskiego artykuły wstępne, które zjawiają się tam co tydzień, aż do czerwca 1906 r., t. j. do chwili przeobrażeń, jakim uległo to pismo. Nadto wydaje cały szereg przekładów, przygotowuje do druku wzorowo i świetną opatruje przedmową 5-tomowe wydanie pism przyjaciela młodości, Asnyka, pisuje słynne korespondencye do „Dziennika poznańskiego“ i do „Nowej reformy“, które, jako „Listy z zaboru rosyjskiego“, podpisywane pseudonimami *Jana z Zarzewia* i *Narransa*, mają ogromną poczytność, wreszcie wydaje, jako Dr. X., pełną rozgłosu, a znakomitą w swej głębokiej treści, książkę, p. t. „Dwadzieścia pięć lat Rosyi w Polsce“. W r. 1906 przystąpił, jako jeden z najczynniejszych współpracowników, do wydawnictwa „Stu lat myśli polskiej“. W r. 1908 wydał doskonałą pracę o „Komisyi edukacyjnej“, a w latach 1909 i 1910 ogłosił w sprawozdaniach Towarzystwa naukowego w Warszawie trzy cenne przyczynki do życia i twórczosci Kołłątaja.

Taką była rola historyczna zmarłego i dorobek literacki pisarza. Zgon Krzemińskiego wzbudza żal, jako utrata żywej siły, którą był zmarły do końca wieczoru swego.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. W dniu 3-im października r. b. odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którym wygłoszono komunikaty następujące: J. Tur: „Vitellus in foetu“ z pygomelią; — Tenże: „O nader wczesnej potworności podwójnej w zarodku jaszczurki *Lacerta muralis*“; — J. Sosnowski: „Studia graficzne nad mięśniami bezkręgowców“; — Sł. Miklaszewski: „Gleba pola doświadczalnego w Pudziszkach“ — Tenże: „Gleba pola doświadczalnego w Osięcinach“; — A. Czartkowski (przedstawił Z. Wóycicki): „W sprawie powstawania antocyjanu u roślin z rodzaju *Tradescantia*“.

W dnia 6-ym z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go, na którym M. Rowiński przedstawił pracę Kazimierza Wóycickiego p. t. „Wiersz Barbary Radziwiłłówny A. Felińskiego jako wzór pseudoklasycznego trzynastozgłoskowca“. Autor, analizując w tragedji różnorodne stosunki budowy syntaktycznej zdania do kształtów trzynastozgłoskowca, ustalił pięć typów, których stosunki liczbowe określają ogólny charakter wiersza „Barbary“. Przeprowadzone obliczenia wskazują również charakterystyczne dla Felińskiego miejsca orzeczenia, podmiotu, dopełnienia i określenia, wyjaśniają nadto stosunek pseudoklasyka do średniówki. Analiza szczegółowa rymów ujawniła przewagę rymów rzeczownikowych, wogóle zaś rymów z tych samych części mowy. Typy syntaktyczno-rytmiczne „Barbary“, jak wskazuje zestawienie, dadzą się odnaleźć u wszystkich pseudoklasyków, a różnice indywidualne polegają na odmiennem tych typów ustosunkowaniu.

W dniu 7-ym z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału nauk matematycznych i przyrodniczych, na którym wygłoszono komunikaty: R. Błędowski (przedstawił J. Tur): „Materiały, przywiezione ze stacyi w Neapolu dla pracowni zoologicznej Towarzystwa Naukowego“; — J. Tur: „W sprawie retrokonstrukcyi przebiegu rozwoju potworów złożonych“; — Sł. Miklaszewski: „Gleby

zachodniej i południowej części gub. Kowieńskiej“;—Tenże: „O t. zw. „lössach“ w Nowogródzkim gub. Mińskiej“; — R. Merecki: „Wpływ zmiennej działalności słońca na czynniki meteorologiczne ziemskie. Część IV“.

Dnia 22 go z. m. odbyło się pod przewodnictwem J. K. Kochanowskiego posiedzenie Wydziału II-go, na którym Józef Siemiński przedstawił referat p. t. „Porządek i zasady sejmikowania w wieku XVI“, jako wyjątek z większej w tym przedmiocie całości. W dyskusyi zabierali głos pp. Al. Kraushar, Józef Bieliński i J. K. Kochanowski. Następnie omawiano sprawę Kongresu historycznego, odbyć się mającego w kwietniu 1913 r. w Londynie i pożądanego w nim udziału historyków polskich.

W dniu 25-ym z. m. odbyło się pod przewodnictwem J. K. Kochanowskiego pierwsze powakacyjne posiedzenie Wydziału II-go, na którym wygłosił Aleksander Kraushar odczyt p. t. „W sprawie fundacyi naukowej Józefa Aleksandra księcia Jabłonowskiego, wojewody nowogrodzkiego, w Lipsku (1774—1912).“ W r. 1774 uczony magnat polski ks. Pruss-Jabłonowski utworzył w Lipsku Towarzystwo naukowe swego imienia, którego zadaniem miało być przyznawanie corocznie medali złotych za rozprawy z dziedziny historii, nauk przyrodniczych i matematycznych. Fundusz żelazny na ten cel zabezpieczonym został na wieczne czasy na skarbcu i na dobrach miasta Gdańska. Fundacya pomieniona uzyskała zatwierdzenie ze strony panującego podówczas elektora Fryderyka Augusta. Między warunkami statutu fundacyjnego na pierwszym miejscu zastrzegł ks. Jabłonowski, by rozprawy z dziedziny historii poświęcone były badaniom wewnętrznych dziejów Polski, by do składu Rady nadzorczej należał zawsze uczony Polak. Ową Radę nadzorczą ustanowić miało gremium profesorów Uniwersytetu Lipskiego, lecz opiekunem fundacyi miał być na wieczne czasy potomek w linii prostej rodu Pruss-Jabłonowskich, a w ich braku potomek w linii kollateralnej, a nawet jedna z najstarszych niewiast tegoż rodu. Warunki te fundacyi wykonywane były przez czas niejaki po zgonie fundatora, a nawet jeszcze w r. 1830 Towarzystwo Jabłonowskiego zwróciło się do naszego ówczesnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk z prośbą o współudział w wyborze tematu z historii polskiej. Lecz z biegiem czasu, wskutek biernego zachowywania się rodu Jabłonowskich w odniesieniu do fundacyi antenata, Towarzystwo lipskie przeistoczyło się na fundacyę przeważnie germańską, różną zupełnie od myśli pierwotnej statutu.

Sprawę tę po poszukiwaniach, podjętych w archiwum państwowem w Dreźnie, wyjaśnił w obszernym referacie prelegent i opierając się na warunku końcowym statutu, według którego w razie naruszenia w czemkolwiek jego rozporządzeń potomkowie rodu Jabłonowskich będą mieć wieczyste prawa uchylenia fundacyi i przeniesienia jej w innym składzie gdzieindziej, wysnuł końcowy wniosek o konieczności podjęcia należytych kroków, by zasobna w środki pieniężne fundacya ks. Jabłonowskiego mogła nadal istnieć i działać z pożytkiem dla nauki i uczonych polskich.

W dyskusyi zabierali głos pp. Aleksander Jabłonowski, Edward Bogusławski, Erazm Majewski, Marcelli Handelsman, Franciszek Pułaski, I. T. Baranowski, oraz przewodniczący J. K. Kochanowski.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Listopad, 1912. Treść: „Nauka i sztuka“. Krytyka: Bączkowski Franciszek ks. dr.: Stypendya mszalne; — Choynowski Piotr: Zdarzenie; — Ciepliński Czesław: Misterium;—Davids Rhys T. W.: Buddyzm, zarys życia i nauki Gotamy-Buddhy; — Epiktet: Podręcznik (pamiętnik moralności stoickiej); — Falski M.: Pierwsza czytanka dla dzieci. O Janku, Ali i Zosi; — Gąsiorowski Wacław (Wiesław Sclavus): Babilon;—Grabowski Tad. Stan. dr.: Komisaryat królewski Chorwacyi wobec jej odrębności państwowej; — Hausnerowa Stanisława: Tęsknota. Baśń o wyzwoleniu duszy; — Janusz Bohdan: Typy etniczne i kulturalne w prahistorji Galicyi wschodniej; — Tenże: Z paleoantropologii Galicyi wschodniej; — Jedlicz Józef: Nieznanemu Bogu; — Korycki Władysław: Hugo Kollątaj. Próba rehabilitacji; — Kozłowski Władysław: Pisma filozoficzne i psychologiczne;—Kraushar Aleksander: Józef Ignacy Kraszewski i redakcja czasopisma „Ojczyzna“ w Lipsku;—Lubińska Teresa: Nie wiedziała;—Taż: Historia niemoralna i inne powiastki dla dużych dzieci; — Łoziński Władysław: Złotnictwo lwowskie. Wydanie drugie;—Michalski Stanisław F. dr. fil.: Jaką powinna być Biblioteka Publiczna w Warszawie?;—Miklaszewski W. dr.: Rozwój cielesny proletaryatu Warszawy w świetle pomiarów antropometrycznych;—Neeł Józef: Prostytucya. Jej źródła, skutki i ich zwalczanie;—Rittner Tadeusz: W obcym mieście;—Rudzki M. P.: Gwiazdy i budowa wszechświata;—Skarga Piotr: Wybór pism; — Tenże: Żywoty Świętych polskich;—Tenże: Wybór żywotów Świętych Starego i Nowego Zakonu; — Stolyhwo Kazimierz: Przyczynek do historii antropologii w Polsce; — Wóycicki Zygmunt: Obrazy roślinności Królestwa Polskiego. Zeszyt I, II i III;—X. Ż. doktor medycyny: Celibat a prawa natury. Wydanie drugie; — Zalewski Władysław: Duszom w locie;—Zawadzki Józef dr.: Piętnaście lat Pogotowia Ratunkowego w Warszawie (1897—1912). Kronika. Czasopisma. Bibliografia. Ogłoszenia.

— KWARTALNIK poświęcony badaniu przeszłości Żydów w Polsce. Rocznik 1. zeszyt 2. Warszawa, 1912. Treść: Weissberg M.: Język literacki Żydów w Galicyi;—Bałaban Majer: Ustrój kahałny w Polsce XVI—XVIII wieku;—Gąsiorowska Natalia: Cenzura żydowska w Królestwie Polskiem; — Schipper Ignacy: Żydzi neofici i prozelici w Polsce; — Jankowski Józef: Kabała;—Kandel Dawid: Komitet starozakonnych;—Miscellanea;—Dodatek;—Ilustracye.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

BIBLIOTECZKA APOLOGETYCZNA LUDOWA. Zeszyt I. № 1 W. M. Gładbach, 1912. Nakładem Związku Ludowego.

CHATRIAN ERCKMANN: Bitwa narodów. Historia rekruta z 1813 roku. Powieść historyczna. Tom drugi. Warszawa, 1912. „Biesiada Literacka“.

TENŻE: Daniel Rock. Powieść z francuskiego z 6-iu ilustracjami. „Ciekawe powieści“. Bezpłatny dodatek do „Tygodnika Ilustrowanego“. Warszawa 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

DZIERŻANOWSKI WIKTOR: Nam jeno szumy zwiastują wiosnę... Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

EURYPIDES: Medea. Przetłóżył Bogusław Butrymowicz. Brody, 1913. Nakładem księgarni Feliksa Westa. Warszawa, księgarnia E. Wende i S-ka.

FRA SILVIO: Boski poemat. Druk i nakład Mikołajtysa. Łódź, 1913.

GAŚNOROWSKI WACŁAW: Czarny generał. Romans historyczny. Tom I i II. Warszawa, 1912. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

GERMAN JULIUSZ: Gwiazdzista noc. Powieść. Kijów, 1912. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego. Warszawa, Marszałkowska 119. Kraków, S. A. Krzyżanowski.

GODLEWSKI MICHAEL, DR.: Monumenta ecclesiastica petropolitana, IV. Petropoli, 1912.

HEILPERN A., DR.: Przyczynki do psychologii twórczości. Lwów, 1912. Nakład „Polskiego Tow. Nakładowego“. Skład główny Warszawa, E. Wende i Sp. Kraków S. A. Krzyżanowski.

JABŁONOWSKI ALEKSANDER: Historia Rusi południowej do upadku Rzeczypospolitej polskiej. Kraków, 1912. Nakładem Akademii Umiejętności.

JANOWSKI LUDWIK, DR.: Ateny litewskie. Zagajenie kursu p. t. Historia uniwersytetu wileńskiego, wykład specjalny z fundacyi XX. Lubomirskich miany dnia 23 i 24 października 1912 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim w sali Śniadeckich. Kraków, 1912.

JAROSZYŃSKI TADEUSZ: Oko za oko. Nowele. Nakładem I. Rzepeckiego. Warszawa.

KALENDARZ informacyjno-encyklopedyczny, na Pogotowie ratunkowe w Warszawie, z dodatkiem bezpłatnym, zawierającym Notatnik terminowy. Na rok zwyczajny 1913.

KIRKOR-KIEDRONIOWA ZOFIA: Włościanie i ich sprawa w dobie organizacyjnej i konstytucyjnej Królestwa Polskiego. Kraków, 1912. Nakładem Akademii Umiejętności.

KIEDRZYŃSKI STEFAN: Słodycz grzechu. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, S. A. Krzyżanowski.

KOZŁOWSKI WŁADYSŁAW: Pisma filozoficzne i psychologiczne. Herbert Spencer; — Nowokantyzm; — Stanowisko filozofii doświadczalnej wobec intuicji; — Geniusz i obłąkanie; — Obecny stan nauki o temperamentach; — Czy pozytywizm jest kierunkiem antynarodowym?; — Upór jako objaw bezwładności umysłu; — Kilka uwag o samobójstwie; — Bezwiedne sprawy duszy; — Pewność sądów i inne. Lwów, 1912. Polskie Tow. Nakładowe. Warszawa, E. Wende i S-ka.

KORYCKI WŁADYSŁAW: Z duchowych wnętrz. Studya krytyczno-literackie. Warszawa, 1913. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

KRZYWOSZEWSKI STEFAN: Dyabel i karczmarzka. Komedia fantastyczna w 3-ch aktach. Warszawa, 1913. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

LORET MACIEJ, DR.: Kwestya legalności bytu OO. Jezuitów na Białej Rusi po zniesieniu zakonu w r. 1773. Lwów, 1912.

MATERIAŁY ANTROPOLOGICZNO-ARCHEOLOGICZNE I ETNOGRAFICZNE, wydawane staraniem Komisji antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom XII z 42 tablicami ilustracyjnemi, 5 tabelami graficznemi i 125 rycinami w tekście. Kraków, 1912.

MOLIER: Dzieła. Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy). Wstępem i uwagami krytycznemi opatrzył dr. Władysław Günther. Wydanie zupełne, dokonane staraniem Tłómacza. Tomów 6. Lwów, 1912. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, księgarnia E. Wende i Sp.

NIEMCEWICZ-URSYN JULIAN: Rok 3333, czyli Sen niesłychany. (Poprzez wstępem o sprawie żydowskiej w Polsce Nie wiem Kto) „Czuwajcie obywatele“. Warszawa, 1913. Nakładem autora Wstępu. Skład główny w księgarniach Gebethnera i Wolffa w Warszawie i Gebethnera w Krakowie.

ORSZA HELENA: Rozwój społeczny Polski. „Encyklopedia ludowa“. Broszura № 10. Kraków, nakładem Tow. Wydawniczego Encyklopedyi ludowej.

PAMIĘTNIKI JANCZARA czyli Kronika turecka Konstantego z Ostrowicy napisana między r. 1496 a 1501. Wydał Jan Łoś. Wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie „Biblioteka pisarzy polskich“ № 63. Kraków, 1912.

PAMIĘTNIK HR. DE SÉGUR, adjutanta cesarza Napoleona I. Przełożyła z francuskiego E. Leszczyńska. Część I, II i III. Warszawa, 1912. „Biblioteka Dzieł Wyborowych“.

RACHILDE: Bestya. Powieść. Tłómaczył J. L. Warszawa, 1913. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

ROMOCKI LUDWIK: Szczęście Zboskich. Kronika rodziny polskiej w XIX wieku. Warszawa, 1912. „Biblioteka Dziel Wyborowych“.

ROCZNIK AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Rok 1911—1912. Kraków, 1912.

SHAKESPEARE WILLIAM: Dzieła dramatyczne w dwunastu tomach z portretem autora. Tom V: Zimowa powieść,—Król Jan,—Król Ryszard II. Tom VI: Król Henryk IV, część I i II,—Król Henryk V. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin—Łódź: Kraków, G. Gebethner i Sp.

SKIBA MIKOŁAJ: Dzieje miłości. Lwów, 1913. Skład główny w księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp.

SPASOWSKI WŁADYSŁAW, DR.: Adam Mahrburg i jego poglądy na naukę i filozofię. Analiza porównawcza. Warszawa, 1913. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

SPRAWOZDANIE z działalności Tow. Szkoły Ludowej za rok 1911. (Rok założenia Towarzystwa 1891). Kraków, 1912. Nakładem Tow. Szkoły Lud.

ŚWIAT ZWIERZĄT. Ptaki—ryby—gady i t. d. Wydanie polskie pod redakcją prof. Jana Sosnowskiego. Zeszyt VI, VII i VIII. Z kolorowemi tablicami i ilustracyami w tekście. Warszawa, 1912. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

TRETIAK JÓZEF: Piotr Skarga w dziejach i literaturze Unii brzeskiej. Kraków, 1912. Nakładem Akademii Umiejętności.

WALEWSKA CECYLIA: Koleżanka Stefa. Nowele—Obrazy. Warszawa, 1913. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

WITKIEWICZ STANISŁAW: Matejko. Wydanie drugie, powiększone, w ozdobnej oprawie z 300 ilustracyami i dwoma portretami Jana Matejki. Wydawnictwo Tow. Nauczycieli Szkół Wyższych we Lwowie pod redakcją Tadeusza Piniego. Tom IX. Lwów, skład główny w księgarni Gubrynowicza i Syna. Warszawa u Gebethnera i Wolffa.

ZOLA EMIL: Kąpiel. Przekład Wacława Wiedigera. Warszawa, 1913. Wydawnictwo Ultima Thule.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOŃSKI.
